

# TRUPÓW HURTOWO TRZECH

Opowiadania kryminalne

PIOTR BOJARSKI

WOJCIECH CHMIELARZ

RYSZARD ĆWIRLEJ

BOHDAN GŁĘBOCKI

GAJA GRZEGORZEWSKA

JOANNA JODEŁKA

MICHAŁ LAREK

JOANNA OPIAT-BOJARSKA

OLGA RUDNICKA

MARCIN WRÓŃSKI

Media Rodzina

Text copyright © 2017 by Piotr Bojarski, Wojciech Chmielarz, Ryszard Ćwirlej, Bohdan Głębocki,  
Gaja Grzegorzewska, Joanna Jodełka, Michał Larek, Joanna Opiat-Bojarska, Olga Rudnicka, Marcin  
Wroński

Copyright © 2017 for this edition by Media Rodzina Sp. z o.o.

Projekt graficzny okładki  
Agata Wodzińska-Zajac

Zdjęcie na okładce iStock



Książka wydana we współpracy z Fundacją Dom Autysty

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki –  
z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych – możliwe jest tylko na podstawie  
pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8008-381-3

**Media Rodzina Sp. z o.o.**

ul. Pasięka 24, 61-657 Poznań

tel. 61 827 08 60

[mediarodzina@mediarodzina.pl](mailto:mediarodzina@mediarodzina.pl)

[www.mediarodzina.pl](http://www.mediarodzina.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer** firmy Elibri.

Wstęp

# ŚMIERTELNIE POWAŻNA SPRAWA

Adam Kompowski

**DAM,** DLACZEGO BY TEGO NIE ZROBIĆ? ZRÓB TO SAMO! To było ładnych kilka lat temu. Jacek, mój kolega z pracy, pokazał mi wydaną w Anglii książkę. Nick Hornby namówił swoich kolegów – pisarzy z Londynu – żeby oddali po jednym swoim opowiadaniu. I tak powstał tomik, którego sprzedaż wsparła szkołę dla dzieci z autyzmem, do której chodził jego syn. Ja też mam syna z autyzmem, Kuba ma 14 lat.

Przeczytałem posłowie, w którym pisarz wyjaśniał, jak ważna jest odpowiednia terapia, jak bez niej jego syn biegał bezładnie po mieszkaniu albo w kółko oglądał na magnetowidzie jeden i ten sam odcinek bajki *Tomek i przyjaciele*, *Tomek i tuba*, o ile pamiętam. Skądś to znam, jakbym czytał o moim Kubie.

– Zrób to samo – powtarzał Jacek, który później zresztą wielokrotnie doradzał nam, rodzicom dzieci z autyzmem, jak zdobywać pieniądze i promować naszą działalność.

Od trzech lat jestem prezesem poznańskiej Fundacji Dom Autysty. Założyli ją rodzice nastolatków z autyzmem, żeby zadbać o ich przyszłość, o terapię i zajęcie, gdy skończy się szkoła, o bezpieczny dom, gdy rodziców zabraknie. Chodzi o Angelikę, Damiana, Dawida, Jeremiego, Jurka, Kubę, Maćka, Marcina, Przemka, Roberta, Sonię. I nie tylko o nich. W Polsce nie ma takich miejsc i wiemy, że po prostu my musimy to zrobić. Nie zamierzam tu przedstawiać sprawy w szczegółach, bo wtedy musiałbym dramatyzować, a nie chcę. Kupiliście Państwo zbiór opowiadań kryminalnych, a nie wynurzenia ojca chłopaka z autyzmem. Ale, wiercie mi, sprawa jest poważna. Śmiertelnie. Dorosłymi, mocno zaburzonymi osobami z autyzmem zajmują się w Polsce pojedyncze organizacje. Dla większości – nie ma nic. Czeka ich wegetacja pod wpływem dużej ilości środków uspokajających. Chyba że znajdą bezpieczny dom z profesjonalną opieką.

Zbieramy pieniądze na ten dom. Organizujemy bale charytatywne, coroczną Aukcję dla Domu w poznańskim Zamku, był też koncert charytatywny, Koncert dla Domu. No i jest książka, Książka dla Domu. Nie jestem pisarzem jak Nick Hornby, ale... mam kolegę pisarza. Piotr Bojarski, autor kryminałów osadzonych w poznańskich realiach, namówił dziewięcioro koleżanek i kolegów pisarek i pisarzy „kryminalistów”, żeby oddali po jednym opowiadaniu. Udało się, są świetne, wciągające, przeczytajcie! Piotr przekonał twórczynię Festiwalu Kryminału Granda,

żeby objęły projekt swoim patronatem. Wydawnictwo Media Rodzina zdecydowało się książkę wydać i przekazać nam dochód z jej sprzedaży. Firma Kreatik nieodpłatnie pomogła w jej promocji. Kupując tę książkę, wspomagacie Państwo budowę Domu Autysty.

Rzeczywistość bywa bardziej zaskakująca niż literacka fikcja. Jacek wtedy nie miał dzieci. Dziś z żoną Kasią mają dwóch synów i tak się złożyło, że obaj chłopcy mają zaburzenia ze spektrum autyzmu. Na szczęście – dzięki wytężonej pracy rodziców i terapeutów – i dlatego, że los sprawił, że było to możliwe – obaj mówią, chodzą do „normalnych” szkół i wiele wskazuje na to, że będą samodzielni.

Osób z autyzmem jest wśród nas coraz więcej. Zwracajmy na nich, i na wszystkich niepełnosprawnych, uwagę, starajmy się ich zrozumieć. Tobie, Czytelniku, dziękuję za to, że kupiłeś tę książkę i wsparłeś nasz cel.

Dziękuję także:

Jackowi za pomysł i wieloletnie wsparcie.

Pisarzom, którzy podzielili się swoim talentem i czasem, przekazując opowiadania do tej książki: Piotrowi Bojarskiemu, Wojciechowi Chmielarzowi, Ryszardowi Ćwirlejowi, Bohdanowi Głębockiemu, Gai Grzegorzewskiej, Joannie Jodełce, Michałowi Larkowi, Joannie Opiat-Bojarskiej, Oldze Rudnickiej, Marcinowi Wrońskiemu.

Piotrowi Bojarskiemu – dodatkowo za koordynację projektu.

Organizatorom Poznańskiego Festiwalu Kryminału Granda – za patronat i wsparcie.

Elizie Wandtke i Hannie Koźmińskiej z wydawnictwa Media Rodzina za włożoną pracę i życzliwość, a całej firmie – za wprowadzenie projektu w życie.

Firmie Scriptor – za dołożenie swojej cegiełki – komputerowego składu książki.

Zespołowi z agencji interaktywnej Kreatik: Marii Połońskiej, Aleksandrze Maniakowskiej-Nosek, Iwonie Wojciechowskiej, Angelinie Gąkowskiej, Dajanie Bieganowskiej, Mateuszowi Iwińskiemu i Dawidowi Bartodziejowi za wspaniałą, pomysłową akcję promocyjną książki pod hasłem „Jestem wplątany”.

A Michałowi Larkowi – za zaangażowanie w tę akcję i współpracę przy tworzeniu interaktywnego opowiadania, w którym to czytelnik decyduje, jak zakończy się historia.

Jesteście wspaniali!

Adam Kompowski, Prezes Fundacji Dom Autysty

Przeznacz nam 1% podatku

nr KRS 0000522417

[www.domautysty.org.pl](http://www.domautysty.org.pl)

Bank PKO BP, 71 1020 4027 0000 1102 1304 4633

[fundacja@domautysty.org.pl](mailto:fundacja@domautysty.org.pl)

tel. 733 673 674

# **CZWARTA BECZKA NORWESKICH ŚLEDZI**

**Ryszard Ćwirlej**

## **Poznań Wtorek, 19 lipca 1966 r. Godzina 18.30**

Gdy kierownik Alojzy Koniarek zobaczył śledzie, mało nie umarł ze szczęścia. Takich okazów nie widział od przed wojny. Piękne, srebrzyste, z lekkim odcieniem błękitu, tłuste i grube płaty. Nie mógł się im oprzeć, dlatego po otwarciu beczki chwycił jednego w palce, obwąchał dokładnie, a stwierdziwszy, że ma do czynienia z najprawdziwszym „norwegiem”, położył go na talerzu i pokroił na kawałki.

– No chodźcie, babeczki – zaprosił swoje podwładne, podsuwając im talerz.

Cztery pulchne pracownice Centrali Rybnej na rogu Garbar i Woźnej podeszły zaciekawione. Kobiety były znacznie młodsze od kierownika sklepu i nie pamiętały czasów sanacyjnych, więc nie miały pojęcia, jak taki śledź może smakować. Te, które sprzedawano w ich punkcie, były zwyczajne, solone z Bałtyku, więc teraz z niedowierzaniem spoglądały na tego olbrzyma.

– Ale wielkolud – jęknęła Barciakowa, najstarsza i najbardziej doświadczona sprzedawczyni.

– Pani spróbuje – zachęcił ją kierownik.

Chwyciła duży kawał i wepchnęła do ust.

– I jak? – zapytał Koniarek.

– Łe Jezu, niebo w gębie – stwierdziła z zachwytem.

– No, spróbujcie wszystkie! – Kierownik spojrzał na pozostałe kobiety.

Ręce natychmiast wyciągnęły się do talerza. Zadowolony przyglądał się ich drgającym podwójnym podbródkom i wolno poruszającym się szczęką, a w końcu ustom, na których pojawił się wyraz błogości. Sam chwycił ostatni kawałek i przez chwilę rozkoszował się smakiem, który przypominał czasy beztroskiej młodości...

Otworzył oczy i dostrzegł wbite w niego spojrzenia pracownic. Nie musiały nic mówić, bo wiedział, w czym rzecz.

– No jasne, że możecie jeszcze. Nie ubędzie, jak se trochę zjemy.

Zadowolone sprzedawczynie ruszyły do otwartej beczki. Tylko Barciakowa została na miejscu.



– A pani to nie skosztuje więcej? – zdziwił się kierownik, który znał swoją podwładną i wiedział, że nigdy nie przepuszcza okazji.

– Nie, że niby nie chcę, ino niech te młode się naźrą. Ja chciałam się spytać...

– Niby o co?

– Bo te śledzie, co przywieźli dzisiaj, to cztery beczki, nie?

– No cztery.

– Ale ta jedna to jakaś oszukana chyba. – Wskazała na tę ostatnią w rzędzie

– Oszukana? – zdziwił się i spojrzał w tamtym kierunku.

– Bo jakby mniejsza trochę i kolor inny.

Koniarek zlustrował uważnie beczkę, a potem z politowaniem spojrzał na Barciakową.

– Pani Helenko kochana, jest mniejsza, bo za granicą mają różne wymiary. Te trzy to pewnie nasze beczki, czyli że przepakowali śledzie, a tej jednej chyba nie zdążyli. Widać, że zagraniczna.

– Aha... A skąd to niby wiadomo, że zagraniczna?

– No jak skąd? Przecież pisze po zagranicznemu „Porto”, bo jakby po naszymu, to byłoby napisane „Port”, nie? Bo po polsku port to port, a nie żadne porto.

## Środa, 20 lipca Godzina 7.30

– Co to jest, do cholery, na sześć liter do picia? – zapytał sam siebie Teofil Olkiewicz. Spojrzał na krzyżówkową odpowiedź w „Przekroju”: piją ją Anglicy i Amerykanie. „Co, do cholery, piją ci zagranicznacy?” – zastanawiał się. „Wódka nie pasuje, wino nie pasuje, piwo też nie...”.

Teofilowi zdawało się, że dobrze zna się na tym, co da się wypić, ale tu nic nie przychodziło mu do głowy. Zdenerwował się więc na ten „Przekrój” i jeszcze na tę cholerną krzyżówkę. Co go podkusiło, żeby brać tę gazetę do ręki? Nawet nie była jego. Znalazł ją w ubikacji i przyniósł do pokoju, bo zaciekawiały go obrazki na ostatniej stronie. No a później spróbował się z krzyżówką. Wpisał zaledwie dwa hasła i na trzecim się zaciął. Pierwsze było łatwe, bo chodziło o królową polskich rzek, więc – jako że był poznaniakiem – wpisał Warta. Liczba liter się zgadzała, więc rozochocony sukcesem ruszył w głąb krzyżówkowych zawilóści, docierając do momentu, w którym złośliwy los postawił przed nim to cholerne pytanie.

– A do dupy z taką krzyżówką – powiedział i zdenerwowany rzucił gazetę na blat biurka.

– Co jest, Teoś? – zainteresował się kapral Kryspin Obrębski, szczupły blondyn z gęstym wąsem, kolega Olkiewicza z komisariatu Poznań Stare Miasto. – Co się tak pieklisz? Jak się będziesz złościł, to ci żyłka pęknie i nie dożyjesz zwycięstwa socjalizmu.

Obrębski stał przy otwartym oknie z papierosem w ustach i spoglądał na ulicę. Nie działo się tam nic ciekawego, więc odwrócił się do kolegi. Obaj zaczęli dziś służbę o siódmej rano i mieli nadzieję, że na siedzeniu w pokoju się skończy, tym bardziej że w swojej brązowej teczce Teofil miał schowaną butelkę stołowej. Na razie jednak nie mogli jej ruszyć, bo o dziewiątej musieli być na odprawie u szefa, porucznika Wróbla, a żaden z nich nie chciał mu podpaść. Za to po odprawie należą sobie po solidnej porcji do szklanek z herbatą.

– Ani mi nie gadaj. Zwycięstwo socjalizmu jest pewne jak to, że zmieszanie wódki z winem daje na drugi dzień murowanego kaca. I nie przez socjalizm mnie cholera bierze, ale przez ten zgniły Zachód.

– A co on tobie zrobił?

– Jak co? Do krzyżówki dali pytanie, co piją Anglicy i Amerykanie? A skąd to niby normalny człowiek ma wiedzieć?

– He, he! – Obrębski parsknął śmiechem, chwytając się za umundurowany brzuch. – Jakbyś oglądał filmy, to byś dobrze wiedział.

– Jakie filmy?

– Komboje piją whisky.

– Nic z tego. To musi być na „w” tak jak wino albo wódka. Wychodzi mi tak, bo pionowo jest pseudomin towarzysza Gomułki z czasów konspiracji, znaczy się Wiesław. To jak on jest na „w”, to ta wódka amerykańska musi być też na „w”.

– Whisky jest na „w”.

– Jak?

– No normalnie, pisze się w-h-i-s-k-y – przeliterował.

– Co za durnie z tych Anglików. Nie mogli napisać normalnie?

– Jakby pisali normalnie, toby ci się nie skrzyżowało z Wiesławem.

– Też prawda. – Teofil przysunął do siebie gazetę i spojrzał na krzyżówkę. Już chciał sięgnąć po ołówek, gdy drzwi pokoju się otworzyły i do środka wszedł porucznik Wróbel. Obaj podoficerowie natychmiast poderwali się z krzesel. Oficer tymczasem stanął na środku pomieszczenia i wzięwszy się pod boki, omiół badawczym spojrzeniem swoich podwładnych.

– Tak se siedzicie, co?

– Melduję, że siedzimy w oczekiwaniu na rozkazy – wyrecytował sprytnie Obrębski.

– A jak tak oczekujecie, to co robicie?

– Melduję, że gadamy.

– A niby o czym?

– Ogólnie – wyjaśnił Obrębski. – O sytuacji międzynarodowej.

– Aha! To dobrze, że nie o dupie Maryni. A Olkiewicz też o sytuacji międzynarodowej? – Oficer, marszcząc groźnie brwi, spojrzał na łysiejącego trzydziestolatka o niezbyt imponującym wzroście, którego uważał za trochę ograniczonego.

– Melduję, że gadali my o Anglikach, że głupi są, bo piją jakąś „łyski”, a nie jak normalni ludzie...

– A wy piliście już whisky?

Obaj podoficerowie natychmiast pokręcili głowami.

– To nie wiecie cymbały, co dobre. Whisky to jest lepsza jak wódka, bo w beczkach całe lata leży i dojrzewa, zanim się ją do butelek zleje. Ale co ja tam wam będę tłumaczył, jak tu robota nas czeka. Na rogu Wielkiej i Garbar z Centrali Rybnej ktoś rąbnął cztery beczki ze śledziami. Idźcie tam, spiszcie wszystko i znajdźcie te śledzie.

Obaj funkcjonariusze spojrzeli na siebie, a potem podeszli do wieszaka, na którym wisiały ich czapki i raportówki. Wychodząc z pokoju, Teofil spojrzął jeszcze tęsknym wzrokiem za siebie i na moment zawiesił spojrzenie na brązowej teczce. Butelka stołowej musiała poczekać.

## Godzina 8.15

Na drzwiach sklepu rybnego zawisła kartka wykaligrafowana przez kierownika Koniarka z napisem „RENAMENT”. Gdy ją zawieszał, kobieta, która przyszła na rybne zakupy, pogroziła mu pięścią. Na szczęście dla niego oddzielała ich gruba szyba. Gdyby nie to, jego los byłby marny, gdyż widział w oczach niedoszłej klientki determinację okraszoną ikłą szaleństwa. Baba miała w planach zjeść dziś rybę, a tu jej przed nosem zatrzaśnięto drzwi. No, ale co miał zrobić kierownik, kiedy stała się tak straszna rzecz. Cztery beczki z norwesкими śledziami zniknęły jak spirytus po przejściu krasnoarmiejców.

Spojrzał na cztery grube sprzedawczynie, które siedziały z ponurymi minami przy stoliku na zapleczu i piły kawę zbożową. Nie miały nic do roboty, bo Koniarek, który znał się na procedurach milicyjnych, gdyż był namiętym miłośnikiem *Kobry*, wiedział, że nie wolno łązić po miejscu przestępstwa, żeby nie zdeptać śladów. Kazał więc im usiąść i czekać na milicję. Sam zaś chodził niespokojnie, wypatrując funkcjonariuszy. Wystawił właśnie głowę do części sklepowej, gdy rozległo się łomotanie do drzwi.

Nie byli to jednak milicjanci, a dwaj faceci w garniturach. Jeden zwalisty jak kłoda i grubszy nawet od Barciakowej, a drugi niższy, chudy, można by powiedzieć wymizerowany. To ten walił w szybę z siłą, o jaką trudno byłoby go podejrzewać. Kierownik spokojnie podszedł do drzwi i wskazał na kartkę. Nic to nie dało, chudy znów zastukał w szkło. Wtedy Koniarek nie wytrzymał, bo nie lubił chamów. Przekręcił klucz, uchylił drzwi i wrzasnął w szparę, tak żeby go dobrze usłyszeli:

– Spierdalać stąd, bo tu się pracuje! Jest renament. Czytać nie umiecie?!

– Otwórz, człowieku, bo my nie po ryby – wyjaśnił zniecierpliwionym tonem ten wielki.

– Jak nie po ryby, to po cholere?! – zdenerwował się Koniarek.

– Otwieraj, ćwoku! – warknął chudy. – Jesteśmy z SB.

Kierownik jeszcze raz obrzucił obu mężczyzn zdumionym spojrzeniem i otworzył drzwi najszerzej, jak się dało.

– Jak się nazywacie? – zapytał chudzielec, stając przy gospodarzu, a gruby w tym czasie podszedł do lady i zaczął przyglądać się asortymentowi. Niewiele miał do oglądania, bo na półkach stały tylko puszki ze śledziem w oleju i śledziem w pomidorach.

– Kierownik Koniarek – odpowiedział grzecznie kierownik. – Ale żeby aż towarzyszy z SB fatygować do takiej sprawy, kto to widział? Ja telefonowałem na milicję, a tu aż panów przysłali. Zupełnie niepotrzebnie. Przecież to tylko się rozchodzi o beczki śledzia, no to chyba nie sprawa polityczna.

Chudzielec przez chwilę patrzył na kierownika jak na wariata, a potem uśmiechnął się przymilnie.

– Zawiadomiliście milicję, Koniarek?

– Tak jest, oczywiście i zgodnie z przepisami.

– I milicja już była?

Kierownik zdumiony spojrzał na esbeka.

– No nie była, tylko jest.

– Tam na zapleczu? – Chudy wskazał ręką drzwi prowadzące do magazynu.

– Nie, tam tylko moje baby, znaczy się sprzedawczynie siedzą.

– To gdzie ta milicja?

– No jak gdzie? Tutaj. Przecież SB to też milicja.

– A, tak – zrozumiał wreszcie, w czym rzecz, chudy esbek. – A beczki to na zapleczu?

Teraz Koniarek zdumiał się jeszcze bardziej. Wyjął więc z kieszeni spodni chusteczkę i przetaił nią zroszone potem czoło.

– Długo jeszcze będziemy tu stać, Roman? – zapytał ten wielki chudego. – Bierzemy beczkę i koniec. Po cholere tylko gadać.

– Jak bierzemy beczkę? – Koniarek był coraz bardziej skołowany.

Chudy Roman spojrzał z wyrzutem na kolegę, a potem przeniósł spojrzenie na Koniarkę.

– Słuchajcie, kierowniku, nastąpiła, że się tak wyrażę, pomyłka i jedna beczka specjalnego przeznaczenia trafiła z rozdzielnika do waszego sklepu. Łatwo ją poznać, bo jest mniejsza od tych, w których przywożą wam ryby. I tę beczkę właśnie musimy odebrać. Jakbyście nie wiedzieli która, to ta z napisem „Porto”. Ale coś mi się widzi, że już wiecie, skoro zawiadomiliście milicję, że w beczce jest nie to, co trzeba.

Kierownik Koniarek powoli pokręcił głową. Przez chwilę zastanawiał się, co powiedzieć, bo nagle zdał sobie sprawę, że jego odpowiedź nie zadowoli esbeków.

– Idzie o to, że... że ja wezwałem milicję... bo te beczki... co mnie je tu przywieźli wczoraj... to one, ten, no, znikły i ich nie ma.

Obaj bezpieczniacy z sykiem wypuścili powietrze, a Koniarek poczuł, że od tej chwili ma poważne kłopoty.

## Godzina 8.30

– Ja ci powiem, Kryspin, że piwo najlepiej smakuje rano – stwierdził Teofil i głośno beknął.

– Mi tam zawsze smakuje – stwierdził jego kolega i osuszył małą butelkę jednym łykiem, a potem bezużyteczne szkło cisnął w pobliskie krzaki.

Obaj funkcjonariusze siedzieli na ławeczce w zacienionym zaułku za Archiwum Państwowym, przy ruinach murów obronnych. Cały ten zaniedbany teren otoczony był drewnianym płotem, na którym pysznił się transparent z gołąbkim pokojem i hasłem z okazji 22 Lipca: „Wszyscy w pierwszym szeregu do walki o pokój na świecie”.

Teofil Olkiewicz rzucił okiem na hasło, ale zaraz przestał się nim interesować, bo nie bardzo mógł sobie wyobrazić tych wszystkich, którzy kroczą w pierwszym szeregu. On zawsze wolał iść z tyłu.

Milicjanci powinni oczywiście pójść, tak jak przewidywał rozkaz, wprost do rybnego, ale kto by się śpieszył do jakichś śmierdzących ryb, gdy do sklepu, który mijali po drodze, akurat dowieźli piwo poznańskie. Nie mieli wyjścia, wzięli osiem i poszli na porośnięte krzakami podwórko.

– Ja to mam, chłopie, nosa. Tego milicyjnego, ma się rozumieć. – Zadowolony z siebie Olkiewicz podał koledze otwarte piwo.

– Że niby to czemu?

– Bo jak się ma takiego nosa, to zawsze się na coś natrafi.

– Na co?

– Choćby na to piwo. Jakbyśmy poszli tak, jak żeś gadał, znaczy się przez Marcinkowskiego, tobyśmy na piwo nie trafili, a ja chciałem tędy, to widzisz, co żeśmy upolowali. – Uniósł butelkę, uśmiechnął się do niej i wypił do dna.

– To co, tak w ogólności, robimy z tymi pieprzonymi śledziami? – zapytał Kryspin, dopiwszy swoje piwo do końca. – Ty żeś jest z Chwaliszewa, a Garbary to też twój fyrtel, więc pewnie znasz wszystkich miejscowych wywijasów.



Teoś znów się uśmiechnął. Pewnie, że znał. W końcu wychował się w najbardziej podejrzanej dzielnicy Poznania i wyrastał z chłopakami, którzy już w dzieciństwie wchodzili w konflikt z prawem.

– Co mam nie znać. Pójdziemy teraz do tego rybnego, zobaczymy, co ukradli i jak zrobili włamanie, a potem pójdziemy odebrać towar.

– Chyba że je już opchnęli. Śledzie schodzą jak ciepłe bułeczki.

– Na mój nos, to byliby głupi, jakby czegoś dla siebie nie zostawili. No i dla nas, ma się rozumieć.

Obrębski pokiwał głową. To się rozumiało samo przez się, że jeśli dopadną tych, co okradli sklep, to zabiorą im towar, ale przynajmniej parę kilo zostawią dla siebie. I tak strata pójdzie na konto złodziei.

## Godzina 8.45

– Świeżutkie śledzie prosto z Bałtyku. Solone solą z Wieliczki. Patrzcie się, państwo, jakie wielkie sztuki. Tłuste jakby były partyjne – nawoływała stara Kaźmierczakowa, która już ponad trzydzieści lat prowadziła sprzedaż warzyw, owoców i wszystkiego, co się dało opchnąć, na placu Bernardyńskim. Dziś prawdziwym rarytasem były śledzie prosto z beczki. Nic więc dziwnego, że przed straganem ustawili się kilkudziesięciometrowy ogonek bab, które z niepokojem czekały na swoją kolej.

– A skąd niby ma pani takie piękne śledzie? Takich to nawet w Centrali Rybnej nie mają. – Zdziwiona Pelagia Witkowska spod czterdziestego dziewiątego na Garbarach patrzyła na ryby wykładane właśnie na gazetę, którą sprzedawczyni rozłożyła na lewej szalce wagi.

– Jak to skąd? Z morza.

– To niby wiadomo, pani Kaźmierczakowa – wtrąciła się stojąca za plecami Witkowskiej Kaczmarkowa, żona stróża z Rybaków. – Ale one jakieś inne...

– Łe, ale też pani gada – zdenerwowała się sprzedawczyni. – Ja już je jadła dziś na śniadanie. Powiadam pani, niebo w gębie.

Krystek Kaźmierczak stał kilka kroków dalej z butelką piwa w ręce i zadowolony przyglądał się, jak idzie interes. Przede wszystkim cieszył się, że taka długa kolejka ustawiła się do straganu. Jak tak dalej pójdzie, za jakieś pół godziny nie będzie po śledziach śladu. Od rana poszły dwie beczki, a ta ostatnia była już opróżniona do połowy. Tak jak liczył, sprzedadzą się na pniu i nawet jak się napatoczy jakiś szkieł, to handel będzie już zakończony, a ryby sprzedane i po sprawie. Zostanie tylko tych kilka kilo, co trzej bracia Kaźmierczakowie zostawili dla siebie. Bo to oni we trzech obrobili centralę. Nie mieli innego wyjścia. Jak się tylko dowiedzieli od sprzedawczyni, że śledzie norweskie przyjechały do sklepu, trzeba było działać. Wypożyczyli od znajomego kierowcy nyskę i przewieźli towar od razu na stragan. Trzy beczki wyładowali o piątej rano. Chcieli wyciągać czwartą, ale Krystka coś tknęło. Ta była inna niż pozostałe i dlatego powstrzymał braci. Sprawdził ją dosyć dokładnie, a gdy

się przekonał, że ma całkowitą rację, kazał ją zabierać z Bernardyńskiego jak najszybciej. Gdy jego żona zajęła się sprzedażą towaru, oni pojechali do znajomego, niejakiego Anatola Grubińskiego. Ten przedwojenny złodziej i włamywacz, z którym nieraz bracia Kaźmierczakowie chodzili na robotę, teraz był na emeryturze. Na co dzień zajmował się bimbrownictwem i pokątną sprzedażą alkoholu.

## Godzina 8.50

– To co tu ukradli? – zapytał od drzwi wyraźnie zadowolony kapral Olkiewicz, omiatając spojrzeniem wnętrze sklepu. Za nim do środka wsunął się czerwony na twarzy kapral Obrębski. – I który tu jest kierownikiem sklepu? – Przed sobą miał bowiem trzech mężczyzn, a nie, tak jak powinno być, jednego.

– Ja jestem kierownikiem – stwierdził facet w białym kitlu.

– Od razu wiedziałem – pochwalił się swoją przenikliwością Olkiewicz. – A wy dwaj to co? Wycieczka z PTTK? Kapralu Obrębski, spiszcie tych dwóch, a potem won mi stąd, bo tu się śledztwo milicyjne prowadzi i obcym wstęp surowo wzbroniony jest. A wy – tu spojrzał groźnie na kierownika – jak się nazywacie?

– Alojzy Koniarek, syn Mariana – powiedział szybko kierownik, widząc, że z tym groźnym milicjantem to nie żadne przelewki. – A ukradli cztery beczki norweskich śledzi. Trzy duże pełnowymiarowe i jedna mniejsza...

– Chwileczka, kapralu – przerwał zeznanie Koniarka szczuplejszy z dwójki facetów, których właśnie chciał spisać kapral Obrębski.

– A wy co tu się wpierdalacie w przesłuchanie? Milczeć i nie przeszkadzać, kiedy władza ludowa prowadzi śledztwo, bo jak nie, to zaraz przeflancuje się was do aresztu na Młyńską za utrudnianie śledztwa i jeszcze za...

Teoś nie dokończył, bo mężczyzna podszedł do niego i machnął mu przed oczami kartonikiem legitymacji służbowej.

– Jestem kapitan Sokół z SB, a to jest porucznik Drewniak.

– A ja jestem kapral Olkiewicz.

– Słuchajcie, kapralu, to jest sprawa najwyższej wagi. Musimy pogadać. Teofil spojrzał na kierownika, a potem na drzwi zaplecza.

– Kierownik na zaplecze i zamknąć drzwi, bo tu narada służbowa – rozkazał tonem nieznoszącym sprzeciwu. Po sekundzie w sklepie zostali sami funkcjonariusze.

– Słuchajcie, kapralu, to jest sprawa najwyższej wagi. Możemy wam zaufać? – zapytał kapitan.

Teofil uśmiechnął się zadowolony. Nikt jeszcze nigdy nie dzielił się z nim sprawą najwyższej wagi.

– Jak najbardziej, że można.

– Były trzy beczki śledzi i czwarta specjalnego przeznaczenia, która tu trafiła przez pomyłkę.

– Specjalne śledzie – domyślił się Teofil.

– Niezupełnie. Ta mniejsza, stulitrowa, to miał być specjalny prezent z okazji 22 Lipca dla generała Wargacza. Słyszeliście o Wargaczu z SB?

Olkiewicz skinął głową, choć nigdy nie słyszał o żadnym generale SB. Ale ranga robiła wrażenie. Tylko po cholereę takiemu Wargaczowi tyle specjalnych śledzi?

– No więc widzicie, że sprawa jest poważna.

– Znajdzie się te śledzie w trymiga, obywatelu kapitanie.

– Śledzie, kurwa, wcale mnie nie interesują. Te śledzie to se możecie zjeść. Mnie interesuje ta czwarta, mniejsza beczka.

– To znaczy się, że jak ją znajdziemy, to śledzie wypieprzyć, a oddać samą beczkę – domyślił się Teoś.

Kapitan z niedowierzaniem pokręcił głową.

– W tej beczce nie ma śledzi. Tam jest sto litrów dwudziestoletniej szkockiej whisky single malt, bo generał bardzo lubi...

– Takiej, co piją komboje? – domyślił się Teofil, ale zaraz aż otworzył gębę ze zdumienia. Dopiero teraz dotarło do niego, co powiedział esbek. Sto litrów wody. Boże, w głowie rozbrzmiały mu chóry anielskie, a w gardle już poczuł błogi smak zupełnie darmowej gorzoły. – Złapiemy ich, inaczej nie nazywam się Olkiewicz – stwierdził głosem pełnym determinacji.

## Czwartek 21 lipca Godzina 12.30

Zielony łaźnik przykryty brezentową budą, z namalowanymi na biało literami MO na bocznych drzwiach, zatrzymał się przy Komendzie Wojewódzkiej Milicji. Z auta wyskoczył kapral Olkiewicz. Szybko wspiał się po schodach, by udać się do dyżurki. Tam poprosił siedzącego za szklaną szybą sierżanta, by zawiadomił kapitana Sokoła z SB, że specjalny transport dojechał na miejsce. Po czym wyszedł na zewnątrz. Na chodniku stał kapral Obrębski i palił papierosa. Teofil też zapalił.

Obaj podoficerowie byli w doskonałych nastrojach, bo sprawili się nadzwyczaj dobrze. Już w środę Teofil na targowisku zatrzymał starą Kaźmierczakową i wsadził do aresztu za handel kradzionymi śledziami. Dowodem były trzy puste, ale jeszcze śmierdzące rybą beczki. Czwartej jednak nigdzie nie było. Wieczorem do Olkiewicza do domu przyszedł Krystek Kaźmierczak z prośbą, żeby Teoś zwolnił jego babę. Teofil był jednak twardy jak czekista.

– Puszczę babę, jak oddacie gorzołę. A jak nie, to do końca życia posiedzi.

– Kiedy my nie mamy tej wódy – zmartwił się Krystek.

– A kto ma? – zapytał podchwytnie Olkiewicz.

Kaźmierczak wzruszył ramionami. Nie było co iść w zaparte. Trzeba było mówić prawdę, jak się chciało jeszcze we własnej chacie zjeść schabowego z kapustą i pyrami.

– Anatol Grubiński wziął od nas.

– To on jeszcze żyje? – zdziwił się Teoś. Dobrze znał starego Tolka, u którego nieraz kupował bimber.

– Żyje i ma się dobrze.

– No to kłaniaj mu się i powiedz, że sprawa gardłowa, co się nią SB zajmuje, bo to była wóda dla jakiegoś generała. Musi wrócić i tyle.

Krystek w mig zrozumiał, w czym rzecz. O ile z milicją szło jakoś sobie życie ułożyć, o tyle z bezpieczeńką nie było żartów.

Uklonił się więc grzecznie milicjantowi, wcisnął na głowę kaszkiet i odszedł, obiecując, że coś się zaradzi.

I jak obiecał, tak zrobił. Następnego dnia, zanim Teofil wyszedł do pracy, przybiegł z informacją, że beczka stoi na dole koło stróżówki. Była rzeczywiście taka, jak mówił kierownik sklepu, z napisami „Porto” i „Single Malt 1936”.

– No i trzeba było tak od razu, toby się nie musiała twoja stara tłuc po arestach – stwierdził zadowolony Teofil.

Przez chwilę jeszcze słuchał wyjaśnień Kaźmierczaka, ale nie miał na nie za dużo czasu. Trzeba było wezwać łazik, żeby beczkę zawieźć na komendę.

Teraz stał oparty o bok samochodu i dumny czekał na pochwałę z ust esbeka, który wszedł na pakę i dokładnie oglądał beczkę. Po chwili przywołał do siebie Olkiewicza i Obrębskiego.

– Macie jakąś breszkę? – zapytał, a kapral Obrębski skinął głową i zaraz podał esbekowi niewielki łom. Ten wsunął go w szparę pod dekletem i nacisnął. Beczka otworzyła się. Sokół nachylił się i zaczął wąchać jak dobrze wyszkolony pies.

– Jakieś szkło by się przydało?

Olkiewicz uśmiechnął się zadowolony. Przygotował specjalnie metalowy kubek. Oficer zanurzył naczynie w beczce i zaraz je wydobył, przyglądając się uważnie płynowi. Zadowolenie natychmiast odpłynęło z twarzy Olkiewicza, gdy dostrzegł mordercze spojrzenie kapitana.

– Co to, kurwa, jest?!

Teofil zbliżył się do kubka pełen złych przeczuc. Czyżby Kaźmierczak go oszukał? Jeśli tak, to już on wsadzi ich wszystkich do pierdła i załatwi im dożywocie.

Wziął od Sokoła kubek i najpierw przyłożył do niego nos. Pachniało jak trzeba, więc zdziwiony zamoczył usta i wziął solidny łyk. Smak był pierwszorzędny, więc ze zdziwieniem spojrzał na kapitana.

– I co? – zapytał Sokół drwiącym tonem.

– Pierwsza klasa.

– Jak, do cholery, pierwsza klasa?! Przecież to nie jest żadna whisky. To zwyczajny bimber!

Teoś wypił jeszcze jeden łyk i pokręcił głową. Widać było na pierwszy rzut oka, że esbek wcale nie zna się na dobrych alkoholach.

– Nie zwyczajny bimber, ale dwa razy filtrowany. Moc jakieś sześćdziesiąt procent.

– A gdzie jest whisky, co tu była? – zapytał niemal płaczącym tonem kapitan.

– Łe... – Teoś lekceważąco machnął ręką. – Powiadają, że jak otwarli beczkę, to tak śmierdziało torfem, że nie szło wytrzymać. W smaku też była taka, że aż gębę wykręcało, no to chłopaki, żeby panu generałowi zrobić przyjemność, przepędzili te całe sto litrów dwa razy, żeby spiryt był jak najczystszy. I żeby pozbyć się tego bagiennego smrodu, dolali jeszcze swojego najlepszego bimberku, bo w beczce to wcale nie było sto litrów ino jakaś jedna czwarta mniej, i zrobili pięćdziesięcioprocentową wódeczkę. Niech obywatel kapitan sam spróbuje. – Teoś wysunął w kierunku pobladłego kapitana Sokoła kubek z bimbrem.

Ten spojrział z odrazą na Olkiewicza, a potem wysyczał przez zęby:

– Spierdalajcie, żebym was tu więcej nie widział, wy cholerni kretyni. Tyle whisky zmarnować, Boże miłosierny, tyle whisky prosto ze Szkocji. Dwudziestoletnia single malt z bagiennym aromatem – mówił do siebie, wspinając się po schodach. Obaj kaprale patrzyli na niego jak na kogoś, kto najwyraźniej postradał zmysły.

– Obywatelu kapitanie – zawołał za nim Kryspin Obrębski.

– Czego? – Sokół zatrzymał się i z odrazą spojrział w dół.

– A co mamy zrobić z tym... no... – Wskazał na pakę samochodu.

– Możecie to wyłąć do rzeki – powiedział i odszedł, zostawiając ich samych.

Obaj milicjanci stali przez chwilę, nie bardzo rozumiejąc, co robić.

– Taki bimber do rzeki? – zdziwił się Teoś. – Ten esbek to jakiś wariat.

– I co robimy? – zapytał Kryspin.

– Jak co? Podzielimy. Pół dla mnie, pół dla ciebie. Przecie jeszcze nie zwariowałam, żeby wodę wylewać do Warty. Ryby by się zatręły. Mamy wodę i zagrychę, to trzeba to opić. – Klepnął kolegę w ramię.

Bo solone śledzie jak najbardziej nadawały się do wódeczki. Kaźmierczak dziś rano, prócz beczki, przyniósł Olkiewiczowi na przeprosiny pełną torbę norweskich śledzi.



# **CZWARTY ZABÓJCA**

**Michał Larek**

Siedzieli we trójkę przy ławie zastawionej zmrożonym Bolsem, sokiem jabłkowym i paroma paczkami najtańszych chipsów, gdy nagle Mario, najstarszy i najwyższy z nich, rzucił:

– Powtórzymy akcję sprzed roku, panowie.

Spojrzeni na niego niepewnie, ale on, rozochocony wypitym alkoholem, zaczął przekonywać ich do swojego pomysłu.

– Zrobimy skok na niezłą kasę – doprecyzował z zawadiackim błyskiem w oku.

Jak się okazało, obiektem owego skoku miała być pewna firma świadcząca usługi IT, której siedziba mieściła się nieopodal Cytadeli, w jednej z willowych, bardzo spokojnych uliczek – „rzut beretem od nas”.

– Mają mnóstwo forsy, a szef, młody skurwysynek, jest tak arogancki, że trzyma ją w zwyczajnej szefie. – Oburzył się. – Rozumiecie to? Bez żadnych zabezpieczeń. Cwaniakowi nie chce się nawet kupić solidnego sejfu! No po prostu sam się prosi, żeby dać mu nauczki, co nie?

Rozłożył ręce, pokręcił głową, po czym rozlał wódkę do kieliszków.

– Chluśniem, bo uśniem – rzucił swoje ulubione pijackie powiedzonko.

Kermit, blondyn o spektakularnie wyłupiastych oczach, pokręcił głową na znak, że ma już dość, ale Czarny trzepnął go w ramię.

– Pij, nie marudź.

Mario podniósł kieliszek i zerknął na Kermita, który ewidentnie miał już dość. Zmarszczył brwi, jakby zobaczył coś, co go zirytowało.

– Pij, chłopie! Musimy nabrać mocy.

Stuknęli się, wypili i natychmiast poczuli, że wódka, zrobiona na bardzo mocnym spirytusie, agresywnie rozplywa się po całym ciele. Syknęli jednocześnie. Mocna!

Spojrzeni po sobie.

– Masz jakieś wątpliwości, chłopie? – Mario wzbił wzrok w kolegę, który najwyraźniej nie zachwycił się jego pomysłem. – Pytam się. Masz?

Ten wzruszył ramionami i czknął.

Mario obrócił się w stronę Czarnego, sięgającego niezgrabnie po paczkę pomidorowych chipsów.

– A ty masz?

– No co ty? Dopijemy i idziemy... zarobić!

Mario wyszczerzył zęby, a potem dotknął kolana Kermita.

– Dlaczego pękasz? – zapytał, zmieniając ton głosu na cieplejszy. – Na ostatnim włamie zarobiliśmy mnóstwo forsy, nikt nas nie namierzył. Teraz będzie tak samo.

– Jesteśmy królami złodziei! – zaśmiał się Czarny, po czym podszedł chwiejnym krokiem do okna. Uchylił je i z wielką przyjemnością wystawił rozgrzane policzki na orzeźwiający powiew wiatru.

– Potrzebujemy forsy, przecież dobrze o tym wiesz.

Mario znowu napełnił szkło.

– Kermit, za miesiąc się żenisz. Musisz kupić porządne obrączki, garnitur, a potem zawieźć żonę w podróż poślubną. Gdzie na to, kurwa, zarobisz, pytam się?! W Biedronce na kasie? Nie rozśmieszaj mnie. Czarnego ojciec wyjebał z chaty – potrzebuje forsy na wynajem czegoś sensownego. A ja... jak nie oddam za tydzień długów, to mnie miastowi wywiozą do lasu. Sytuacja jest podbramkowa, musimy to zrobić. Nie ma wyjścia.

Zawiesił głos i dał znak, żeby wypić następną kolejkę. Przełknęli, skrzywili się, pokiwali głowami.

– Kermitku, mordo ty moja. Posłuchaj głosu rozsądku.

Cisza.

– No dobra, niech będzie, wchodzę w to – padła deklaracja, ozdobiona kolejnym czknięciem.

– No i o to właśnie chodziło, ziomek. O męską decyzję.

Czarny potrząsnął radośnie pięścią, wstał, zachwiał się i podszedł do laptopa. Po chwili rozległy się ostre gitarowe riffy.

– „Głupia pizdo, za to, co zrobiłaś wczoraj, więcej ręki ci nie podam” – zaśpiewał gniewnie wokalista, a koledzy przystąpili do następnej kolejki. Tym razem wzniesli toast: za skok stulecia.

Inspektor Rambert, emerytowany oficer policji, spojrzał na grupkę młodych ludzi zgromadzonych w salce konferencyjnej.

Uśmiechnął się pod krótko przystrzyżonym wąsem, gdy stwierdził, że udało mu się pozyskać uwagę słuchaczy. Spojrzał na zegarek, chrząknął i zamyślił się na chwilę.

Jakieś kilkanaście minut temu zaczął seminarium przeznaczone dla studentów z kilku humanistycznych wydziałów poznańskiego uniwersytetu.

Celem zajęć było przedstawienie frapujących aspektów zawodu śledczego i zachęcenie do podjęcia pracy w komendzie wojewódzkiej po

ukończeniu studiów. Policja przeżywała ewidentny kryzys, brakowało oficerów, którzy swój fach traktują jak pasję, co uwidoczniło się w kolejnych fatalnie poprowadzonych dochodzeniach. Trzeba więc było zasadniczo zmienić politykę zatrudnienia, wyjść w stronę młodzieży akademickiej, zadzierzgnąć kontakt z jej najciekawszą częścią i na początek zacząć ją uwodzić smakowitymi opowieściami o „najbardziej filmowym poza kurestwem zawodzie świata”.

Komendant dość szybko dogadał się z rektorem i na łowy młodych, ambitnych dusz wypuszczono byłego naczelnika Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego, Jerzego Ramberta o pseudonimie Dżery.

– Przystojny jak Roger Moore, utalentowany jak George Smiley, czytany jak Umberto Eco, no i ma, kurwa, dużo wolnego czasu, z czego wcale nie jest zadowolony – powiedział nadinspektor do profesora.

Ten zarechotał, wyciągnął z tajnego barku koniaczek, rozlał po symbolicznej kapce i w atmosferze pełnego zrozumienia umowa o współpracy została zamasyście podpisana. A gdy nastał październik, studenci wrócili z praktyk, Rambert przekroczył majestatyczny próg Collegium Maius, pobrał w portierni klucz i ruszył po schodach na drugie piętro.

Był podniecony, ale odrobinę speszony. Czy dwudziestolatkowie zainteresują się tym, co ma do powiedzenia siedemdziesięcioletek, nawet tak dobrze zakonserwowany jak on?

Ściągnął szalik, wypił parę łyków kawy, którą kupił po drodze w automacie, przywitał się i powiedział parę słów o sobie.

Młodzież zamilkła, odłożyła na bok smartfony i spojrzała na niego zaciekawiona – było dobrze.

– Mam dwa cele – powiedział. – Po pierwsze, przekonać was, że to fascynująca przygoda, także intelektualna, a po drugie, podważyć kilka stereotypów popularyzowanych przez amerykańskie filmy i seriale.

Punktem wyjścia stała się historia, którą jeden ze znajomych oficerów zatytułował „Czwarty zabójca”. Opowieść z zaskakującą pointą, która dowodzi, że rzeczywistość może zaskoczyć gwałtowniej niż niejeden twist wymyślony przez amerykańskich scenarzystów. Kiedy po raz pierwszy o niej usłyszał, przestraszył się. Potem często do niej wracał, gdy rozmyślał nad niebezpieczną rolą przypadku w robocie gliniarza. Lubił ją opowiadać. Za każdym razem zmieniał trochę nieistotne dla biegu sprawy szczegóły, co

sprawiało mu osobliwą przyjemność. Może to był wyraz głęboko skrywanych ciągów pisarskich? Może. Przecież w dobie boomu kryminalnego coraz więcej emerytowanych policjantów próbowało szczęścia w literaturze. Niewykluczone, że któregoś dnia i on włączy komputer, żeby zacząć smarować z zapalem powieść.

Rybka chwyciła haczyk. Studenci dali się wciągnąć w fabułę, którą zaczął od pijackiej nasiadówki trzech nieszczęśników.

Gdy w końcu udało im się wejść do budynku, Mario poczuł lekkie zawroty głowy. Beknął. Nieprzyjemny zapach sosu czosnkowego od kebaba zaatakował jego nozdrza. Wzdrygnął się.

Kermit i Czarny zarechotali, a potem, coraz bardziej podekscytowani akcją i perspektywą szybkiego zdobycia dużej forsy, ruszyli przed siebie. Nucili pod nosem jakąś melodyjkę. To chyba była *Gra o tron*.

Ale on, jakby na przekór, przystanął i rozejrzał się wokoło. Znowu coś podeszło mu do gardła. Złapał się za twarz i spróbował opanować odruch wymiotny.

„To jednak nie był dobry pomysł” – pomyślał. „Trzeba było wstrzymać się z chlaniem. Człowiek jest jednak głupi”.

Światło nocnych latarni rzucało skąpą poświatę, zarysowując niewyraźnie kontury ścian, biurka z komputerami, rozlicznych szaf i szafek.

W oddali usłyszał niezgrabne kroki kolegów i ich bełkotliwe pomruki. Potem jakiś rumor.

Co jest?

Sięgnął po latarkę, która zaklinowała się w kieszeni, szarpnął ją i upuścił na ziemię. Zaklął głośno, schylił się i wtedy poczuł, że musi zwymiotować. Podbiegł do okna, pod którym zauważył kosz na śmieci, i zwrócił do niego resztki nieprzetrawionego jedzenia. Przez chwilę trwał w półzgięciu i zastanawiał się, czy nie dać sygnału do odwrotu, zanim dojdzie do jakiejś katastrofy.

„To się nie uda” – myślał gorączkowo. „Wpadniemy”.

Wtedy przypomniał sobie, że chwilę wcześniej doszły go dziwne dźwięki. Coś tam się stało.

Ale co?

Coś grzmotnęło, ktoś upadł. Pewnie Kermit, osioł jeden, wyjebał się w ciemnościach.

Mario wyciągnął chusteczkę i otarł usta. Gdy uspokoił na dobre oddech, doszedł go ryk – pełen wściekłości, ale i strachu.

– Coś ty zrobił? – To był Czarny. – Człowieku, coś ty, kurwa, zrobił?!

Mario drgnął i gwałtownie się odwrócił.

– Ki chuj? – szepnął.

Zmarszczył brwi i szybkim krokiem puścił się w stronę kumpli. Wyszedł na korytarz, doszedł do jego końca, skręcił w prawo, podążając za światłem latarek, aż w końcu znalazł się w jakimś dużym przestronnym pomieszczeniu.

Widok, który ujrzał, poraził go.

Na podłodze, tuż przy schodach, leżał zakrwawiony mężczyzna twarzą do marmurowej podłogi.

Nad nim stał Kermit z łomem w prawej ręce. Chwiał się na nogach. Jego przerażone oczy ślizgały się po nieruchomym ciele.

– Zajebałeś go, chłopie – szepnął Czarny, który trzęsącą się ręką oświetlał pomieszczenie.

– Ja? – odezwał się Kermit po dłuższym milczeniu i rozzłoszczony spojrział na kolegę. – Ja? To ty szedłeś pierwszy! Ty rzuciłeś się na niego i zacząłeś się z nim szarpać. Upadliście, a ja się o was potknąłem.

– To ja się o was potknąłem!

– Ty debilu!

Mario, któremu serce zaczęło walić jak oszalałe, stanął między nimi. Natychmiast wytrzeźwiało.

W wyobraźni usłyszał dźwięk policyjnego radiowozu.

– Zamknijcie się! – warknął, ale został zignorowany.

Strach zamienił się we wściekłość. Koledzy stali naprzeciwko siebie z zaciśniętymi pięściami i dyszeli głośno.

– Ty masz łom!

– I co z tego?

– Jebnąłeś go tym łomem!

– Widzisz gdzieś krew na nim? Widzisz?

Mario spojrział na łom. Rzeczywiście, nie było na nim śladów krwi. Zerknął na Czarnego i od razu dostrzegł na jego jasnych spodniach jakieś plamy. Omiótł wzrokiem Kermita – jego buty były umazane czymś czerwonym.

– To się nie dzieje naprawdę – szepnął, czując, jak krople potu spływają mu po plecach. – To jest jakiś upiorny żart. To jest...

Mieli przecież tylko włamać się, zabrać kasę i szczęśliwie wrócić do domów.

Zabrał Czarnemu latarkę i podszedł do leżącego bezwładnie mężczyzny. Dotknął go nogą. Żadnej reakcji.

Przyjrzał mu się dokładniej. Głowa leżała na krawędzi najniższego schodka. Wokół dostrzegł kałużę lepkiej mazi.

Gdy zobaczył otwarte szkliste oczy, odwrócił się gwałtownie.

Ożeż!

Wziął parę głębszych oddechów, nachylił się i przyłożył rękę do szyi. Nie wyczuł pulsu.

– Nie żyje – szepnął.

Sekundę później usłyszał dźwięk upadającego łomu.

Czarny i Kermit rzucili się na siebie, po czym upadli tuż obok trupa. Mario zbaraniał. Wpatrując się w warczących i tarzających się po podłodze kumpli, nerwowo targał się po głowie. W końcu nie wytrzymał. Chwył jednego z nich za nogę i zaczął odciągać od drugiego.

Po zrobieniu paru kroków zatrzymał się i wrzasnął:

– Przestańcie, głupki! Musimy uciekać, bo zaraz ktoś nas tu nakryje!

– To twoja wina, Mario! – krzyknął Czarny, po czym rozsłochał się straszliwie. – To ty go zabiłeś!

– Parę godzin później oficer dyżurny powiadomił szefostwo o zgłoszeniu włamania i odnalezieniu martwego dozorca – powiedział Rambert i zamilkł na chwilę.

Musiał odsapnąć, zaschło mu w gardle. Nalał wody do plastikowego kubka i upił parę łyków. Zanim podjął opowieść, przyjrzał się skupionym twarzom studentów, wśród których były trzy dziewczyny i czterech chłopaków.

„Ładni, wystylizowani” – pomyślał i uprzytomnił sobie, że najnowsze pokolenie policjantów i policjantek bardzo różni się od kiepsko ubranych wąsaczy, którzy robili kariery w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych.

Nowoczesny oficer – szczupły, modnie ubrany, biegający w maratonach. No i coraz częściej płci żeńskiej.

Uśmiechnął, gdy zobaczył, że jedna z dziewczyn, ta o dziwnej, niepokojącej urodzie i czerwonych włosach, coś sobie notuje.

Chrząknął.

– Na miejsce pojechała ekipa, która z dużą energią zabrała się do roboty – kontynuował. – Technika zaczęła zabezpieczać ślady, dochodzeniowcy sporządzać dokumentację, a kryminalni ruszyli na rozpytanie mieszkańców okolicy. Wieczorem odbyła się narada. Podsumowano fakty, wytypowano podejrzanych, ustalono plan działania. Naczelnik był dobrej myśli, przestępcy zostawili przecież po sobie mnóstwo śladów. Przyjęto wersję, że sprawcy mieszkają w okolicy. Przez chwilę rozważano, czy sprawcą nie jest ktoś z robotników, którzy wtedy pracowali przy remoncie firmy. Na miejscu znaleziono dowód jednego z nich. Koniec końców stwierdzono jednak, że to błędny trop. No i cóż, po dwóch dniach namierzono podejrzanych. Trzech dwudziestoparolatków, którzy dopiero zaczynali swoją złodziejską działalność. Nazajutrz, o szóstej rano, trzy grupy dokonały realizacji, czyli zatrzymania klientów. Przewieziono ich na komendę, rozdzielono i przesłuchano.

– Po męsku przesłuchano – zaśmiał się Rambert, ale gdy zobaczył zmarszczone brwi studentek, poczerwieniał, podrapał się po wąsikach i mruknął coś niewyraźnie. – Klienci szybko pękli i przyznali się do winy – wznowił opowieść, zerkając niepewnie na dziewczyny. – Do włamania i do „przyczynienia się do śmierci dozorca”, tak to jakoś oględnie ujęli. Zastrzegali się przy tym, że byli tak pijani, że nie pamiętają „tego tragicznego momentu”.

– Tak szybko się przyznali? – zapytała nieufnie czerwonowłosa.

– Tak. Po kilkunastu minutach.

– Ale dlaczego? Przesłuchujący byli brutalni?

– W tym przypadku nie musieli być.

– Bo?

– Oto ważna lekcja, moi drodzy. – Rambert uniósł w górę ręce i zaczął nimi gestykulować. – Sprawcy zabójstwa to często zwyczajni, normalni ludzie, którym z jakiegoś powodu dramatycznie powinęła się noga. Ich czyn ciąży im, męczy ich, odbiera spokój ducha. W efekcie czują wielką potrzebę wyrzucenia z siebie tych okropnych myśli. Przyznanie się sprawia im ulgę. Naprawdę. Dlatego trzeba ich umiejętnie poprowadzić w czasie przesłuchania.



Inspektor spojrział na słuchaczy.

– Pamiętacie opowiadanie Poego zatytułowane *Serce – oskarżycielem?*  
– zagadnął, nawiązując do swojego ulubionego pisarza. – Facet zabił staruszkę. Odwiedzają go oficerowie policji, chcą przeszukać mieszkanie. Zaprasza ich uprzejmie. Początkowo znakomicie gra rolę niewinnego. Ale potem następuje w nim przełom, który zaczyna się od odpłynięcia z twarzy krwi, a kończy całkowitą rozsypką psychiczną. Pointa jest taka, że kiedy policjanci chcą wyjść, gość ku ich zdumieniu przyznaje się do mordu. Piękny, prawdziwy tekst poświęcony paradoksom naszego życia emocjonalnego. Polecam.

– No dobrze – odezwał się chłopak z imponującymi dreadami na głowie.  
– A jaka jest pointa pana historii?

– Hm – mruknął Rambert – jeszcze inna. I bardziej zaskakująca. Gdy klienci przyznali się do winy, sprawa była właściwie zakończona. Pozostawione przez nich ślady potwierdzały przeciw ich wersję wydarzeń. Pozostało więc dopiąć formalności. Ostatnia była kwestia dowodu osobistego, który znaleziono na miejscu przestępstwa. Rzeczoną zlecono młodemu sierżantowi. Reszta zajęła się nową sprawą – kolejnym zabójstwem.

Ktoś zapukał do drzwi.

Makowski podniósł głowę znad planu Poznania, który od pół godziny zawzięcie studiował. Musiał namierzyć kompletnie nieznaną mu uliczkę, przy której mieścił się podejrzany warsztat samochodowy. Wytężał wzrok, zagryzał wargi i nic. Zaczynało go to irytować.

– Kogo teraz niesie? – mruknął.

Wbił wzrok w drzwi, na których zawiesił kiedyś plakat promocyjny *Gorączki*, swojego ulubionego filmu z Al Pacino. „Nieustępliwi, nieugięci, najlepsi” – głosiło hasło reklamowe. Sierżant zgadzał się z jego treścią, połowa komendy zresztą też.

Nikt nie wchodził.

Zerknął na zegarek, który zbyt luźno trzymał się ręki. Chwycił pasek, pociągnął go mocno i... oderwał kawałek.

– Kurwa! – syknął.

– Zawsze coś – dodał, przyglądając się z niesmakiem rozerwanemu paskowi. Dał za to badziewie tysiąc złotych.

Pukanie powtórzyło się.

– Proszę! – rzucił zbyt szorstko.

Drzwi skrzypnęły, w progu stanął mężczyzna. Mniej więcej trzydziestoletni, o bladej twarzy, przydługawych tłustych włosach. Miał na sobie czarną ramoneskę, niebieskie dżinsy i sportowe czarne buty.

Zrobił parę kroków i przystanął.

Widać było, że czuje się niepewnie.

– Słucham? – zagadnął sierżant, odkładając zegarek na bok i obdarzając go nieprzyjemnym spojrzeniem.

– Dostałem wezwanie – mruknął nieznajomy. – To jestem.

Makowski zmarszczył brwi.

„Teraz?” – pomyślał niepocieszony. „Właśnie teraz?”

– Podobno znaleźliście mój dowód.

„No znaleźliśmy” – burknął w myślach, po czym spróbował się uśmiechnąć. Nie wyszło mu jednak.

– A tak. Już wiem, o co chodzi – oznajmił i podrapał się po głowie.

Spojrzał na niego raz jeszcze, robiąc przy tym dość posępną minę. Nieświadomie, tak już miał do dziecka, co zawsze irytowało jego matkę, która uważała, że najważniejszą sprawą w życiu jest być miłym dla innych.

– Proszę usiąść. – Wskazał ręką krzesło ustawione naprzeciwko biurka, odchylił się lekko, otworzył szufladę i wyciągnął z niej szarą kopertę. Zajrzał w głąb, po czym wydobyl małą zieloną książeczkę.

– Dariusz Ochojski – odczytał na głos personalia i zapytał: – To pan?

– No tak.

Usłyszawszy odpowiedź, chrząknął dwukrotnie.

Zaschło mu w gardle.

Sięgnął po butelkę wody, upił solidnego łyka.

– No cóż – odezwał się. – Znaleźliśmy go na... – Zapomniał nazwy firmy. – Na... na miejscu zbrodni. Pewnie kojarzy pan historię? Firma IT, przy Cytadeli, włamanie, kradzież i zabójstwo.

Mężczyzna skinął głową.

Makowski położył dowód na blacie i przesunął go w stronę Ochojskiego.

„Co on taki spięty?” – pomyślał i spojrzał na jego ręce grzecznie ułożone na kolanach. Drżały. „Jakieś złe przejścia z policją?”

Westchnął przeciągle. Spojrzał na zegarek, dochodziła szesnasta. Za chwilę odprawa u naczelnika, a on najchętniej wróciłby do domu, żeby

odespać ciężką noc i niezbyt udany dzień. Wyciągnął paczkę papierosów z kieszonki swojej dżinsowej kurtki, zapalił, sięgnął po popielniczkę, zaciągnął się, wypuścił dym i zapatrzył się w mężczyznę.

– W porządku – odezwał się zniecierpliwiony, po czym zgasił papierosa, bo stracił ochotę na palenie. – Kończymy. Sprawa jest wyjaśniona, nie ma co przedłużać. Została tylko ostatnia formalność. Proszę wyjaśnić, skąd się wziął pana dowód osobisty na miejscu zbrodni.

– Niebezpieczny zbieg okoliczności – dodał i zaśmiał się głupkowato. Ochojski opuścił głowę.

– No dobra – westchnął. – Przyznaję się... przyznaję się, to ja zabiłem tego dozorcę.

Makowski otworzył szeroko oczy.

Że co?

Siłą woli powstrzymał się od okrzyku. Że co? Miał dobrych nauczycieli, więc zachował spokój, kiwnął wymownie głową jak surowy belfer, który przyłapał ucznia na ściąganiu, zrobił dzióbek i mruknął:

– No właśnie o to mi chodziło. Nie ma co ściemniać, bo my, kurwa, wszystko wiemy w tym temacie. – Uśmiechnął się i wypowiedział dobrze znaną sobie formułkę: – Proszę opowiedzieć wszystko od początku.

Ochojski podniósł wzrok, przygryzł wargi, przytrzymał lewą rękę, która zaczęła mu drżeć, i zaczął mówić. Coraz bardziej płaczącym głosem.

Rambert spojrział na słuchaczki i słuchaczy. Pointa chyba zadziałała. Skupienie połączyło się ze zdziwieniem. Czerwonowłosa dziewczyna, na którą lubił raz po raz zerknąć, zmrużyła oczy i odłożyła długopis. Miała na sobie białą bluzkę ozdobioną czarnym fontaziem. Wyglądała grzecznie i zarazem drapieźnie. Uwielbiał takie połączenia.

Uśmiechnął się, a ona odwzajemniła uśmiech.

Spróbował przypomnieć sobie, jak sam zareagował, gdy po raz pierwszy usłyszał tę opowieść.

Chyba zrobiło mu się gorąco. Dlaczego? Może wtedy uprzytomnił sobie z całą stanowczością, jak łatwo każdy z nich może popełnić kardynalny błąd? A może zaczął się zastanawiać, czy czasem takiego błędu nie popełnił już kiedyś przy którymś ze śledztw? Wszystko jest możliwe, niestety. Już nie pamiętał przyczyn swojej reakcji, ale ta historia do dzisiaj go elektryzowała, do dzisiaj wprowadzała go w stan zaniepokojenia.

Odchrząknął.

– Wyszło na to, że jakąś godzinę przed akcją naszych „trzech zabójców” do firmy włamał się Ochojski – odezwał się. – Przypadkowo dowiedział się, że tej nocy w jednej z szaf leżeć będzie większa gotówka. Miał poważne problemy finansowe, więc postanowił skorzystać z okazji. Po północy włamał się do budynku, ale zaskoczył go dozorca, którego obudziły podejrzone dźwięki. Doszło do szarpaniny, dziadek upadł, uderzając głową o schody. Przerażony Ochojski uciekł. Z pustymi rękami i narastającymi wyrzutami sumienia. A potem po jego śladach ruszyli pijani chłopcy, którym od nadmiaru alkoholu i emocji wszystko się popieprzyło w głowach.

Inspektor urwał opowieść i zaczął się zastanawiać, jak skonkludować historię. W pierwszej chwili pomyślał o prostym morale typu „trzeba bardzo dokładnie zbadać ślady, żeby nie skazać niewinnego człowieka”, ale nie wiadomo dlaczego wypalił:

– Ochojski w areszcie śledczym popełnił samobójstwo.

– Gdy przeszedłem na emeryturę... – zaczął Rambert, kiedy czas spotkania dobiegał końca. – Pracowałem przez jakieś dwa lata w poznańskim „Archiwum X”. Któregoś razu postanowiłem wrócić do umorzonych sprawy, nad którą kiedyś pracowałem. Była moją obsesją, zadrą, przyczyną straszliwych frustracji. Brak pozytywnego zakończenia doprowadzał mnie przez lata do rozpacz. Dwa zabójstwa pod Kołem. Ofiarami była trzydziestoletnia kobieta i dziesięcioletnia dziewczynka. Gdy zatem pojawiła się okazja, żeby wrócić do tej historii, już w nowej epoce technologicznej, zrobiłem to. Tutaj pointa, choć odwleczona o wiele lat, okazała się...

Rambert urwał, bo nie mógł znaleźć odpowiednich słów.

– Ale o tym za tydzień – szepnął i uśmiechnął się szelmowsko.

Tak, właśnie szelmowsko, bo bardzo lubił to niedzisiejsze słowo.

# **EPIZOD Z WAMPIREM**

**Piotr Bojarski**

Dźwięk telefonu rozdarł sterylną ciszę gabinetu. Był tak natarczywy i metalicznie nieznośny, że wyrwałby ze snu nawet nieboszczyka. Pochrapujący na blacie biurka osobnik o słusznej wadze i budzących szacunek rozmiarach poruszył się niespokojnie i spróbował namacać dłonią cholerny aparat. Jego ręka błędziła po biurku, pogłębiając chaos spoczywających na nim dokumentów i wywracając karafkę z wodą.

Tymczasem telefon dzwonił dalej, wprowadzając w nerwowe drgania ebonitową słuchawkę. W końcu zdesperowana ręka półśpiącego trafiła na uchwyt i oderwała źródło hałasu od jego bazy. Słuchawka spoczęła na blacie, ale bynajmniej nie zapewniło to spokoju udręczonemu funkcjonariuszowi służby publicznej.

– Halllooo! Jest tam ktooo?! – z głośnika wydzierał się w ciemną przestrzeń gabinetu jakiś mężczyzna. – Policja, pozał się Bożeee!

Z blatu uniosła się czerwona od ucisku, szeroka twarz ze staromodnymi nieco bakami. Przekrwione oczy nadawały jej niepokojącego rysu.

– O co chodzi, do jasnej chooolery?!

– Policja?! – ktoś po drugiej stronie wolał się upewnić. – Czy rozmawiam z policją państwową?!

– Nie, z prymasem Hlondem... – mruknął rozeźlony funkcjonariusz. – Co za głupie pytanie?! Komenda Miejska, komisarz Zbigniew Ka-aaaa-czmarek... – Policjant nie mógł powstrzymać się od przeciągłego ziewnięcia. – Panie, pan wie, która jest godzina?

– Nareszcie! – ucieszył się prześladowca z daleka. – Proszę o pomoc! Natychmiast!

– Zaraz... – warknął komisarz. A ponieważ nie otrzymał odpowiedzi na swoje pytanie, rzucił okiem na zegarek. Druga piętnaście! Czy oni w tym Poznaniu nie mogą zasnąć?

– Panie, o co chodzi? – osadził rozmówcę oschłym tonem, który sprawdził się już wielokrotnie. – Pan wiesz, że to środek nocy? Porządni ludzie o tej porze...

– Panie komisarzu, kiedy my tu mamy trupa!

– Więcej szacunku dla zwłok, jeśli wolno! A w ogóle... to skąd wiadomo, że to denat?

– Bo nie żyje. Znaczą się, nie oddycha.

– Kiedy zmarł?

– Tego nie wiem.

- Ma jakieś rany?
- Nie, właściwie nie ma...
- To co pan zawracasz mi głowę? Może zgon był naturalny.
- Kiedy jednak coś na szyi...
- Panie, wyrażaj się pan jaśniej: ma ranę czy nie ma?
- E... Wolałbym, żeby pan komisarz sam to zobaczył...
- Co za miasto... – syknął Kaczmarek.

Już wiedział, że czeka go znowu to samo: babranie się ze zwłokami i nieudolne zabezpieczanie śladów po omacku. Jego praca od dawna nie sprawiała mu już przyjemności, zwłaszcza kiedy wiązała się z opuszczeniem w chłodną, jesienną noc ciepłego gabinetu w Prezydium Policji.

- Gdzie pan jesteś, panie...? – rzucił do słuchawki.
- Kwiatkowski, szanowny panie komisarzu. A dzwonię... – Informator nagle się zawahał. – Dzwonię z hotelu Polonia.

\*

Jeszcze całkiem niedawno monumentalny dwuskrzydłowy gmach przy ulicy Grunwaldzkiej był największym hotelem w kraju. Nie mógł mu podskoczyć nawet słynny stołeczny Bristol. Oddany do użytku tuż przed PeWuKą, z efektowną klasycystyczną kolumnadą wbudowaną w wysoki półowalny fronton, miał być symbolem postępującej amerykanizacji Polski i Poznania. Kaczmarek pamiętał, że w piwnicach hotelu urządzono rewelacyjny skład szampana. W samym hotelu zaś ulokowała się całkiem niezła restauracja, a zdaje się, że nawet cukiernia. Tyle że po Powszechnej Wystawie Krajowej całe to propagandowe przedsięwzięcie pod hasłem „Hotel Polonia” upadło. Dość powiedzieć, że osiem lat później, jesienią 1937 roku budowla przypominała obraz nędzy i rozpacz. W ulokowanych tu mieszkaniach komunalnych pomieszkiwała teraz biedota i ludzie z marginesu, w dodatku co rusz wymagający policyjnych interwencji.

Nocna taksówka wysadziła komisarza na chodniku, wprost pod ciężką bryłą siedmiokondygnacyjnej budowli. Zacinał listopadowy, drobny deszcz. Zanim Kaczmarek pokonał kilkanaście metrów dzielących go od głównego wejścia, był już całkiem mokry.

- Szlag by ich trafił, rzeźniki jedne! – zaklął pod nosem.

Szczerze nienawidził sprawcy tej całej hecy. Obiecał sobie, że nie daruje mu zarwanej nocy.

Nieboszczyk był nienagannie blady. Sprawiał wrażenie, jakby przed chwilą jego twarz i dłonie posypano mąką. Leżał na dywanie w holu wejściowym, głową ku prawej nitce schodów, a twarzą ku podłodze. Jego prawa ręka zastygła w bezruchu, wyciągnięta ku pierwszym stopniom. Zupełnie jakby zmarły w ostatnim odruchu zamierzał wskazać kierunek, z którego nadciągnęła śmierć. Albo wręcz przeciwnie – w którym się oddaliła – wraz z jego uchodzącym życiem.

– Nikt go nie ruszał? – stęknął Kaczmarek, podnosząc się z kłęczek nad zwłokami.

– Gdzieżbym śmiał, panie komisarzu. – Leon Kwiatkowski, drobny, skromnie ubrany lokator dawnego hotelu obruszył się nieco teatralnie na takie podejrzenie. – Jak tylko go tutaj znalazłem, zaraz kazałem sąsiadowi przypilnować zabitego, a sam zadzwoniłem do was, na komendę.

– Zabitego? – Komisarz zmarszczył brwi. – Jakiego zabitego? Nie widzę tu żadnych śladów przemocy.

„Gdzie jest ten pierdoła <sup>1</sup> Marciniak?” – pomyślał jednocześnie niezbyt ciepło o sędziwym medyku sądowym. Pewnie ma problem, żeby zebrać się z łóżka o tej porze...

– W istocie, panie komisarzu. – Kwiatkowski nie wyglądał na zbitego z tropu. – Proszę spojrzeć na szyję tego nieszczęśnika.

– Obejrzałem...

– Za lewym uchem też?

„O cholera, za lewe ucho nie zajrzałem” – zganiał sam siebie Kaczmarek. Chcąc nie chcąc, znowu musiał nachylić się nad zwłokami. Jego walce z ciężarem własnego brzucha przyglądało się kilkanaście spanikowanych osób, które otoczyły dwóch mężczyzn i ciało nieregularnym wianuszkiem. Na szczęście wśród gapiów nie było dzieci, w końcu był to środek nocy. Mimo to liczne audytorium drażniło komisarza, nie znosił świadków swojej pracy.

Kwiatkowski nie był w ciemną bitą. Zaraz za płatkami małżowiny, nieco poniżej kościstej wypukłości Kaczmarek dostrzegł coś, co zupełnie go zaskoczyło: dwie podbiegłe krwią rany, przypominające... No właśnie, to było najbardziej makabryczne skojarzenie, jakie trafiło się komisarzowi w jego długiej karierze śledczego. Dwie głębokie, choć niezbyt szerokie



rany, oddalone od siebie o kilka milimetrów przywodziły oczywiste skojarzenie z...

Rzadkie włosy na potylicy policjanta zjeżyły się niepostrzeżenie, a z ust śledczego wyrwał się niespodziewanie szept:

– Matko Boska... Wampir?

Kaczmarek zwykle nie wierzył w zjawiska nadprzyrodzone. Choć był wierzący, do kościoła zaglądał z rzadka, najczęściej w okolicy świąt. A i wtedy nie modlił się specjalnie nabożnie, gorliwością z pewnością nie grzeszył. Tym razem jednak ewidentnie miał do czynienia z czymś, co przywodziło na myśl opowieści o ludziach-wilkołakach. Dwie bliźniacze rany za uchem denata na pewno były przyczyną jego zejścia. Żeby to stwierdzić, nie trzeba było czekać na doktora Marciniaka. Penetrowały czaszkę wystarczająco głęboko.

„No właśnie, gdzie jest ten śrup?”<sup>2</sup> – przypomniał sobie znowu o starym lekarzu Kaczmarek.

Sęk w tym, że Marciniaka ciągle nie było, a tymczasem trzeba było przedsięwziąć podstawowe kroki, zmierzające do usunięcia nieboszczyka, czyli źródła sensacji, z holu wejściowego.

Na szczęście od kwadransa na miejscu był już przodownik Franciszek Nowak, chudy i równie blady jak denat piegus na miękkich nogach. Krzątał się wokół zwłok z nieprzyzwoicie dużym aparatem fotograficznym w dłoniach, dokumentując gorliwie miejsce zbrodni. Błyski flesza działały na Kaczmarka jak płachta na byka. W końcu nie wytrzymał.

– No, dość już tych zdjęć! – rozkazał. – Strzel mu raz jeszcze kalafę<sup>3</sup> i koniec!

– Tak jest! – Przodownik doskonale znał szefa i wiedział, że najwyższy czas zejść mu z drogi. Wykonał polecenie i pokornie odsunął się na bok.

Kaczmarek jakby się wreszcie przebudził. Szeroka twarz pulsowała mu teraz czerwienią, a do głowy przychodziły coraz konkretniejsze pomysły. Nie znosił pracy na oczach dyletantów. Zdecydował się więc nie czekać dłużej na lekarza.

– Musimy schować gdzieś denata – powiedział półszepem do Kwiatkowskiego i Nowaka. – Trzeba skończyć z tym zbiegowiskiem. Gdzie możemy go zanieść?

Kwiatkowski w mig pojął intencje śledczego.

– Za schodami jest kantorek ze środkami czystości – zaproponował.

– Rozejść się! – ryknął do mieszkańców byłego hotelu komisarz. – W dwie minuty ma tu być pusto! Do wyr, panowie. Do żon i piernatów!

Mało przyjazny ton głosu grubego policjanta wywołał w holu zamieszanie. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Minutę później komisarz, Kwiatkowski i Nowak byli jedynymi żywymi osobami w przestronnym przedsionku. Na komendę komisarza cała trójka chwyciła nieboszczyka za ręce i nogi i wniosła do niedużego pomieszczenia z miotłami i środkami czystości. Kaczmarek zdawał sobie sprawę, że nie postępuje zgodnie z procedurami śledczymi, ale nie miał wyboru. Lekarza ciągle nie było, a tymczasem nieubłaganie zbliżał się zimny poranek, a wraz z nim groźba jeszcze większego zbiegowiska w holu.

Dopiero teraz, gdy denat spoczął na plecach, komisarz mógł spojrzeć mu prosto w twarz. Mężczyzna miał nie więcej niż trzydzieści lat i niezdrową, pryszczatą cerę, wąski nos i równie cienki, podgalany bokami wąs, przypominający nieco charakterystyczny atrybut kanclerza Rzeszy. Wytrzeszczone oczy nieboszczyka były zmętniałe i nienaturalnie wielkie. Ktoś lub coś musiało go zaskoczyć, a raczej potężnie wystraszyć tuż przed zgonem. O ile oczywiście denat zdążył cokolwiek poczuć lub zrozumieć...

– Zna go pan? – Komisarz szturchnął lekko Kwiatkowskiego, który zachowywał podziwu godny spokój.

– Chyba nie... – odpowiedział z pewnym wahaniem.

– Na pewno?

– Wydaje mi się, że gdzieś już go widziałem... Ale nie, nie znam go. Nie mam pojęcia, kto to jest.

Kaczmarek zamknął drzwi kantorka i nakazał przodownikowi pilnować ich do momentu przybycia doktora Marciniaka. Sam skinął na Kwiatkowskiego i razem podeszli do prostej ławki stojącej na korytarzu. Gdy się na niej rozsiedli, komisarz bez zbędnego zażenowania ziewnął, a potem spojrzął prosto w oczy człowiekowi, który znalazł ciało.

– Czyli to pan znalazł tego nieszczęśnika – sapnął. – W jakich okolicznościach?

Kwiatkowski zmieszał się.

– Wyszedłem do ubikacji, panie władzo – odpowiedział nerwowym tonem, który natychmiast wzbudził zainteresowanie policjanta. – Pan rozumie, moje mieszkanie nie ma sraczyka... Mieszkam tu obok, na

parterze, więc idąc do ubikacji, przechodzę tędy, przez hol... Jak szedłem do kibla, to mi nic nie podpadło. Ale jak wracałem... Jak by to powiedzieć? No, coś mnie podkusiło, żeby wyrzeć o tu, zza tej kolumny. Patrzą, a tu ten trup leży...

– Denat!

– Znaczy się, denat, oczywiście... Nie ruszał się, tylko rękę w stronę schodów miał oooo tak wyciągniętą!

– Widziałem.

– I tak jakoś dziwnie cicho tu było...

– No co pan powiesz – burknął Kaczmarek. – W końcu mamy noc. A powiedz mi pan jeszcze, czy tu, w holu, w nocy nikogo nie ma? Żadnego cecia, stróża czy jak?

Leon Kwiatkowski poruszył się niespokojnie.

– O właśnie, ma pan komisarz rację! – podchwycił skwapliwie. – Tam, za tym biurkiem w prawym rogu, przy schodach... Tam zwykle siedzi Kabza...

– Kto?

– Marian Kabza, znaczy się, nocny stróż... No, ale niech pan spojrzy, jego nigdzie nie ma!

– Taaa... – mruknął komisarz.

Bystrość tutejszych mieszkańców miała swoje granice.

Poszukiwania portiera Kabzy nie przyniosły rezultatu. Nie było go ani w jego służbówce na pierwszym piętrze, ani na żadnym z korytarzy rozległego gmachu. Nocny stróż tego niezbyt świętego przybytku najwyraźniej akurat tej nocy porzucił swoje miejsce pracy za biurkiem. Zrobił to chyba w ekspresowym tempie, o czym świadczyła rozlana na blacie herbata z przewróconej szklanki, której – w zastępstwie Kabzy – napił się obficie wczorajszy „Kurier Poznański”.

Płachta gazety leżała na blacie mokra jak papier toaletowy. Kaczmarek pochylił się nad nią z zainteresowaniem. Portier musiał być kibicem Warty – zanim opuścił swoje stanowisko, czytał relację ze spotkania Zielonych z Wielkimi Hajdukami<sup>4</sup>. Dlaczego w takim pośpiechu stąd zbiegł? Co takiego zobaczył? A może... A może to on zgładził nieznanego mężczyznę, którego właśnie schowali w kantorku?

– Panie Kwiatkowski, pan znał tego Kabzę? – Komisarz postanowił wycisnąć ile się da ze swojego jedyne go źródła informacji.

– W zasadzie nie. Znałem go tylko z widzenia – odpowiedział z wahaniem chudy mieszkaniec ponurego gmaszyska.

– Czy on już tak kiedyś... zniknął?

Między mężczyznami zapadła cisza. Kaczmarek dostrzegł w rozbieganych oczach rozmówcy jakiś niepokój.

– O co chodzi, panie Kwiatkowski?

– Ja... Ja naprawdę nie mam z tym nic wspólnego – stęknął chudzielec.

– Czy ja coś powiedziałem? – zachnął się komisarz. – Chcę tylko wiedzieć, jaki był ten wasz cieć. I dlaczego nagle porzucił swoje miejsce. W środku nocy, zauważ pan. To dość niespotykane, nie uważasz?

Oczy Kwiatkowskiego rozszerzyły się, jakby za plecami grubego policjanta dostrzegł właśnie Białą Damę z kórnickiego zamku.

– Sądzi pan komisarz, że to on zamordował tego gościa w holu?

Stary doktor Wojciech Marciniak dotarł do byłej Polonii kwadrans później. Na widok zwłok ułożonych dość niedbale w ciasnym wnętrzu schowka skrzywił się z niesmakiem.

– Ej, Biniu, nie popisales się. – Łypnął na Kaczmarka z przyganą w spojrzeniu.

– Nie deliberuj, Wojtuś, tylko mi powiedz, co właściwie mu się stało. Bo nie wygląda to na atak serca – komisarz zbył uwagi wiekowego kolegi cierpką reprimendą.

Marciniak pochylił się nad nieboszczykiem i dokładnie go obejrzał. Poszło mu to zdecydowanie lepiej niż Kaczmarkowi. Szybko wychwycił nietypową ranę za uchem. A właściwie dwie rany.

– Sprawa banalna, choć charakter obrażeń już nie – orzekł, marszcząc nieco teatralnie brwi. – Ten nieszczęśnik otrzymał cios jakimś wąskim, długim narzędziem, który przebił mu potylicę. W zasadzie, zgon na miejscu. Szybki i bezbolesny.

Z tą ostatnią tezą Kaczmarek chętnie by polemizował, ale nie było na to czasu.

– Narzędzie miało chyba dwa ostrza – zauważył.

– Dlatego właśnie powiedziałem, że było niebanalne. – Stary Marciniak wzruszył ramionami, po czym nie bez wysiłku podniósł się z klęczek. –

Z charakteru ran wnioskuję, że mógł to być... szpikulec do lodu. Albo nie, raczej... widelec do mięsa. Albo jakiś ruszt.

Kaczmarek poczuł chłodny dreszcz między łopatkami. Na tak precyzyjne wnioski sam by się chyba nie porwał.

– Czyli nie wampir – mruknął sam do siebie.

Jakimś cudem stary doktor go dosłyszał. Uśmiechając się złośliwie, skomentował:

– Jeśli wampir, to z pewnością miał stalowe kły.

– Śmiertelny cios został niewątpliwie zadany fachowo – orzekł chirurg, gdy siedzieli nad filiżankami kawy w Willi Flora po przeciwnej stronie ulicy, przypatrując się leniwie wschodzącemu porankowi za oknem.

Zwłoki już dawno uprzątnięto, transportując je do nieodległego prosektorium na Śniadeckich. W budynku dawnego hotelu działał teraz przodownik Franciszek Nowak, rozpytując budzących się mieszkańców o portiera Kabzę. A policyjna starszyzna – czyli Kaczmarek i Marciniak – mogła choć przez chwilę delektować się zapachem kofeiny. I wymienić wnioski.

– Co masz na myśli, Wojtuś? – Dzięki kawie Kaczmarek nareszcie poczuł, że żyje. – Chodzi o miejsce trafienia denata?

– Tak. Zważywszy na narzędzie, jakim posłużył się morderca – odparł Marciniak. – Zakładając, że był to rzeczywiście widelec do mięsa, napastnik musiał posłużyć się nim bardzo... hm, precyzyjnie.

– To znaczy?

– Musiał zdawać sobie sprawę, gdzie i jak uderzyć.

– A nie łatwiej było mu dźgnąć denata w okolice serca? – zainteresował się Kaczmarek.

– Pewnie było. Ale z jakichś względów zrobił, jak zrobił...

– Zaatakował z zaskoczenia, od tyłu.

– Prawdopodobnie...

Zamilkli na moment. Doktor Marciniak zdawał sobie sprawę, że za chwilę musi stawić się w prosektorium, przesuwał więc moment odejścia od stolika, jak tylko mógł. Perspektywa wystawienia starych kości na jesienny ziąb nie należała do specjalnie nęcących.

– Mężczyzna? – rzucił w końcu znad kawy Kaczmarek.

– Niekoniecznie. – Marciniak nawet nie drgnął. – Posługiwanie się tak wąskim narzędziem wcale nie wymaga użycia wielkiej siły. Widelec

wchodzi jak w masło. No, prawie jak w masło...

– Czyli kobieta?

– Tego nie powiedziałem, Biniu. To już twój ambaras.

Lubili się i szanowali. Znali się od kilkunastu lat, wspólnie rozwiązali przynajmniej pół setki mniej lub bardziej skomplikowanych spraw. Marciniak, dużo starszy, traktował początkowo komisarza z ojcowską troską. W ostatnich latach ich relacja stała się bardziej zażyła i partnerska.

– Dziękuję, Wojtuś – powiedział komisarz. – Daj znać, jeśli przypadkiem odkryjesz coś jeszcze.

– Ma się rozumieć, panie kolego. – Marciniak z żalem dopił ostatnie krople kawy i podniósł się z krzesła. – Choć szczerze mówiąc, nie spodziewam się więcej sensacji. Sprawa i tak jest wystarczająco dziwna.

– To prawda – burknął Kaczmarek.

Lata obcowania z makabrą stępiły w nim wszelkie emocje.

Przodownik Nowak – warszawiak rzucony na służbę do Poznania – miał rude włosy, złote piegi wokół wąskiego nosa i nie potrafił ustać spokojnie przed przełożonym, co rusz drapiąc się, jakby jakiś grunwaldzki kot sprzedał mu tuzin pcheł. Ta niezborność podwładnego drażniła Kaczmarka, a że nie grzeszył cierpliwością, w końcu nie wytrzymał.

– Przestań mi się tu ryłotać <sup>5</sup>, nygusie! – zgał go surowym tonem. – Lepiej melduj, co ustaliłeś!

Nowak, słabo obyty z poznańską mową, nie zrozumiał pierwszego zdania. Za to drugie – doskonale.

– No więc melduję posłusznie, że ten Kabza to był pijak i, za przeproszeniem, bawidamek – wyrzucił z siebie kwintesencję powtarzających się zeznań kilkunastu mieszkańców gmachu, których zdołał przesłuchać w ciągu niespełna dwóch godzin. – I jeszcze jedno, panie komisarzu. Podobno często schodził ze służby. Znajdywali go potem w piwnicy z butelką czegoś mocniejszego...

– Sprawdziłeś piwnicę?

– Tak jest, panie komisarzu. Razem z posterunkowym Wilkiem. Nikogo nie znaleźliśmy.

– A jego rodzina?

– Kabzy, znaczy się? W budynku nikt taki nie mieszka.

– A co mówią ludzie? Gdzie mieszka ten ochlapus?

– Ponoć na Wildzie. Gdzieś na Wierzbęćcach zdaje się. Już tam posłałem Wilka.

– No! – podsumował Kaczmarek, co miało być zapewne najkrótszą możliwą pochwałą, choć zabrzmiało jak przestroga. – Zanim Wilk wróci, nie zawadzi zajrzeć jeszcze w kilka miejsc. Idziemy, Nowak. No, zbieraj się! Najpierw obejdziemy wszystkie sracze w budynku. Przecież ten stróż to nie duch, nie rozpułynał się w powietrzu!

Choć dawny hotel uchodził swego czasu za miejsce dość ekskluzywne, to tylko nieliczne lokale mieszkaniowe posiadały własne toalety. Na piętrach znajdowały się ubikacje zbiorowe, dostępne dla wszystkich mieszkańców rozległego budynku. Lustracja tych pomieszczeń, dokonana przez dwóch krańcowo różnych funkcjonariuszy – otyłego gościa pod czterdziestkę i chudzinę po dwudziestce – wzbudziła niemałą sensację. Pora była poranna, więc ubikacje i połączone z nimi łazienki przeżywały szczyt zainteresowania. Nie zbiło to jednak z tropu upartego śledczego.

Niestety, cieć Kabza uparcie nie dawał się odnaleźć, mimo że Kaczmarek i Nowak sumiennie zaglądali do każdej klozetowej kabiny. Kiedy zdarzało się, że była zajęta, cierpliwie czekali, aż delikwent – a w kilku przypadkach delikwentka – opuszczą, za przeproszeniem, miejsce posiedzenia. Żadna z osób korzystających z ubikacji nie okazała się jednak nocnym cieciami Michałem Kabzą.

– Na strych! – wysapał na koniec spocony i bardzo zdeterminowany Kaczmarek.

Dysząc jak parowozy, wdrapali się po schodach na ostatnią, siódmą kondygnację. Korytarz zrobił się momentalnie wąski i zimny. Po prawej znaleźli drzwi, w dodatku otwarte. Weszli do długiego, wąskiego pomieszczenia ze skośnym, niskim sufitem. Z trzech półkolistych okien sączyło się do środka słabe światło, wyławiając z półmroku pojedyncze stare meble. Wśród nich – archaiczne łóżce z fantazyjnie wygiętą, mosiężną ramą.

– Tam... – Głos Nowaka zadrżał niespodziewanie. – Tam ktoś leży...

\*

Oczy Kaczmarka długo przyzwyczajały się do głębokiego cienia wnętrza, aż w końcu i one dostrzegły to, co zauważył Nowak. Na starym łóżku, z rozrzuconymi fantazyjnie w X rękoma i nogami, leżał nieprzytomny mężczyzna w bliżej nieokreślonym wieku. Sądząc po

marynarce z naszywką „Polonia” na kieszeni, mógł być poszukiwanym nocnym stróżem.

Policjanci podeszli do niego na tyle blisko, że przodownik zbladł.

– Panie komisarzu, on... On ma krew na brzuchu... – Nowak mimowolnie odwrócił wzrok.

– Cicho, głupi – mruknął Kaczmarek, nachylając się nad ciałem. – Daj zobaczyć...

Koszula rzeczywiście była czerwona. Ale twarz śledczego szybko się rozpromieniła, a jego ruchy nabrały pewności.

– Nabąbany <sup>6</sup> jak bąk – zawyrokował. – Patrz tu, Nowak. Widzisz tę flaszkę obok nogi? Coś mi się zdaje, że to węgierska kadarka. Albo coś podobnego, tylko mocniejszego... Tak był bejt, że się winem opypłał, neper jeden... <sup>7</sup>.

Kaczmarek nie mylił się ani trochę. Ciec Kabza spał snem sprawiedliwego, od czasu do czasu pochrapując. Aż dziw brał, że zdołał dotrzeć na siódmą kondygnację, zanim zaniemógł raz, a ostatecznie.

„A może... ktoś mu w tym pomógł?” – przemknęło przez głowę Kaczmarka.

– No, to przynajmniej jedna zguba się znalazła – podsumował komisarz. – Tylko, cholera jasna, musimy długo poczekać, zanim go przesłuchamy. Jak znam życie, i tak nic nie będzie pamiętał...

Potencjalny świadek był mocno niedysponowany, Kaczmarkowi nie pozostało więc nic innego, jak skoncentrować się na poszukiwaniu ewentualnego narzędzia zbrodni. Narzędzia, którego nie znaleziono w holu przy denacie. A ponieważ ufał doświadczeniu starego Marciniaka, zaczął od ustalenia, że w budynku starego hotelu ciągle istniała kuchnia. W dodatku w rogu jednego z korytarzy na parterze – a więc stosunkowo blisko miejsca zbrodni. Wprawdzie była już nieużywana, nadal jednak zaopatrzona w szafki pełne kuchennej zastawy. W szufladach srebrzyły się łyżki, widelce, noże, chochle i inne tego rodzaju cuda. W jednej z nich komisarz odnalazł to, co go interesowało najbardziej – długi, podwójny szpikulec do nabierania pokąsanych kawałków mięsa z tacy lub talerza. Tyle że akurat ten egzemplarz nie wyglądał na dopiero co używany. I chyba był nieco za mały, zważywszy na charakter ran stwierdzonych u denata.



Franciszek Nowak przyglądał się szpikulcowi z paniką w oczach. Także on zrozumiał, że śledztwo podąża właściwym torem.

– Zabezpieczcie ten widelec do mięsa – nakazał swojemu podwładnemu Kaczmarek. – Musimy sprawdzić odciski palców. Chociaż coś mi mówi, że będzie czysty jak łąka.

– Już się robi – przytaknął Nowak.

Fachowo, za pomocą chustki, wyjął sztuciec z szuflady i schował go w swojej raportówce.

– Kto ma tu wstęp? – Kaczmarek zapytał przywołanego ponownie Kwiatkowskiego.

– Jak sam pan komisarz widzi, każdy.

– Każdy? I nikt nie zwędził zastawy? – zdziwił się komisarz.

– Nikt, panie komisarzu, bo w tej kuchni wydają posiłki dla biedoty...

– Kto wydaje?

– Opieka społeczna, zdaje się... Sam tam chodzę na obiady.

– Opieka społeczna? Mów pan jaśniej, do cholery! Kto konkretnie?

– Pan wybaczy, nie wiem. Nie pytam, skąd są i co robią... Jak dają, to biorę i jem.

„Co za prymitywny osobnik” – pomyślał nie bez złości Kaczmarek.

– O której przychodzą? – zapytał.

– Codziennie o trzynastej. Przywożą zupę i drugie danie.

– Hm... – mruknął rozeźlony Kaczmarek, zerkając na zegarek. – Trudno, poczekamy.

Pokaźny brzuch policjanta zaburczał nieprzyzwoicie głośno. Na wzmiankę o dwudaniowym obiedzie w trzewiach funkcjonariusza obudził się demon głodu.

Obiad z opieki społecznej przyjechał pięć minut przed trzynastą. Przywiozła go chuda kobiecina z twarzą noszącą ślady przebytej niedawno ospy. Na jej widok Kaczmarek jakoś stracił apetyt. Choć z przywiezionego konnym wozem gara pachniały apetycznie ślepe ryby, niechybnie z myrdyrdą <sup>8</sup>, a z innego stalowego pojemnika uśmiechała się do niego kasza, nie naraził etosu oficera policji państwowej na szwank.

– Jest pani sama? – zapytał, gdy dwa osiłki pomogły zataszczyć garnki do kuchni, a potem oddaliły się spieszenie.

– A kto pyta? – kobieta z opieki społecznej nie dała się zbić z tropu.

– Komisarz Kaczmarek, policja. – Śledczy wyciągnął policyjną odznakę.

– A, to tak... – zawahała się. – No, w zasadzie sama. Bo, widzi pan, zaginał mój pomocnik.

W tyle głowy Kaczmarka rozdzwoniły się sygnały alarmowe.

– Zaginał? – powtórzył stwierdzenie interlokutorki. – A jak, za przeproszeniem, wyglądał?

Nieco chaotyczny opis, dokonany przez roztrzęsioną kobietę, nie pozostawiał żadnych złudzeń – zamordowanym w holu dawnego hotelu musiał być niejaki Antoni Kropka, lat 30, zatrudniony na pół etatu w Wydziale Opieki Społecznej Grunwald. Kawaler, człek ponoć spokojny i bez nałogów, raczej niemający. Podobno był znany i lubiany przez mieszkańców dawnej Polonii. Tak przynajmniej utrzymywała Zofia Kocięcka, osamotniona pracownica Wydziału Opieki Społecznej.

– A dlaczego pan pyta o Antoniego? – zakończyła swoją opowieść lękliwie zadany pytaniem.

Kaczmarek nie lubił być indagowany o sprawy służbowe przez dyletantów i cywilów. Widząc sporą kolejkę wygłodniałych mieszkańców, formującą się w korytarzu, zastosował unik.

– Pani Zofio, proszę czynić swoją powinność. Wrócimy do naszej rozmowy, gdy pani skończy.

Obserwując, jak Kocięcka wyraźnie drżącą dłonią nalewa zupę na talerze, zastanawiał się, co Kropka robił w środku nocy w Polonii. Pewna myśl narzucała się sama przez się. Musiał to jednak sprawdzić.

Całe szczęście, że do prosektorium było z Polonii niedaleko. Dzięki temu Zofia Kocięcka nie zdążyła wpaść w całkowity rozstrój nerwowy, a spacer na Śniadeckich nieco ją uspokoił. Oględziny zwłok potwierdziły najgorsze obawy Kaczmarka. Świadek Kocięcka zakryła dłonią oczy i zaszlochała głośno, potwierdzając tym samym, że denat to Antoni Kropka.

– A powtarzałam mu, żeby do niej nie chodził! – wyrwało się z ust kobiety.

– Kto?! Do kogo?! – Komisarz przyskoczył do kobiety, choć odpowiedź na pierwsze pytanie wydawała się oczywista.

– No on! Antoni! – wybuchła płaczem. – Za tą lafiryndą to by w ogień poszedł!

Kaczmarek westchnął głęboko. Właśnie zrozumiał, że śledztwo wreszcie wskoczyło na właściwe tory. Nie wątpił, że dojedzie po nich do szczęśliwego finału.

– O jaką, za przeproszeniem, lafiryndę, szanownej pani chodzi? – zapytał, siląc się na wyszukaną uprzejmość.

Małgorzata Śledziowska, na pierwszy rzut oka niebrzydka, zgrabna trzydziestolatka z blond włosami upiętymi w kok, mieszkała na pierwszym piętrze, a okna jej skromnego lokum, oświetlone teraz nieśmiałym słońcem, wychodziły na tyły dawnego hotelu, na teren koszar przy Stolarskiej. Kobieta sprawiała wrażenie zaskoczonej wizytą ubranego po cywilnemu komisarza policji w asyście umundurowanego przodownika policji. A może tylko tak się Kaczmarkowi wydawało?

W każdym razie bez zbędnego owijania w bawełnę przyznała, że zna Antoniego Kropkę.

– Jak dobrze? – Kaczmarek porzucił wszelkie skrupuły.

– Nie rozumiem... – Śledziowska zarumieniła się, co oznaczało, że doskonale rozumie, o co jest pytana.

– Szanowna pani, proszę usiąść. – Komisarz wskazał jej jedyne krzesło w pokoju.

Kobieta zbladła, ale posłusznie wykonała polecenie.

– Przykro mi poinformować, że Antoni Kropka nie żyje.

Wypowiadając te słowa, Kaczmarek uważnie studiował wyraz twarzy Śledziowskiej. Zawiódł się. Twarde rysy policzków nagle zwiotczały, a kobieta zaniósła się szczerem, bynajmniej nie teatralnym płaczem.

Jej szloch wprowadził w zakłopotanie przodownika Nowaka. Wydobył z kieszeni munduru chustkę i zaproponował ją kobiecie. Odmówiła.

Kaczmarek zachował spokój. Cierpliwie odczekał, aż Śledziowskiej minie pierwszy szok. Po około pięciu minutach, gdy kobieta pogodziła się z tragiczną wiadomością, przystąpił do dalszych pytań.

Śledziowska odpowiadała krótko, rzeczowo. Przyznała, że z Kropką łączyło ją poważne uczucie. Że zaglądał do niej wieczorami, po pracy. A zdarzało się, że nawet w nocy. Zamierzali się pobrać, Antoni dał już nawet na zapowiedzi w kościele św. Marcina. Tyle że poprzedniego dnia – a właściwie nocy – nie przyszedł. Choć zapowiedział wizytę.

– Czy Kropka miał wrogów? – Kaczmarek zmarszczył brwi.

– Nic o tym nie wiem. – Śledziowska wyglądała na wystraszoną. – Był raczej cichym, spokojnym człowiekiem... Boże, za co mi to zrobiłeś?

– Proszę się uspokoić. – Teraz komisarz wydobył z kieszeni chustkę i podał przesłuchiwanej. – Zapewniam panią, że to nie sprawka Boga. I że zrobimy wszystko, by wykryć sprawcę.

Wypowiadając te słowa, zdał sobie sprawę, że wcale nie będzie łatwo. W Polonii mieszkało przecież – lekko licząc – ponad tysiąc osób. I jak tu szybko wskazać tego jednego winnego?

Jedno wszakże nie ulegało dla Kaczmarka wątpliwości – Małgorzata Śledziowska nie miała z tym nic wspólnego. Jej rozpacz była nie do zagrania. A jeśli nie ona, to kto?

Nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, komisarz doznał olśnienia.

– Nowak?! – ryknął.

– Jestem, panie komisarzu... – Przodownik zbladł tak bardzo, że z jego na poły dziecięcej twarzy poznikały piegi.

– Słuchaj no, huncwocie – mruknął w przypływie dobrego humoru Kaczmarek. – Kiedy tylko w kuchni skończą ze sprzątaniami garów, wypytaj szczegółowo tę Kocięcką o jej relacje z denatem. Bardzo szczegółowo. I długo, jasne?

– Tak jest! – Rudowłosy pomocnik skinął głową.

– Prowadź przesłuchanie tak długo, aż nie przyjdę do was.

– Tak jest!

– No to do roboty!

Nowak strzelił obcasami, skłonił się kobiecie i wyszedł z lokalu Śledziowskiej.

– Proszę się położyć i odpocząć, pani zeznania spisujemy później – zaproponował Kaczmarek. – Pani wybaczy, muszę jeszcze coś sprawdzić...

Zanim zabrał się do ponownego przeglądania szuflad, włożył rękawiczki. Potem szybkimi ruchami otwierał kolejne schowki na sztuce i dokładnie lustrował ich zawartość. Zauważył, że brakowało łyżek i widelców, ale to łatwo było wytłumaczyć – część ubogich mieszkańców gmachu zabrała zapewne obiad do swoich mieszkań. Szufladę, w której poprzednio natknął się na widelec do mięsa, zostawił na koniec.

Przecucie nie zawiodło starego wilka. Gdy otworzył ostatnią z szuflad, na jej dnie spoczywał potężny widelec do mięsa, którego nie było tu

wcześniej. Zdecydowanie większy od tego, który przed dwoma godzinami zabezpieczył przodownik Nowak.

Na ustach komisarza wykwiłł ironiczny uśmieszek.

– Mam cię, wampirze – powiedział. – A raczej twoje zęby.

Zofia Kocięcka przyznała się dopiero po godzinnym przesłuchaniu w Prezydium Policji, gdy Kaczmarek okazał jej narzędzie zbrodni. I poinformował jednocześnie, że pomimo nieudolnych prób zatarcia śladów znaleziono na nim liczne odciski jej palców.

Kobieta nie okazała żadnej skruchy.

– To on doprowadził mnie do tego czynu! – wybuchła. – To przez Antoniego! Nie zwracał na mnie uwagi! W ogóle! Ciągłe tylko biegał do tej lafiryndy z pierwszego piętra! Jakby dostał jakiegoś amoku, niewdzięcznik jeden! Kto mu tę pracę znalazł?! No kto?! Kto za niego w urzędzie poręczył?! Musiałam go jakoś ukarać! Musiałam!

Gdy zalała się łzami, tłukąc pięściami o blat biurka, Kaczmarek spokojnie zatelefonował po Nowaka i nakazał wyprowadzić ją do aresztu.

Napruty cieć Kabza doszedł do siebie pod wieczór. Przynajmniej na tyle, by zeznać nieskładnym głosem, że nic nie pamięta.

Dopiero następnego ranka pogrążył Kocięcką. Był już w stanie przypomnieć sobie, że poprzedniej nocy to właśnie ona odwiedziła go z winem. I że opuścił swoje stanowisko, by w wyśmienitym nastroju udać się z dobrze mu znaną kobietą na strych. Liczył na małe *in flagranti*, ale na górze zwyczajnie urwał mu się film.

Technicy z komendy ustalili, że Kocięcka dosypała Kabzie do flaszki mocny środek nasenny, który ściał recepcjonistę jak kosa. Tym samym akt oskarżenia wobec Zofii Kocięckiej napisał się sam.

– Ale niech mi pan powie, panie komisarzu... – przodownik Franciszek Nowak zwrócił się do znanego z porywczosci szefa przymilnym tonem. – Skąd pan wiedział, że ona podrzuci ten widelec do kuchni?

Siedzieli w policyjnej stołówce, przegryzając ostatnie, nieco już zeschnięte bułki z twarogiem i popijając kawę.

Kaczmarek uśmiechnął się nieskromnie. Pytanie podwładnego mile połechtalo jego ego.

– Intuicja – odpowiedział. – Trzeba zwracać uwagę na detale.

– Detale? – podchwycił Nowak.

– Każdy drobiazg jest ważny – pouczył go komisarz. – Nawet pozornie nic nie znaczący. Pamiętasz, jak wyglądał denat na miejscu zbrodni?

– No... – zawahał się Nowak. – Leżał dosyć sztywno, z ręką do przodu...

– Nie do przodu, przyjacielu, tylko w stronę schodów.

– Czyli ona uciekła na schody? – Przodownik wybałuszył oczy.

– Jaka ona? Na jakie schody? – zniecierpliwiał się Kaczmarek. – Czego oni was tam w tej stolicy uczą, że nie rozumiecie prostych spraw? Tu chodzi o to, co było za schodami! No, co tam było, Nowak?

Przodownik wysilił pamięć.

– Kantorek – wypalił.

– Ja ci dam kantorek! Co było dalej, Nowak?

– Korytarz. A potem kuchnia.

– Ano właśnie, orle Temidy! Kuchnia! – roześmiał się komisarz. – Ręka denata zapewne nieprzypadkowo wskazywała w tę stronę. To była pierwsza ważna wskazówka. A druga...

Przodownik Nowak spojrzał na komisarza z lękiem. Jakoś nie potrafił zgadnąć, o co chodzi tym razem.

– A druga sprawa, mój kolego, to umiejętność obserwacji. Widziałeś, jak trzęsły się ręce Kocięckiej, gdy nalewała zupę? Rozlewała ją, jakby miała coś na sumieniu...

– Tak było – potwierdził zaaferowany Nowak.

– I wreszcie rzecz trzecia, chyba najważniejsza. Rzecz, której ci, Nowak, jeszcze brakuje. Chodzi o... znajomość życia.

– Życia?

– Tak, szcunku<sup>9</sup>. Bo życie, musisz wiedzieć, to nieustanna gra emocji. Uczuć, lęków, frustracji. A które z nich są najmocniejsze, co?

– No, chyba złość. Nienawiść, znaczy się...

– Pudło, panie kolego. Największą siłę ma miłość, osobliwie miłość wzgardzona albo zawiedziona. Ta prowadzić może do rzeczy najgorszych. Nawet do zbrodni. A cała sztuka polega na tym, żeby wyczuć te złe emocje. Przewidzieć i dobrze ulokować. Rozumiesz? Zapamiętaj to sobie, huncwocie. A najlepiej zapisz.

Nowak słuchał szefa z rozdziawioną gębą. Nie spodziewał się po nim tylu mądrości, w dodatku wypowiedzianych z taką życzliwością. Gdyby nie

codzienne zwyczajowe obsztorcowywanie przez komisarza, gotów byłby pomyśleć, że szef go jednak lubi...

– Z pana komisarza to naprawdę niezły psycholog – wyrwało mu się w naiwnej wierze, że szef doceni komplement.

Kaczmarek łypnął na niego podejrzliwie.

– Już ja wiem, o co ci chodzi, warszawiak! Ale nic z tego. Koniec blałki! <sup>10</sup> Zasuway pisać raport! Ma być gotowy jeszcze dziś!

Gdy rudowłosy pomocnik wybiegł ze stołówki, komisarz cmoknął z niesmakiem. Kiedy on, Zbigniew Kaczmarek, był przodownikiem, w życiu nie pozwolił sobie na takie spoufalanie się z przełożonym.

1. Stary, gadatliwy człowiek. (W przypisach wyjaśnienia słów z gwary poznańskiej). ↵
2. Pryk. ↵
3. Twarz. ↵
4. Klub piłkarski z Chorzowa, dzisiejszy Ruch. ↵
5. Kołysać się. ↵
6. Wypity, opity. ↵
7. Tak był wykończony, że pobrudził się winem, menel jeden... ↵
8. Zupa ziemniaczana z zasmażką. ↵
9. Łobuz. ↵
10. Wagary. ↵

**GUZIK**

**Bohdan Głębocki**



Antoni Kaczmarek ustawił krzesło przy oknie. Spojrzał w niebo. Nad Starym Rynkiem krążyło stado gawronów. Musiał podjąć decyzję. Spieniężenie kolekcji płyt pani Kaczmarkowej nie pomoże. Bejmów niewiele, poruta straszna. Detektyw Kaczmarek wyprzedaje pamiątki, bo z niego dupa, a nie detektyw. Już lepiej zbyć mieszkanie na Strusia i wprowadzić się do biura na Koziej. Pieniądzy wystarczy nawet na dwa lata. Basia w tym czasie zda maturę. Razem z przyjacielem, od tragicznej śmierci matki oraz brata, łożyli na utrzymanie dziewczynki i jej dzieciennego ojca. Studia będą kosztować, ale pełnoletniej Barbarze może przesyłać pieniądze równie dobrze z daleka. Dwa dni temu spotkał frontowego kolegę, który jechał do Francji zaciągnąć się na hiszpańską wojnę. Antek uznał, że do republikanów, i głośno wyraził zdziwienie. Kamrat czerwonych nienawidził, ale okazało się, że doświadczonych żołnierzy szukali również powstańcy Franco. Może za rok lub dwa będą ich potrzebować nadal. Płacili hojnie. Sprawa była oczywiście poufna, bo prawo ścigało służących w obcym wojsku. Rozważania legalności hiszpańskiej eskapady przerwał dzwonek do drzwi.

– Idę, idę...

Na korytarzu minął lustro. Sfatygowany garnitur wciąż nie najgorzej leżał. Szyty na miarę dla komisarza Kaczmarka, szczęśliwego męża prześlicznej Marysi.

Natręt przestał dzwonić. Antek otworzył drzwi. Szczupły mężczyzna nosił drogie palto i w niczym nie przypominał zwyczajnych klientów Biura Detektywego.

– Pan Kaczmarek? Polecono mi pańskie usługi w Agencji Oko.

Detektyw zaprosił mężczyznę do środka. Rekomendacja konkurencji wzbudziła niepokój.

– Proszę się rozgościć. Lampkę koniaku na rozgrzewkę?

Kaczmarek miał szczerą nadzieję, że mężczyzna odmówi, bo w butelce pozostało już bardzo niewiele złocistego napoju. Potencjalny klient nie zawiódł Antoniego.

– Od razu przejdę do sedna. Muszę wiedzieć, czy podejmie się pan zlecenia, które koledzy odrzucili. Jak sądzę, ze strachu.

Kaczmarek usiadł naprzeciwko mężczyzny. Tamten zyskał w jego oczach, w mig rozgryzając detektywów z bożej łaski. Nie był stąd, leciutko zaciągał po wschodniemu. Lwów raczej nie, Antek postawił na Wilno.

– Nazywam się Józef Rutkowicz i reprezentuję pewną zacną damę. Moja pracodawczyni nie ma własnych dzieci i jak do niedawna sądziła – żadnych żyjących krewnych. Mówię do niedawna, bo miesiąc temu odkryła, z niewielką pomocą z mojej strony, że w Polsce mieszka jej bratanek.

Kaczmarek wziął do ręki pióro. W Polsce? Czyżby zleceniodawca z zagranicy?

– Cóż... Drogi panie, ustalanie pokrewieństwa przypomina ruletkę. Po wojnie...

Rutkowicz przerwał detektywowi.

– Proszę wysłuchać mnie do końca. Pokrewieństwo zostało ustalone bez wątpliwości. Pana zadanie polegałoby na zbadaniu, jakby to ująć, poglądów politycznych bratanka.

Kaczmarek uznał, że jego rozmówca jest prawnikiem. Posiadał prawdziwy talent gmatwania opowieści.

– Księżna – musisz pan wiedzieć, że pracuję dla rosyjskiej księżnej – zanim zapisze cokolwiek bratankowi, pragnie mieć pewność, że nie przystał on do bolszewików. Chłopak przeszedł piekło. Nikt dokładnie nie wie, co go pod władzą komunistów spotkało. Księżna pani jest na dodatek aktywna w środowisku rosyjskich monarchistów, a ostatnio miały miejsce pozałowania godne incydenty. Nie będę wchodził w szczegóły, które są w tej chwili nieistotne. Pytanie zasadnicze brzmi: czy podejmie się pan, panie detektywie, ustalenia powiązań, hipotetycznych powiązań, bratanka z komunistami. Jak wspomniałem, księżna pani jest osobą majątną, zatem bądź pan pewien adekwatnego honorarium.

Adekwatne. Hipotetyczne. Piękne określenia. Księżnej zależało na dyskrecji, inaczej zwróciłaby się do kogoś związanego z defensywą lub policją polityczną. Swoją drogą ciekawe, co poza pieniędzmi skłaniało ludzi pokroju Rutkowicza do wysługiwania się Moskałom. Kaczmarek do białych Rosjan nic nie miał, ale sama myśl o zleceniu od Niemców napawała go odrazą.

– Rozumiem, że księżna pani będzie życzyła sobie udokumentowania bolszewickich sympatii bratanka. To znacząco zwiększy koszt.

– Hipotetycznych sympatii, drogi panie, proszę nie zapominać. Nie zamierzam się targować. Szczegóły później. Potrzebuję deklaracji. Tak, wchodzę w to. Nie, pocałujcie mnie w dupę.

– Tak, wchodzę w to. – Pod szyldem Biura Detektywnego Kaczmarek równie dobrze mógłby umieścić napis „przyjmę każde zlecenie”.

Rutkowicz zatarł z zadowolenia dłoń.

– Niech mi będzie wolno pogratulować panu trafnej decyzji. Nie będziesz pan żałował.

\*

Godzinę później Kaczmarek znał imię i nazwisko bratanka, a także wzbogacił się o pięćset złotych na poczet kosztów. Całe wynagrodzenie opiewało na dwa razy tyle plus wydatki. Rutkowicz, tak jak obiecał, niespecjalnie się targował i Antek szybko pożalował, że nie zażądał więcej. Klient zażyczył sobie tylko dokładnej specyfikacji wydatków operacyjnych. O to zadba Basieńka. Okazało się też, że Rutkowicz rzeczywiście był adwokatem, ale z przyczyn, o których nie chciał mówić, zmuszony był zawiesić praktykę. Umówili się następnego dnia, o drugiej. Do tego czasu Kaczmarek miał opracować sposób niezawodnego ustalenia, czy bratanek księżnej jest bądź nie kryptokomunistą.

– Panie Antoni, proszę o wybaczenie, ale mam następne spotkanie.

Rutkowicz wstał. Przez okno dostrzegł coś na ulicy. Coś, co go bardzo wzburzyło. Z Biura Detektywnego wybiegł, na schodach wkładając kapelusz i palto.

Pośpiech mecenasa rozbawił Kaczmarka. Jedną z nielicznych zalet pracy na swoim polegała na tym, że nigdzie nie musiał się spieszyć. Parasol! Rutkowicz o nim zapomniał. Spiżowe chmury nad Poznaniem zapowiadały deszcz. Z parasolem w ręce detektyw ruszył tropem klienta. Tak jak stał, w garniturze.

– Panie Rutkowicz, proszę poczekać!

Nikt nie odpowiedział. Kaczmarek zbiegł na dół. Na ulicy również nie było śladu po mecenasie. Szybki drań. Nieważne, parasol nie zginie, jutro trafi do właściciela. Kiedy dotarł na półpiętro, usłyszał przeraźliwy krzyk, a potem łoskot uderzenia. I rozpaczliwe wołanie pomocy. Zawrócił. Musiał sprawdzić, co się stało. Gapie gromadzili się wokół czegoś leżącego na bruku. Rozległy się policyjne gwizdki. Policjanci nadbiegali co najmniej z dwóch stron. Kaczmarek przepchnął się do pierwszej linii ciekawskich, bo część przechodniów z wyrazem obrzydzenia na twarzach szybko odchodziła. To, co ujrzał, rzeczywiście wyglądało niesmacznie. Widział w życiu niejedno, ale ludzkie szczątki wciąż robiły na nim wrażenie.

Szczególnie jeśli należały do kogoś znajomego. Na bruku, w kałuży krwi, leżał mecenas Rutkowicz.

– Proszę państwa, proszę się rozejść. Nie ma tu nic do oglądania.

Poznaniacy posłusznie odsunęli się od trupa. Antoni rozpoznał głos. Wicek Kaleta, przodownik z Gołębiej. Policjant skinął Kaczmarkowi głową i zagadnął:

– Samobójca.

– Nie sądzę. Nie dalej niż pięć minut temu rozmawiałem z nieboszczykiem. To morderstwo.

Detektyw rozejrzał się. Bez wahania wytypował kamienicę stojącą naprzeciwko Biura. To z jej dachu musiał spaść mecenas. I właśnie z tego budynku wyszedł szczupły mężczyzna. Zbiegowisko nie przyciągnęło jego uwagi. Wręcz przeciwnie, szybkim krokiem oddalał się w stronę Szkolnej.

Bez palta i kapelusza, za to z parasolem w ręku Kaczmarek ruszył jego śladem.

– Proszę pana, proszę pana!

Wołanie Antoniego Kaczmarka sprowokowało mężczyznę do przyspieszenia. Po chwili zniknął za narożnikiem. Skręcił w stronę placu Świętokrzyskiego. Kiedy Kaczmarek dobiegł do Szkolnej, w oddali zamajaczyła odjeżdżająca taksówka. Świadek, a może morderca, uciekł.

Na miejscu zdarzenia pojawił się drugi policjant. Kaczmarek go nie znał. Zwłoki przykryto dwoma kocami. Kaleta rzucił detektywowi błagalne spojrzenie.

– Młodego zostaw na dole, a my obejrzymy dach. Po mojemu to będzie sprawa dla Prezydium.

– Kamień z serca, Antek! – Przodownik głośno odetchnął. – Kamień z serca.

Przejście na dach nie było zamknięte, niemniej oględziny prawdopodobnego miejsca zbrodni nic nowego nie wniosły. Wrócili na ulicę. Kaczmarek chciał raz jeszcze obejrzeć zwłoki mecenasa. Podniósł koc. Puste spojrzenie nieboszczyka przywołało ponure wspomnienia. Na wojnie bywały dni, że widział więcej martwych niż żywych. Powinien przywyknąć, ale tak się nie stało. Oględziny okazały się owocne. Mecenas trzymał w palcach guzik. Ważny dowód. Kaczmarek zrobił zdjęcie swoją Leicą. Na szczęście wczoraj zapomniał wyjąć ją z kieszeni.

– A co to za cywile kręcą się wokół mojego trupa?!

Detektyw podniósł głowę. Komisarz Przybylski, kolega. Żartowniś.

– Przybył Przybył. Odwalam tu za ciebie robotę, stary druhu.

– Antoś, odwalaj ile chcesz, byle nie dotarło to do jaśnie wielmożnych galicyjskich uszu. – Przybylski miał na myśli podinspektora Protazego Zadworskiego, osobistego wroga Antoniego Kaczmarka. – Cóżeś takiego wykombinował?

Detektyw wskazał kamienicę, z dachu której spadł mecenas, a potem pokazał dowód ściskany w dłoni nieboszczyka.

– Ale to nie wszystko. Dostaniesz ode mnie nazwisko sprawcy.

Przybylski dawno przestał wierzyć w Świętego Mikołaja. Wiedział jednak, że Kaczmarek nie rzuca słów na wiatr.

– Co chcesz, Antoś, w zamian? I opowiedz mi jeszcze ciut więcej o tym, co tu zaszło.

Detektyw opowiedział nawet więcej niż ciut. Także o zleceniu, które stało się nieaktualne z powodu śmierci zleceniodawcy.

– Powinien pan kolega zainteresować się Władysławem Sawinem, chłopakiem, którego miałem dla nieboszczyka sprawdzić. Czy to sprawca, tego nie wiem, ale korzyść ewidentną ze śmierci mecenasa odniósł. Mam jego adres. A nagrodą dla mnie się nie przejmuj. Niech tylko nasza współpraca kwitnie dalej.

Przybylski zanotował adres Sawina, poklepał Kaczmarka po plecach i kazał zmiatać, żeby nie napatoczył się jakiś przydupas Zadworskiego. Detektyw nie protestował. Należał mu się obiad i piwo. I ciastka na wynos, dla Basieńki.

Kaczmarek odłożył ołówek. Koślawe słupki odejmowania wskazywały, że zaliczka za niewypełnione zadanie utonie w studni zaległości czynszowych. Przesadził wczoraj z obiadem. Musiał jak najszybciej uregulować długi, nim wpadnie na kolejny genialny pomysł lepszego spożytkowania pieniędzy. Pójdzie prosto do kamienicznika. Wstał i skierował się do wyjścia. W drzwiach zderzył się z ponętą blondynką.

– Pan wychodzi? W takim razie przyjdę później.

Detektyw szarmancko pocałował kobietę w dłoń.

– Nonsens, piękna pani. W moim fachu klient nigdy nie może czekać. Konkurencja nie śpi. Zapraszam do środka.

Chwilę później, siedząc przy biurku, z przyjemnością taksował urodziwe oblicze blondynki, która szukała czegoś w torebce.

– Ot i bumagu znalazła.

Uśmiech rozświetlił twarz kobiety, czyniąc ją jeszcze atrakcyjniejszą. Kaczmarek natomiast zmarszczył czoło. Obcy akcent nasunął pewne podejrzenia.

– Pan detektyw, ja słabo mówię po polsku, więc o wybaczenie proszę. Tu jest moje pełnomocnictwo. Pan obaczy.

Kaczmarek rzucił okiem. Ruskie bukwy. Nic z tego nie rozumiał, za to podejrzenie przerodziło się w pewność.

– Jeżeli w sprawie zwrotu zaliczki, to z góry zaznaczam, że Biuro zaliczek nigdy nie zwraca. Koszta...

– Pan pomyłony, sprawa aktualna. Śmierć mecenasa smutna, ale zlecenie nie wycofane. Rutkowicz rozmawiał z panem?

Detektyw potwierdził. Piękna pani odetchnęła z ulgą.

– Bardzo dobrze. Ja się zapomniała przedstawić. Jelena Konstantynowna Archipowa, sekretarka księżnej.

Kaczmarek uśmiechnął się. Jelena. Po naszymu Helena. Piękna Helena. Wstał, skinął głową i również się przedstawił.

– Rozmawiała dziś z księżną. Chcemy zlecenie rozszerzyć w związku z nową sytuacją. Pan detektyw jeszcze uwolni Władysława Mikołajewicza.

Policja nie zasypywała gruszek w popiele. Lepiej nie wspominać, że przyczynił się do zatrzymania Sawina.

– Panno Heleno, to tak nie działa. Niczego nie mogę obiecać. Jeśli jest niewinny...

– Jest, na pewno jest.

– Jeśli jest niewinny, pomogę. Na razie rozeznam się w sytuacji.

– Pan detektyw. Władysław Mikołajewicz nie znał pana Rutkowicz. My byli umówieni na pierwsze spotkanie w tym czasie, co mecenas był u pana detektywa.

– Zaraz, zaraz. Jacy „my”? To jest ktoś jeszcze?

– Da, tak. Aleksandr Aleksandrowicz Maksymow. On nasz opiekun.

Kaczmarek zauważył, że wymawiając nazwisko mężczyzny, Archipowa zadrżała.

– Po kolei, ze spokojem, panno Heleno.

– Pani. Ja wdowa. Już tłumaczę.

Kwadrans później, bo tyle czasu zajęło Kaczmarkowi wydobyć z zagmatwanej opowieści Archipowej kolejności zdarzeń, wyszli z Biura.

Detektyw chciał potwierdzić słowa pięknej Heleny. Wbrew przekonaniu blondynki Sawin wcale nie miał alibi na czas morderstwa, na spotkanie z nią i Maksymowem bowiem się nie stawił. Okazja do weryfikacji nadarzyła się szybciej, niż sądził.

– Jelena!

Ktoś zawołał Archipową. Blondynka odwróciła się i zbladła. Podszedł do nich barczysty mężczyzna, ciut niższy od detektywa, o twarzy, która mogłaby zainspirować ilustratora pirackich opowieści, przez czoło i policzek biegła bowiem mocno rzucająca się w oczy szrama. Archipowa wymieniła z piratem kilka szybkich zdań. Intonacja nie wskazywała na przyjazną pogawędkę.

– Pan detektyw. Przepraszam najmocniej. To jest właśnie Aleksandr Aleksandrowicz Maksymow.

Na dźwięk swojego imienia i nazwiska pirat spróbował złapać Helenę za ramię. Kaczmarek uznał, że czas na interwencję. Zrobił krok do przodu i zasłonił Archipową własnym ciałem.

– Pani powie temu panu, że zapraszam na ciepłą herbatę i rozmowę do Biura.

Archipowa zagadnęła Maksymowa, a ten jej niegrzecznie odburknął.

– Aleksandr Aleksandrowicz przepraszam, ale jest bardzo zajęty.

Fascynujący ten rosyjski. Maksymow ujął odpowiedź w dwóch słowach. Kaczmarek był pewien, że z piratem porozumiałby się bardzo szybko wyłącznie rękoma. Widział dobrze, że Maksymow także tylko czeka na pretekst.

– To może chociaż przejdzie się z nami na plac Wolności, gdzie mieliście spotkać się z Sawinem.

Wymiana zdań po rosyjsku tym razem była jeszcze krótsza. Archipowa rozplakała się, a Maksymow odszedł bez pożegnania.

Kaczmarek podał Helenie chusteczkę i cierpliwie wysłuchał. Maksymow zwymyślał ją od idiotki, która wszystko myli. Według niego umówili się na placu Kolegiackim. Archipowa upierała się przy swoim, bo przecież ona aranżowała spotkanie. Żeby rozwiązać wątpliwości, Kaczmarek zaproponował spacer na plac Kolegiacki, na który mieli bliżej. Na miejscu okazało się, że jednak tutaj czekali na Sawina w taksówce. Archipowa wyglądała na zbitą z tropu. Wciąż jednak upierała się, że Sawina zaprosiła na plac Wolności.

– Niczego nie przesądzam, pani Heleno. Mam natomiast coraz silniejsze przekonanie, że komuś bardzo zależało na pozbawieniu Sawina alibi. Musimy odszukać kierowcę taksówki.

Dzięki znajomościom Kaczmarka i pamięci Archipowej nie było to trudne. Rosjanka zapamiętała, że numer samochodu kończył się trzynastką. W zarządzie przedsiębiorstwa taksówkowego pracował brat jednego z podkomendnych detektywa jeszcze z powstania. Taksówki z trzynastką na końcu były dwie. Od brata Kaczmarkowego żołnierza dostali adres kierowcy, który jeździł wczoraj przed południem. Nazywał się Józef Preis. Oczywiście zapamiętał piękną kobietę i pirata ze szramą. Potwierdził zamówienie kursu na plac Kolegiacki. Nie dodał nic nowego. O rozmyślnym pozbawieniu Sawina alibi wciąż świadczyły wyłącznie słowa Rosjanki. Helena bardzo się zezłościła. Gniew dodawał jej uroku. Kaczmarek najchętniej pocałowałby te usteczka miotające egzotyczne przekleństwa. I wtedy ona powiedziała coś, co go ostatecznie przekonało.

– Pan detektyw. Ja nie znam tu ulic. Na pewno wskazała Władysławowi Mikołajewiczowi plac Wolności, bo tę nazwę zapamiętała.

Jaki cel mógł mieć Maksymow we wrabianiu bratanka księżnej w morderstwo? I kto zabił mecenasa, skoro pirat był wtedy z Heleną? Na pierwsze pytanie Rosjanka знаła odpowiedź.

– Aleksandr Aleksandrowicz należy do bractwa carskich oficerów, któremu księżna zamierzała zapisać majątek. Pojawienie się bratanka oznaczało, że przypadnie im najwyżej niewielka część.

Kaczmarek pokiwał głową. Motyw nader czytelny, a carski oficer mógł mieć wspólnika. W takim razie będzie śledzić Maksymowa. Trzeba jakoś sprowokować pirata do kontaktu z zabójcą. Archipowa stanowiła oczywistą kandydatkę do tego zadania. Wrócili do Biura. Detektyw napisał na kartce numer Prezydium i poprosił Archipową o wybranie go. Miała się upewnić, że odbierze Przybylski, i oddać słuchawkę Antoniemu. Wywiązała się z tej misji znakomicie. Kaczmarek wypytał komisarza o postępy dochodzenia. Nie było ich wiele, sprawę uznano za rozwiązaną. Detektyw zapowiedział Przybylskiemu przełom w dochodzeniu i poprosił o dyżurowanie przy telefonie.

Po rozmowie z komisarzem Kaczmarek zajął się przygotowaniem prowokacji. Jak zmusić Maksymowa do działania? Informacja, że Rutkowicz przeżył, szyta była zbyt grubymi nićmi. Lepsza będzie pogłoska



o wypuszczeniu Sawina na wolność. Odprowadził Rosjankę do hotelu Monopol, w którym mieszkała z Maksymowem. Intrygowało go, czy zajmowali wspólny pokój, ale nie ośmielił się o to pytać. Przy Helenie czuł się jak sztubak.

Zajął stolik w Małym Dobskim i stamtąd obserwował wejście do hotelu. Nienawidził sytuacji, w których ktoś nadstawia za niego karku. Po raz pierwszy taka rola przypadła kobiecie.

Minuty spędzone na sączeniu niemiłosiernie drogiego koniaku ciągnęły się w nieskończoność. Helena zawróciła mu w głowie, bo zaczął sobie wyobrazać, jak przenosi ją przez próg. Marzenia rozproszyło przyjście Basi, dla której zamówił lemoniadę. Dziewczęcy szczebiot zaabsorbował go na tyle, że przestał fantazjować o Archipowej. Nim dziewczyna dopiła słodki napój, Rosjanin opuścił hotel. Nie zważając na protesty Basi, detektyw ruszył jego śladem. Maksymow miał się na baczności, ale Kaczmarek dzięki znajomości topografii miasta mógł trzymać się w bezpiecznej odległości. Pirat przeszedł most Teatralny i zanurzył się w labiryncie jeżyckich ulic. Minęli rynek. Na Kraszewskiego Kaczmarek nakazał Barbarze zostać z tyłu. Maksymow skręcił w Szamarzewskiego i wreszcie wszedł do kamienicy numer 8, naprzeciwko kościoła. Detektyw westchnął. Najłabsze ogniwo planu. Jeśli Maksymow wyjdzie sam, inwigilacja nie będzie warta funta kłaków.

Zza kościelnego płotu Kaczmarek ukradkiem obserwował ulicę. Basia, jak na gimnazjalistkę przystało, z nadąsaną miną oglądała sklepowe wystawy. Obawy sprawdziły się. Maksymow pojawił się na ulicy sam i pospiesznie odszedł. Dalsze śledzenie Rosjanina straciło sens. Detektyw właśnie zamierzał dać znać Działdowskiej, że może iść do domu, gdy z bramy pod ósemką wyszła kolejna osoba. Koniec pecha. Na ulicy stał wczorajszy uciekinier, w zdezelowanym palcie, bez guzika.

Niestety, akurat kiedy detektyw wyszedł z za ogrodzenia, mężczyzna spojrzął w jego stronę i na widok Kaczmarka rzucił się do ucieczki. Biegł ku Basi. Kaczmarek za nim. Odległość między mężczyznami rosła, lecz detektyw nie zamierzał odpuścić. Uratowała go Baśka. W chwili, kiedy uciekinier ją mijał, wysunęła nogę i mężczyzna runął na chodnik. Szybko się podniósł, ale zamiast podjąć ucieczkę, wyjął pistolet i wymierzył w struchlałą Barbarę. Odbezpieczył broń i wtedy kopniak Kaczmarka

powalił go po raz drugi. Strzał padł, jednak pocisk pomknął daleko od dziewczyny.

Detektyw wytrącił mężczyźnie pistolet i obezwładnił go. Na drugiej stronie ulicy rozległ się przeraźliwy krzyk. Kobięcy sopran wzywał pomocy. Baśka, choć sama właśnie spojrzała śmierci w oczy, pierwsza pośpieszyła na ratunek. Stała obok dwóch kobiet. Starsza leżała na chodniku, młodsza łkała i próbowała tamtą cucić. Działowska miała za sobą ledwie kurs samarytanki, lecz od razu spostrzegła, że jakiegokolwiek działania nie na wiele się zdadzą. Ranna otrzymała postrzał w pierś. Ubranie zabarwiło się na jasnoczerwono. Barbara zerwała z szyi chustkę, próbując zatamować upływ krwi. Na drugiej stronie ulicy detektyw dmuchał w policyjny gwizdek, który zawsze nosił przy sobie. Posterunkowy przybiegł po minucie. Znali się z widzenia i detektyw pomógł założyć przestępcy kajdanki.

– Nic z nim na razie nie rób. Zaraz powiadomię komisarza Przybylskiego.

Kaczmarek wydał polecenie takim tonem, że posterunkowy bezwiednie mu się podporządkował. Od czasu, gdy detektyw stracił prawo rozkazywania, minęło sześć lat, ale pewne przyzwyczajenia pozostają w człowieku na zawsze. Nim zaczął szukać telefonu, podszedł do gapiów tłoczących się wokół dwóch kobiet i Basi.

– Lekarz potrzebny?

Baśka pokręciła przecząco głową.

Przybylski przyjechał na Szamarzewskiego w ciągu pół godziny. W tym czasie Kaczmarek całkiem nieregularnie przeszukał kieszenie zatrzymanego. Poza licznymi śmieciami znalazł wielce interesującą kartkę z naszkicowanym planem i kilkoma napisami cyrylicą. Próbował coś z mężczyzny wyciągnąć, ale ten tylko szyderczo się szerzył. Ktoś odciął mu język. Komisarz zaczął od zrugania detektywa, jednak złagodniał, gdy okazało się, że guziki płaszcza pasują do znalezionej przy mecenasie, co więcej skrawek wyrwanego przy okazji materiału odpowiada dziurze w płaszczu zatrzymanego. Pożegnali się szybko, bo zgodnie z ich niepisaną umową o udziale Kaczmarka w ujęciu przestępcy nie miało być w policyjnych protokołach śladu. Detektyw podziękował Baśce, nie szczędząc jej gorzkich słów za zbędną brawurę. Musiał szybko dotrzeć do

hotelu Monopol. Pożegnał się i poszedł na przystanek tramwajowy przy Zwierzynieckiej.

W hotelowym pokoju Archipowej Kaczmarek zastał Maksymowa. Spotkanie zaskoczyło ich obu. Gra Rosjanina była dla detektywa niejasna. W kieszeni płaszcza spoczywał pistolet odebrany zatrzymanemu. Będzie musiał zwrócić go Przybylskiemu.

– Pani Heleno, chciałem poinformować, że policja ujęła zabójcę mecenasa Rutkowicza. Znalaziono przy nim coś takiego.

Kaczmarek położył na stole kartkę z planem, uważnie obserwując reakcję Maksymowa. Rosjanin zbladł. Powiedział coś, czego Antek nie zrozumiał. Detektyw wyjął broń i wymierzył w mężczyznę ze szramą.

– Pani Heleno, pani mu powie, żeby położył ręce na blacie.

Rosjanka szybko przetłumaczyła żądanie Kaczmarka, które z równą prędkością zostało spełnione. Helena sięgnęła po kartkę.

– Co to?

– Na tych waszych literkach się nie wyznaję, ale to najwyraźniej wskazówka, jak dotrzeć do tego pokoju. Bardziej interesujące jest jednak pytanie, kto zatrzymanemu tę kartkę wręczył.

Kaczmarek nie spuszczał oka z Maksymowa. Miał właśnie poprosić Helenę, żeby nie podchodziła zbyt blisko do oficera pokonanej armii, ale nie zdążył. Z okrzykiem, który musiał być najgorszym wyzwiskiem, z palcami zaciśniętymi na podobieństwo szponów Rosjanka rzuciła się na Maksymowa. Ten wykorzystał nieporadny atak i pchnął ją w stronę Kaczmarka, a sam zerwał się do ucieczki. Detektyw zareagował błyskawicznie. Zręcznie odskoczył, przez co Helena straciła równowagę, a Rosjanina uderzył kolbą pistoletu w głowę. Maksymow padł obok Heleny.

\*

Kiedy Archipowa stękając, podniosła się z podłogi, Kaczmarek kończył właśnie krępowanie Maksymowa sznurem do zasłon. Jeszcze knebel i gotowe.

– Panie Antek, pan mnie życie uratował. A tą swołocz to bym ja...

Helena zamachnęła się, żeby dać oficerowi w pysk. Otwarta dłoń zatrzymała się o centymetry od gęby ze szramą. Maksymow nawet nie drgnął. Za to Kaczmarek dotknął ramienia Rosjanki. Miała jedwabście miękką skórę.

– Szkoda ręki na bydlaka. Jest poważniejszy problem. Draniem, co zepchnął pana mecenas z dachu, zajmie się policja. Gorzej z tym tutaj. Na niego w zasadzie nic poważnego nie mamy.

Helena odsunęła się od Kaczmarka.

– Panie Antoni, ja sama nie wiem, co robić. Potrzebuję instrukcji od księżnej pani. Idę na pocztę.

Ubrała się i wyszła. Dzwoniąc wielokrotnie do Paryża, Archipowa dobrze poznała trasę do skrzyżowania alei Marcinkowskiego z Pocztową. Detektyw został sam na sam ze skrepowanym oficerem.

Wróciła po dwóch godzinach. Kaczmarkowi ten czas dłużył się potwornie. Żeby nie zanudzić się na śmierć, próbował zrekonstruować ostatnie wydarzenia. Rutkowicz dostrzegł przez okno niemowę i nie wiadomo dlaczego za nim pobiegł. Tamten uciekł na dach, doszło do szamotaniny. Wypadek czy zaplanowana egzekucja? Raczej to drugie. Mniejsza z tym. Rosjanka przyniosła dobre wieści.

– Panie Antek, przepraszam, że tak długo to trwało. Opowiedziałam księżnej pani całą historię. Księżna pani wstrząśnięta. Uruchomiła swoje kontakty. Dziś jeszcze z Warszawy przyjadą panowie oficerowie i zajmą się Maksymowem. Dla nich to kwestia honoru. Muszą oczyścić szeregi. W dzisiejszym świecie honor to w zasadzie wszystko, co im zostało.

Detektyw pokiwał głową. Z ostatnim spostrzeżeniem trudno było się nie zgodzić. Nie wierzył natomiast, że oficerowie z Warszawy przybędą wyłącznie bronić dobrego imienia. Planu przejęcia majątku księżnej nie wymyślił sam Maksymow. Prawdziwi winowajcy tym bardziej będą zainteresowani uciszeniem go na zawsze. Los człowieka ze szramą był przesądzony.

– Księżna pani, w uznaniu dla pana zasług, postanowiła potroić wynagrodzenie. Oczywiście będziemy chcieli też wrócić do zlecenia, od którego wszystko się zaczęło. Ale to jutro, jak pozbędziemy się tego tu. – Ruchem głowy wskazała niewiele rozumiejącego z prowadzonej po polsku rozmowy Maksymowa. – Panie Antek, mam jeszcze osobistą prośbę. Czy zechciałby pan dotrzymać mi towarzystwa do czasu przyjazdu panów oficerów?

Kaczmarek skinął głową. Na nic więcej nie było go stać. Zapomniał języka w gębie. Oto spełniały się męskie pragnienia. Piękna kobieta. Wieczór. Hotelowy pokój. Czas powiedzieć coś błyskotliwego.

– Pani Heleno... Rosjanki... słyszałem...

Detektyw nie miał problemów z płcią przeciwną. Nigdy nie brakowało chętnych do ogrzania łóżka wciąż jeszcze młodego wdowca. Nigdy też nie zapominał języka w gębie, by oczarować i zmiękczyć kobiece serce. Aż do dziś. Piękna Helena wskazała mu biurko.

– Drogi panie Antoni. Nie mam pojęcia, coś pan słyszał o Rosjankach, ja w każdym razie jestem w połowie Polaczka. Do przyjazdu oficerów zamierzam czytać książkę, panu zaś mogę zaproponować karty. Dobry pasjans pomoże zabić czas. Reflektujesz pan?

Czerwony jak burak Kaczmarek skinął głową.

\*

Detektyw obserwował drzwi kawiarni. Za chwilę stanie w nich Sawin. Dziwnie czuł się w policyjnym mundurze, pożyczonym na trzy godziny za flaszkę Kantorowicza. Przejęcie Maksymowa przebiegło dokładnie tak jak się spodziewał. Na widok kolegów oficerów oczy Rosjanina załśniły, przybyli jednak nie podzielali jego radości. Przy wtórze mocnego przekleństwa dostał w pysk na odlew. Bez zbędnych ceregieli trójka przybyłych wyprowadziła nieprzytomnego Maksymowa z pokoju. Archipowej ledwie się ukłonili, jego zaś nawet nie raczyli dostrzec. Nieważne. Niedługo gazety napiszą o znalezieniu niezidentyfikowanych zwłok. Wieczorem detektyw złożył jeszcze wizytę konkurencji. Zapytał, dlaczego Agencja OKO odrzuciła dobrze płatne zlecenie. Odpowiedzi nie otrzymał. Ktoś skutecznie zastraszył kolegów po fachu. Intrygujące, ale nieistotne. Do odegrania pozostał ostatni akt dramatu.

Młody mężczyzna wyszedł na ulicę. Porannej sznece z glancem towarzyszyła kawa i lektura „Kuriera Poznańskiego”. Czekał go dziesięciominutowy spacer do kancelarii, w której miał otwartą aplikację. Zazwyczaj wtórowały mu dzwonki tramwajów, klaksony samochodów, pokrzykiwania woźniców i gazeciarzy. Monotonne odgłosy miejskiej codzienności. Dziś miało być inaczej. Nieopodal rozległ się przeraźliwy dźwięk policyjnego gwizdka. Z zaułka wybiegła panienska, całkiem nawet ładna. Dziewczyna trzymała pod pachą papiery i najwyraźniej przed kimś uciekała. Ponieważ wciąż zerkała za siebie, wpadła prosto na młodzieńca. Mężczyzna tylko się zachwiał, a dziewczątka upadło. Jak na dżentelmena przystało, pomógł jej wstać.

– Najmocniej pana... – Ostatniego słowa nie dosłyszał, bo raz jeszcze w jego uszy wwiertcił się policyjny gwizdek. Tym razem ze znacznie bliższej odległości. – Proszę mi pomóc, proszę to schować.

Pannica wcisnęła mu do ręki papiery. Chciała uciekać dalej, ale zrobiła krok i pisnęła z bólu. Najprawdopodobniej skręciła nogę w kostce. Młodzieniec odruchowo schował kartki do aktówki.

Za rogu wyłonił się policjant. Gdy dogonił dziewczynę, uśmiechnął się złośliwie.

– Mam cię, suko!

Zacisnęła zęby w bezsilnej złości.

– Panie posterunkowy, trochę grzeczniej, toż to jeszcze dziecko.

Policjant skierował spojrzenie na młodzieńca.

– Panie, idź pan stąd i nie wtrącaj się w moją robotę.

Młody aplikant rzeczywiście miał zamiar odejść, bo groziło mu spóźnienie, ale policjant okazał się wyjątkowym gburem, a takiej postawy nie można tolerować.

– Dla pańskiej wiadomości, posterunkowy, jestem adwokatem i chętnie przyjrzę się czynnościom służbowym wobec dziecka.

Policjant zaczął krzyczeć.

– Dziecka? To groźna komunistyczna agitatorka. Tylko tak młodo wygląda.

Aplikant nic nie odpowiedział.

– Gdzie schowałaś ulotki? Pod spódnicą czy między tymi żaloszonymi cycuszkami? Tam zacznę rewizję osobistą. – Posterunkowy obleśnie zarechotał.

Tymczasem młodzieniec odszedł na kilka kroków i zajrzał do aktówki.

– Gdzie ulotki, suko?

Przerażona dziewczyna zaczęła wzywać pomocy. Nikt nie zamierzał jej jednak ratować. Nawet aplikant.

– Są tutaj. Informacje o wiecu poparcia dla czerwonych w Hiszpanii. Wcisnęła mi to przed chwilą do ręki.

Młody mężczyzna wręczył policjantowi garść ulotek.

– Proszę pana. Bardzo pana proszę. Ten faszysta robi mi krzywdę. Jesteś pan przecież prawnikiem. Potrzebuję adwokata.

– Owszem jestem. Ale z czerwonymi nie chcę mieć nic wspólnego. – Spojrzał na dziewczynę z pogardą.

Ruszył w swoją stronę, ale po chwili zawrócił i wycelował w nią oskarżycielsko palec.

– Przez takich jak ty straciłem całą rodzinę. Wszystkich, co do jednego. Może jak cię policjant wymaca, to ci się odechce bolszewizmu.

Aplikant szybkim krokiem oddalił się w stronę kancelarii.

Kaczmarek czuł się jak siedemnastolatek. W najlepszym garniturze, w czystej bieliźnie biegł ulicami Poznania w stronę hotelu Monopol. W kieszeni miał bilecik od Heleny, którego treść znał na pamięć. „Zapraszam na pożegnalny kieliszek szampana przed moim powrotem do Paryża. Ja też sporo słyszałam o Polakach...”.

Test Sawina wypadł doskonale. Zamiast kryć młodą komunistkę odegraną koncertowo przez Barbarę, wydał ją w ręce policjanta, w którego wcielił się sam Antek. Inscenizacja również skończyła się szczęśliwie, nie przyciągając uwagi prawdziwej policji. Kaczmarkowi do pełnej puli brakowało już tylko jednego. Liczył, że tym razem nie skompromituje się przed piękną Heleną.

Sawin wszedł pomiędzy niskie nagrobki. Na cmentarzu górczyńskim o tej porze było prawie pusto. Mężczyzna doskonale pamiętał drogę, nigdy nie błądził wśród podobnych alejek. Dotarł do właściwego grobu. Imię i nazwisko wyryte w kamieniu nie miało znaczenia. Przyklęknął. Z kieszeni dyskretnie wyjął złożoną na czworo kartkę papieru i wsunął ją pod masywny wazon. Na ziemi przed nagrobkiem postawił dwa znicze, ale ich nie zapalił. To był umówiony sygnał, że w skrzynce kontaktowej znalazła się nowa wiadomość. Bardzo dobra wiadomość. Sukces zawdzięczał liścikowi po rosyjsku, wsuniętemu pod drzwi jego mieszkania.

# **LIS W KURNIKU**

**Gaja Grzegorzewska**



Wyczuwam obcego, jak tylko się do nas dosiada.

Nie chodzi o to, że nigdy wcześniej go nie spotkałam. Oliviera przecież też znam zaledwie od dwóch tygodni. Ale o jego istnieniu wiem już od dawna – z plotek Koko, z Facebooka, z Instagramu. Wiem, że na stałe mieszka we Francji i studiuje na Sorbonie. Kolekcjonuje zabytkowe papierośnice i przyrządza najlepszą potrawkę z dzika, najchętniej przez siebie upolowanego.

O obcym nie wiem natomiast nic. Nie należy do towarzystwa. Nie mam pojęcia, skąd się tu wziął. W tym klubie, przy naszym stoliku, wśród nas. Siada między Koko i jej młodszym bratem Frankiem, jakby to miejsce czekało na niego. Mówi, że ma na imię Karol, dla znajomych Lolek. Jest tak pewny siebie i bezczelny, jak tylko może być ktoś, kto ma mnóstwo pieniędzy, i to raczej tych starych. A jednak jestem przekonana, że obcy kasy nie ma. Ani starej, ani nowej. Kilka stów na karcie i słój z miedzią na lodówce. Jest w jego postawie pewna niezgrabność, której nie zatuszuje wystudiowana nonszalancja. Coś, co zdradza, że dorastał w otoczeniu plastikowych paprotek, uwędzony w dymie tanich fajek, karmiony parówkami i białym chlebem powszednim. Mam ochotę go zapytać, ile okazów liczy rodzinna kolekcja puszek po piwie, wieńcząca serwantkę w salonie. Uśmiecham się tylko. Sam wkrótce zrozumie, że pomylił galaktyki. Zauważam delikatne przetarcie na łokciu drogiej marynarki. Każdy z moich znajomych już dawno oddałby tę szmatę tak zwanym biednym. Oj, oj, oj, chłopczyk kupił kostium supermana w spożywczym dyskoncie i myśli, że daleko pofrunie. I może nawet posunie jakąś dziedziczkę. A jak mu się naprawdę poszczęści, to nieszeptną. W pewnym momencie, gdy nasze spojrzenia się spotykają, obcy mruga do mnie poufale. Chyba oszalał. Nawet mi się nie chce marnować pogardliwego grymasu na tego prostaka.

Olivier zamawia u kelnerki jeszcze dwie butelki różowego Moët & Chandon. Wie, że to mój ulubiony. Ale ja oznajmiam, że jestem zmęczona, i jadę do domu.

Olivier nie kryje zawodu, ale wychodzi ze mną przed lokal, aby dotrzymać mi towarzystwa. Czekamy na taksówkę. Ulicę spowija gęsta, grudniowa, wilgotna mgła. On opowiada o swojej chatce w górach, wybieramy się tam wszyscy następnego dnia. Uśmiecham się, rzucam jakiś żart, ale tak naprawdę nie słucham. Nie mogę przestać myśleć o obcym.

Kim jest? Co tu robi? Coś mi się bardzo w nim nie podoba. I wcale nie chodzi o robotnicze korzenie i ledwo wyczuwalną woń wielodzietnej rodziny ukiszanej we własnym smrodku na trzydziestu metrach.

Gdy zjawia się samochód, Olivier chce wsiąść razem ze mną. Jest czarujący, ale ja potrafię opierać się równie uroczo. W mojej odmowie zawarta jest obietnica. Bo być może to on jest właśnie tym, którego szukam. Olivier poddaje się i jedynie muska ustami mój policzek. Pachnie tak, jak mógłby pachnieć mój chłopak, a może nawet mąż.

– Do jutra, rudy lisku – mówi i delikatnie przeciąga pomiędzy palcami kosmyk moich włosów.

– Pilnuj Koko, żeby wyhamowała z drinkami, skoro rano ma prowadzić.

Wsiadam do samochodu, a Olivier zatrząskuje za mną drzwiami. Bębni palcami w szybę i uśmiecha się. Ja również się uśmiecham. Taksówkarz wbija adres. W radiu zapowiadają na tę noc pierwsze opady śniegu. W środku jest ciepło, więc szyba pokrywa się gęstą parą. Patrzą na niewyraźną sylwetkę po drugiej stronie. Dotykam palcem zimnego szkła, żeby coś napisać. Nagle zamieram. Za plecami Oliviera błyska płomień zapalniczki. Z mgławicy wyłania się Lolek. Pochyla się, by zajrzeć w okno taksówki, i macha do mnie. Cofam dłoń i odsuwam się w cień. Lolek odwraca się i rzuca jakąś uwagę, na którą Olivier reaguje śmiechem. Jestem pewna, że obcy mówił o mnie. Czuję niepokój.

– Proszę już jechać – rzucam głosem rozkapryszonej histeryczki.

Dwie przecznice dalej proszę taksówkarza, żeby się zatrzymał. Daję mu ostatnią dychę z dzisiejszego przydziału i wysiadam. Idę na przystanek. Pięć minut później nadjeżdża nocny. W środku okropnie śmierdzi i jest bardzo głośno, ale to mi nie przeszkadza. Nauczyłam się izolować od nieistotnych czynników. Przechodzę na tył autobusu. Siadam na wolnym miejscu i automatycznie wyjmuję z torby reklamówkę z butami. Zmieniam czarne lakierowane szpilki louboutin na zwykłe tenisówki. Szpilki wsadzam ostrożnie do reklamówki i wrzucam do torby. Wyglądam przez brudną szybę na mokrą jezdnię. Przerwana linia zamazuje się i teraz jest linią ciągłą. Co powinnam zrobić?

Co poradziłaby mi matka? Była wielką miłośniczką poradników, chociaż żaden nigdy w niczym jej nie pomógł. Ostatnie słowa, które skierowała do mnie w szpitalu, również pochodziły z którejś z jej

ukochanych ksiązek: „Możesz być, kim zechcesz. Każdy ma jakieś atuty. Znajdź swoje i je wykorzystaj”.

Minęło kilkanaście lat, a to wspomnienie wciąż jest żywe. Składają się na nie siermiężne detale, przykry zapach rozkładu, słabo maskowany tanimi środkami odkażającymi, słodki smak herbaty z automatu i wszystkie szpitalne odgłosy. I w końcu ten dźwięk, na który chyba czekałam. Nieprzerwany pisk znowu dzwoni mi w uszach. Linia ciągła rozmywa mi się przed oczami. Do sali wchodzi pielęgniarka i lekarz, a także szpitalny kapelan. Każdy odprawia swoją część rytuału. A ja powtarzam sobie w myślach ostatnie słowa matki, bo chcę wierzyć, że są wyjątkowe i ważne. „Możesz być, kim zechcesz”. Jak? Jestem czternastoletnią sierotą, nie mam ani rodziny, ani pieniędzy, ani urody, ani wyjątkowych zdolności. Bez matki jestem co prawda w jakiś sposób wolna, ale wiem, że zaraz trafię do domu dziecka.

Szybko uczę się zasad panujących w bidulu. Po miesiącu trudno uwierzyć, że miałam kiedyś inny dom niż ten. Wiem, z kim trzymać, komu się przypodobać, kogo wykluczyć, a kogo sobie podporządkować. To jest dobra strategia na przetrwanie, ale nie plan na całe życie. Przynajmniej jednak już wiem, czego nie chcę. Nie chcę być biedną sierotką. Nie chcę tych paskudnych ubrań z darów ani tych kosmetyków, o które muszę walczyć z innymi dziewczynami. Największą przyjemność sprawia mi oglądanie przeterminowanych plotkarskich magazynów. Przyglądam się wystrojonym panienkom z dobrych domów. Ja też mogłabym tak wyglądać. „Nie ma ludzi brzydkich, są tylko ludzie biedni” – przeczytała gdzieś kiedyś moja matka i zaraz mi tę wiedzę przekazała, porażona jej trafnością. Podziwiam życie bogatych elit i tak sobie myślę, że to jest właśnie coś dla mnie. I mogę to mieć. Bo jednak przecież mam pewną przydatną umiejętność – potrafię się znakomicie adaptować do zmieniających się warunków. Umiejętnie wykorzystując ten atut, mogę się stać, kim zechcę. Mam sporo czasu na dopracowanie szczegółów.

Gdy w wieku osiemnastu lat opuszczam dom dziecka, mówię płynnie po angielsku i francusku. Znam się na literaturze i sztuce. Niezle rysuję i maluję. Zmieniam nazwisko na takie, które prowokuje do pytań: „Z tych?”, a równocześnie jest na tyle popularne, że może je nosić byle kto. Do tego nazwiska dobieram imię. Róża. Słodkie i eleganckie. Farbuję włosy na rudo, pasują do bladej cery. „Krew z mlekiem” – jak zwykła

mawiać moja guwernantka Cesia, której wymyślonego życiorysu, powiedzonek i kilku zabawnych anegdot z czasów, gdy się mną opiekowała, uczę się na pamięć. Chcę się wyróżniać. Mało jem, dużo ćwiczę, dbam o siebie. Jestem swoją własną kosmetyczką, stylistką, fryzjerką.

Przez następne cztery lata zaliczam kolejne kraje. Ciężko haruję, żeby w wolnym czasie poznawać miejsca, które znać powinnam. Pracuję tylko dla obcokrajowców, nie mogę ryzykować, że ktoś mnie kiedyś rozpozna. Bogatych Polaków spotykam natomiast w klubach, na festiwalach, zamkniętych pokazach i bankietach. Mając tupet, dobry wygląd, seksowną kieckę od projektanta i odpowiednią osobę u boku, można wejść wszędzie i poznać każdego.

Wracam do Polski. Wybieram Kraków. Wynajmuję mieszkanie w zrujnowanej kamienicy. Sama je remontuję i urządzam za zaoszczędzone pieniądze. Po dwóch tygodniach wygląda tak, jak powinno wyglądać mieszkanie artystki ceniącej surowy minimalizm. Na inny styl mnie nie stać.

Nie jestem specjalnie utalentowana, ale udaje mi się dostać na ASP. Nie wiąże ze studiami żadnych nadziei, to tylko kolejny element mojego anturażu. Szybko poznaję odpowiednie osoby. Nie jestem stąd, ale dzięki siatce kontaktów nawiązanych za granicą nie jestem obca. Pielęgnuję moją wystudiowaną ekscentryczność, którą moi znajomi uważają za osobowość. Dystans, który zachowuję w relacjach z ludźmi, spełnia dwojaką funkcję – dzięki niemu zmniejszam ryzyko ewentualnej wpadki, a ludzie biorą moją powściągliwość za wywyższanie się, więc automatycznie zaczynają uważać, że w takim razie naprawdę muszę być kimś! Teraz mam dwadzieścia dziewięć lat, skończone studia i grupkę zamożnych, dobrze urodzonych, tak zwanych najbliższych przyjaciół: idiotkę Koko, błązna Franka, intelektualistę Stefana. To grono dwa tygodnie temu uzupełnił lowelas Olivier.

Najbardziej męczy mnie to, że cały czas muszę oszczędzać. Nigdy nie przekraczam sumy przeznaczanej na każdy dzień. Moja lodówka jest pusta, ale przecież stale się odchudzam. Jem kurze łapki, bo mają dużo kolagenu, i korzystam z diety kapuścianej. Kupiłam metkownicę i dzięki niej na każdej imprezie pojawiaam się w nowej sukience, którą potem mogę zwrócić do sklepu. W buty niestety muszę inwestować. Podobnie jak w przypadku

wystroju mieszkania, o wyborze stylu zdecydował pragmatyzm. Minimalizm i klasyka. Kilka par butów pasujących do wszystkiego. Muszę o nie bardzo dbać.

Od paru miesięcy czuję, że nadszedł czas na kolejny etap. Patrę w lustro i wiem, że za kilka lat może być już za późno na znalezienie tego właściwego. Nie sypiam z nikim z towarzystwa, bo kto chciałby mieć żonę, którą obracało pół miasta. Poza tym nikt nie może poznać tajemnicy moich majtek z supermarketu. Mam też oczywiście kilka kompletów ekskluzywnej bielizny, którą trzymam dla tego jedyne. Kiedyś myślałam, że będzie nim Stefan, jednak szybko przekonałam się, że to pedał, chociaż chyba nikt poza mną się tego nie domyśla. Stefan jest jedynym dziedzicem znanego nazwiska i ogromnej fortuny i zapewne nie wolno mu być pedałem.

Olivier na pewno nie jest pedałem. Do wczoraj miałam nadzieję, że to może właśnie dla niego będę wkładać moją wykwinną bieliznę. Ale teraz? Jestem pewna, że Lolek mnie rozszyfrował. Jeśli planuje wręcić się do towarzystwa, zacznie od najsłabszego ogniwa, czyli Koko. I szybko będzie chciał się mnie pozbyć. W kurniku nie ma miejsca dla dwóch lisów.

Wstaję po nieprzespanej nocy. Dzwonię do Koko, ale idiotka nie odbiera. Pełna najgorszych obaw pakuję się na wyjazd w góry. Starannie dobieram weekendowe ubrania. Do walizki wkładam również trzy komplety eleganckiej bielizny. Może nie wszystko stracone.

O dwunastej słyszę dzwonek do drzwi. Otwieram. Na progu stoi Olivier.

– Zmiana planów, lisku. Koko zabalowała z nowym znajomym. Dojedzie po południu z resztą bandy. Nie ma sensu, abyś czekała. Możesz jechać ze mną.

Olivier rozgląda się po moim mieszkaniu. Pewnie mam paranoję, ale nie podoba mi się to rozglądanie. Wręczam mu skórzaną walizkę-inwestycję, ozdobioną logo znanego projektanta. Na niej również nie mogłam oszczędzać. Potem sięgam po kurtkę, którą zamierzam zwrócić w poniedziałek do sklepu, bo w przeciwnym wypadku nie będę miała co jeść przez resztę miesiąca.

W samochodzie Olivier podaje mi termos z kawą. Nalewam tylko odrobinę do kubka, bo koleś ma nową brykę, chce ją przetestować, więc prowadzi jak rajdowiec. Upijam łyk. Kawa jest czarna i mocna. Olivier

hamuje gwałtownie na światłach. Zimowe opony trą asfalt zygzakiem. Czuć swąd spalonej gumy. Samochodem zarzuca na boki. Kawa chlusta na moją kurtkę.

– Kurwa! – przez sekundę nie potrafię zapanować nad irytacją, chociaż wiem, że on nie lubi wulgarnych kobiet.

– Och, przepraszam, lisku – mówi zatroskany. – Moja gosposia ją wyczyści.

A jak nie? Dlaczego nie zdjęłam tej pieprzonej kurtki? Chyba zaczynam tracić głowę.

To nie jest górską chatką, tylko górską posiadłość, otoczona wysokim murem ze stróżówką przy wjeździe. Ochroniarz kłania się nam w pas, gdy wjeżdżamy przez bramę. Uśmiechnięta gosposia stoi w drzwiach. Czule wita Oliviera, a dla mnie jest niezwykle uprzejma. Olivier musi wykonać kilka telefonów, więc prosi ją, by pokazała mi moją sypialnię.

Pokój mieści się na piętrze, jest bardzo przestronny. Z okna roztacza się widok na dolinę, góry i lasy. Nie jestem jednak w odpowiednim nastroju, żeby podziwiać krajobraz. Trzymam w rękach kurtkę i bezwiednie pocieram nadal wilgotną plamę. Od kwaśnego zapachu kawy odrobinę mnie mdli.

– Niezły widok, co? – słyszę za plecami głos Oliviera. – Do pierwszych zabudowań jest z dziesięć kilometrów. Większość tych terenów należy do mojego ojca. Staruszek kupił sobie ciszę i spokój. Organizuje tu polowania dla przyjaciół. Biorę w nich udział, odkąd skończyłem dziesięć lat.

Olivier kładzie dłoń na moim ramieniu, potem wsuwa ją we włosy. Gładzi kark. Widzę, że w drugiej ręce trzyma butelkę różowego Moët & Chandon. Nie przyniósł jednak kieliszków. Nagle przestaje mnie głaskać. Wyjmuje z moich rąk kurtkę i rzuca ją niedbale na krzesło.

– Nie martw się, nie będzie śladu. Będziesz mogła ją oddać.

W jakiś sposób byłam na tę chwilę przygotowana, dlatego stoję nieporuszona. Obcy mnie zdemaskował, powiedział mi, ale nie oddam pola. Opanowuję narastający gniew i odwracam się do Oliviera, jakby wyrwana z zamyślenia.

– Słucham?

– Jesteś oszustką. Małym, biednym, farbowanym liskiem – mówi z uśmiechem. – Nie bój się, nie zdradzę cię. Spodobałaś mi się od pierwszego wejrzenia, że się posłużę takim banałem. Dystyngowana,

tajemnicza i niedostępna. Ale teraz podobasz mi się jeszcze bardziej. Chcesz wiedzieć dlaczego?

– Dlaczego? – pytam, by zyskać na czasie.

– Bo teraz, biedactwo, jesteś zdana na moją łaskę.

Zerkam w stronę okna, z którego widać bramę i pustą drogę.

– Wypatrujesz swoich przyjaciół? Będą tu dopiero za kilka godzin.

Obserwuje mnie z rozbawieniem. A ja rozważam, jakie mam opcje. To, że nadal potrafię chłodno kalkulować, przynosi mi pewną ulgę. Mam wrażenie, że wciąż kieruję swoim losem. Mogę być, kim zechcę. I decyduję, że najlepiej dla mnie będzie przez chwilę być dziwką tego skurwysyna.

– Lubisz szampana, prawda? – pyta Olivier.

Za oknem zaczyna padać śnieg.

To dziwne, ale czuję większe upokorzenie z powodu tych majtek z supermarketu, które ze mnie zdarł, pękając ze śmiechu, niż z powodu rzeczy, do których mnie potem zmuszał.

Wychodząc, Olivier przypomina mi, że niedługo przyjedzie reszta i powinnam doprowadzić się do porządku. Zamyka za sobą drzwi, a ja powoli siadam na łóżku. Za oknem, na parapecie, widzę wysoką na dziesięć centymetrów warstwę śniegu. I wciąż pada.

Przez chwilę się zastanawiam, czy to był gwałt? Spoglądam na skotłowaną pościel i spostrzegam smugi krwi. Mam siniaki, zadrapania i ugryzienia w miejscach, których nie będzie widać, gdy się ubiorę. Wstaję z trudem i ostrożnie idę w kierunku przylegającej do pokoju łazienki. Po wewnętrznej stronie uda spływa mi strużka krwi. Idę szybciej, nie chcę pobrudzić dywanu. Otwieram drzwi łazienki. Krew kapie na kafelki. Nalewam wodę do wanny. Wyjmuję z kosmetyczki środek przeciwbólowy i zażywam. Potem stoję, czekając, aż wanna się napełni, i obserwuję rozbryzgującą się pod moimi stopami krew. W końcu wchodzę do wody i zanurzam się razem z głową. To przynosi ulgę. Gdy wychodzę z wanny, jestem już spokojna. Ścieram z podłogi krew. Owinięta ręcznikiem wracam do pokoju. Zastaję w nim gospozię, która zmienia pościel. Obserwuję, jak z namaszczeniem wygładza narzutę i niespiesznie zbiera z ziemi brudne, zakrwawione poszewki. Podnosi wzrok i patrzy na mnie. Czy mi się wydaje, czy w tym spojrzeniu dostrzegam pogardę?

Schodzę na dół, idę do salonu. Olivier siedzi w fotelu przy kominku. Pije drinka i czyta gazetę. Uśmiecha się na mój widok.

– Jesteś, kochanie. Świetnie wyglądasz. Czego się napijesz? Szampana?

– Whisky. Bez lodu.

Siadam w drugim fotelu. Olivier robi mi drinka i podaje. Pociągam spory łyk, a on klepie mnie po głowie jak psa.

– Naprawdę podziwiam twoje opanowanie. Dobrze się bawisz? Nie, lepiej nie odpowiadaj, bo zepsujesz nastrój. Ja w każdym razie bawię się doskonale.

Słabo pamiętam przebieg wieczoru od momentu, gdy pojawia się reszta znajomych, do chwili, gdy gasną światła. Olivier wciąga mnie w grę, w której muszę przyjąć rolę pani domu. Na boku pyta, czy o takim życiu marzyłam. I czy jest jak w bajce? To śmieszne, ale tak właśnie jest. Jeśli zapomnieć o gwałcie. Może dlatego gra nie sprawia mi problemu.

Koko i Lolek przekomarzają się i flirtują. Obcy od czasu do czasu rzuca mi zaciekawione spojrzenie, jakbym była okazem w zoo. Stefan leży na kanapie, udając, że bardziej pasjonuje go grube tomiszczce trzymane w rękę niż ten cały wyjazd. Franek dużo pije, wypala też dwa jointy.

O dziewiątej do salonu wchodzi gosposia i oznajmia, że zaraz poda kolację. Przechodzimy do jadalni i każdy zajmuje miejsce. Dzwoni komórka Lolka. Obcy wychodzi do holu, aby odebrać telefon. Po chwili wraca, a Olivier wstaje, by wznieść toast. Za mnie. Chwilę rozmawiamy. Stefan nadal czyta. Czuję delikatny przeciąg, jakby ktoś otworzył frontowe drzwi. Mijają minuty, a gospodyni nie zjawia się. Zirytowany Olivier woła ją, ale nie dostaje odpowiedzi. Woła raz jeszcze. Wtedy gasną światła.

Ktoś wchodzi do jadalni.

Wszystko, co się dzieje potem, pamiętam już bardzo dokładnie.

Działam instynktownie. Ześlizguję się na podłogę i oddalam od stołu. Przesuwam się wzdłuż ściany w kierunku drzwi łączących jadalnię z salonem, bo w tych prowadzących do holu wyczuwam jakiś ruch. Nie znam układu domu, a muszę się wydostać na zewnątrz. Stół znajduje się w epicentrum chaosu, słyszę krzyki i łoskot padających na podłogę ciał, ale nie skupiam się na tym.

– Jeden, drugi, trzeci. – To głos Lolka. – Jeszcze dwójka.

Ktoś chwyta mnie za rękę. Rozpoznaję kosztowny zapach, który dziś z siebie zmywałam. Olivier ciągnie mnie za sobą przez kolejne



pomieszczenia. Nie mam pojęcia dokąd. Zatrząskuje za nami drzwi i przekręca klucz. Chyba jesteśmy w gabinecie.

– Nie wiem, gdzie jest mój telefon – mówi, a w jego głosie słyszę panikę. Po omacku dopada biurka i wysuwa kolejne szuflady. Coś wyjmuje. Podchodzi do mnie i wciska mi w dłoń chłodną stal. – Umiesz strzelać?

– Tak – odpowiadam i odbezpieczam broń. Czuję się znacznie lepiej.

– Jak tu wejść, strzelaj. W piwnicy jest włącznik zasilania awaryjnego. Jest też stara stacja nadawcza. Spróbuję wezwać pomoc. Osłaniaj mnie.

„Dupek” – myślę, ale na nic innego nie starcza mi czasu, bo drzwi pękają z hukiem i wyskakują z futryny. Tamci mają ze sobą taran. Czekam, aż dwa cienie wślizgną się do pokoju. Potem kilka razy strzelam. Napastnicy upadają na ziemię. Oliviera już nie ma w gabinecie. Podchodzę do leżących bez ruchu włamywaczy. Obaj nie żyją, ale żaden z nich nie jest Lolkiem. Został tylko on? A może jest ich więcej? Obmacuję ciała. Przy jednym znajduję nóż. Chowam go do kieszeni.

Zdejmuję buty i ostrożnie wracam do jadalni. Mój wzrok przyzwyczaja się do ciemności. Widzę zarysy mebli i trupy przyjaciół na jasnym dywanie.

Nagle czuję czyjeś palce zaciskające się na mojej stopie. Celuję broń w dół. Rozpoznaję Stefana. Nadal trzyma w dłoniach gruby wolumin, który prawdopodobnie uratował mu życie. Kucam i pytam, ilu ich jest.

– Chyba trzech... – mówi szeptem przerażony Stefan. – A nasi?

– Wszyscy nie żyją – odpowiadam bez wahania. – Poczekaj tu na mnie.

Wychodzę na korytarz i nasłuchuję przez chwilę. Ktoś jest w piwnicy. Odnajduję drzwi, za którymi znajdują się schody prowadzące w dół. Schodzę. Znajduję się w jakimś pomieszczeniu gospodarczym. Czuję zapach smaru i benzyny, a także powiew mroźnego powietrza. Widzę drzwi, a pod nimi w szparze smugę bladego światła. Ciszę przerywa odgłos wystrzału. Potem dwa kolejne. Dobiegają zza tych drzwi. Otwieram je ostrożnie i wchodzę. Znajduję się w garażu, który może spokojnie pomieścić cztery samochody. Teraz jednak nie stoi tu żaden. Brama na zewnątrz jest otwarta. Na tle rozgwieżdżonego nieba i śnieżnego krajobrazu widzę sylwetkę Oliviera siedzącego na motorze. Jest gotowy do odjazdu. Nadal celuje z pistoletu w wijącą się na ziemi postać. Chce strzelić jeszcze raz, ale nic się nie dzieje. Skończyła mu się amunicja. Kretyn nie potrafi liczyć. Dla mnie liczenie wszystkiego to odruch. Dlatego wiem, że w komorze mam ostatni nabój. Wychodzę na ośnieżony podjazd.

– Miało cię tu nie być – słyszę ochrypły głos Lolka. – Myślałem, że jak się dowie, kim jesteś... kim nie jesteś... to cię oleje.

– Nie olał. Olivier taki nie jest – wyjaśniam.

– Chciał cię tu zostawić! – Lolek nie mówi mi niczego nowego.

– Czekałem na ciebie, Rózo. Wsiadaj, jedziemy – odzywa się nerwowo Olivier.

Mówi do mnie jak do krnąbrnej żony, której nigdy nie kochał i już mu się nawet nie chce udawać, że jest inaczej, a równocześnie boi się, że rozwód może go sporo kosztować.

– Jesteśmy tacy sami. Ty i ja – bredzi Lolek.

A potem nagle używa mojego dawnego imienia, o którym prawie zapomniałam.

Teraz to do mnie dociera. Znamy się z bidula. Celuję w głowę Lolka i strzelam. Słyszę, jak Olivier oddycha z ulgą. Podchodzę do niego. Mogę z nim wsiąść na ten motor, objąć go w pasie i możemy stąd uciec. Ale to nie miałyby żadnego sensu.

Wyjmuję z kieszeni nóż i wbijam w brzuch Oliviera aż po sam trzonek. Wchodzi gładko. Wysuwam ostrze i uderzam ponownie, tym razem w podbrzusze. On nadal stoi oparty o motor. Pewnie jest w szoku. Dźgam kilka razy klatkę piersiową, bo nagle z rozbawieniem uświadamiam sobie, że nie pamiętam, z której strony człowiek ma serce. On wciąż żyje. Nie jest łatwo zabić człowieka. A może ta elita wybrańców rzeczywiście zbudowana jest z materiału lepszej jakości? Odsuwam się i czekam. Nie rusza się. Sprawdzam tętno. Nie wiem, czy to jego ledwo wyczuwalne, ale jest, czy to moje. Nigdy wcześniej nikogo nie zabiłam. Więc na koniec dla pewności podrzynam mu gardło. Krew tryska na mnie. To znaczy, że chyba jeszcze dychał. Jestem złana krwią jak Carrie na balu maturalnym. Ale to bez znaczenia, bo wszyscy w tym domu są skąpani we krwi. Własnej i cudzej. Tego swetra i tych spodni raczej już nie zwrócę do sklepu. Ale i to nie ma znaczenia. Bo od teraz będę kupować naprawdę. Będę mieć, co zechcę.

W końcu Olivier osuwa się na ziemię. Jeszcze raz sprawdzam tętno. Biedny sukinsyn naprawdę nie żyje! Staję nad jego ciałem i kopię go w brzuch. Bo czemu nie?

Wciągam głęboko mroźne, rześkie górskie powietrze i opanowuję pokusę, by jeszcze chwilę poznać się nad ciałem Oliviera. Zamiast tego

wycieram swój pistolet i wkładam w jego łapę. Następnie podchodzę do rozciągniętego na ziemi Lolka i wciskam nóż w sztywniejącą dłoń trupa.

Wracam po Stefana. Zadaję mu parę pytań. Muszę mieć pewność, ile wie. O niczym nie ma pojęcia. Nie rozmawiał z Lolkiem. Te odpowiedzi gwarantują mi moją pomoc. A ta pomoc gwarantuje mi wdzięczność Stefana. Wyprowadzam go przed dom i podtrzymuję, gdy wsiada do terenówki Oliviera. Troskliwie zapinam mu pasy. Jest ostatnim okazem z kolekcji. Jest niezwykle cenny.

Stefan potwierdza moją wersję, która staje się tą oficjalną: Lolek wpuścił współników, którzy zamordowali stróża, gospodynię i dwójkę gości. Ranili Stefana. Olivier zabił dwóch napastników, a potem on i Lolek wykończyli się nawzajem. Nawet jeśli nie wszystko w tej historii trzyma się kupy, to nie ma to większego znaczenia. Rodzina Stefana nie pozwala mi długo męczyć. Rodzina Stefana znaczy więcej niż polujący na dziki ojciec Oliviera. A Oliviera nikomu nie szkoda, bo bałamucił okoliczne dziewczęta.

Spędzamy ze Stefanem kilka naprawdę miłych dni w szpitalu. Dochodzimy do siebie i dużo rozmawiamy. Tłumaczę mu, co powinien zrobić. Skorzystamy na tym oboje. Na tę chwilę mam dosyć poszukiwań. Stefan to rozsądny wybór, a ja planuję być wyrozumiałą żoną. Przynajmniej przez jakiś czas. „Świat jest pełen możliwości, wystarczy mieć odwagę po nie sięgnąć”. Wyobrażam sobie, że mniej więcej taką radę znalazłaby dla mnie moja matka. Mogę być, kim zechcę. Może nawet bogatą wdową?

# ***MODUS VIVENDI***

**Joanna Opiat-Bojarska**

Tylko siedem roboczogodzin dzieliło mnie od weekendu.

– Rusz dupę, jedziemy! – Wachowiak, mimo że był niższy stopniem ode mnie, zapominał się i czasem zachowywał jak pan i władca.

Dupa była moja i zamierzałem ruszać nią tylko wtedy, kiedy przyjdzie mi na to ochota.

– Co jest? – Uchyliłem jedynie usta, zachowując niewzruszoną twarz.

Zero gestykulacji. Zero mimiki. Zero przejęcia. Niech widzi, że go olewam i nie pozwolę sobie, żeby byle jaki aspirant mną rozporządzał.

– Porwanie.

– Pierwsze w twojej zawodowej karierze, że się tak podniecasz?

– Przed chwilą przyszło nagranie, posłuchaj.

Spojrzał na mnie wzrokiem bazyliuszka i podał mi słuchawki podłączone do komputera.

Założyłem je i poczekałem chwilę, aż łaskawie uruchomi odpowiedni plik.

– Komenda policji, w czym mogę pomóc?

– Halo? Mam na imię Mikołaj Damięcki. Mam dziesięć lat. Proszę pani, porwano nas.

– Jak to porwano?

– Nie wiem. Porwano. Mnie i rodziców. Jesteśmy w lesie.

*Drogi Mikołaju,*

*mam na imię Mikołaj. Mam dziesięć lat. Mieszkam prawie na samym końcu Poznania. Nie podam Ci adresu, bo przecież go znasz, prawda? Mama mówiła, że Ty wiesz wszystko o wszystkich dzieciach. Tych grzecznych, mniej grzecznych i niegrzecznych.*

*Interesuję się grą w piłkę nożną i zbieram karty piłkarzy. Lubię też zabawy w terenie. Na orientację. Kiedy chodziliśmy razem z rodzicami na taki duży cmentarz, na którym leży moja babcia, to rodzice zawsze kłócili się, w którą stronę pójść, żeby dojść do samochodu. Dzieliliśmy się wtedy na dwie grupy. Ta, w której byłem ja, zawsze wygrywała. Bo ja mam dobrą pamięć i dobrze się orientuję...*

*Piszę do Ciebie już w marcu, bo nie wiem, czy do grudnia będę tak grzeczny, jak jestem teraz. Pomagam rodzicom, słucham tego, co do mnie mówią, i dobrze się uczę. Wiem, że Ty to wszystko wiesz, ale pomyślałem, że odezwę się do Ciebie, bo może czasem przypadkiem widziałeś, jak się ostatnio złościłem. To był tylko jeden raz. Ostatni. Obiecuję.*

*Ale już dość o mnie. Mikołaju, mam nadzieję, że dobrze się czujesz i że odpoczywasz po ostatnich świątach. Jeśli nie mógłbyś spać, bo nie wiedziałbyś, co chciałbym dostać w tym roku od Ciebie, to ja chętnie podpowiem. Marzy mi się taka duża trampolina, która stanie w ogrodzie i na której wszyscy będziemy mogli razem skakać. I mama, i tata, i ja.*

*Pozdrawiam Cię,*

*Twój Mikołaj*

*PS Mama mówiła, że dała mi imię po Tobie, bo chciałyby, żebym przynosił innym tyle radości co Ty. Ja też bym chciał.*

Od razu polubiłem tego dzieciaka. Mimo młodego wieku nie spanikował, ale uważnie obserwował drogę, którą wieźli go porywacze, a kiedy spuścili go na chwilę z oka, uciekł im i wybrał w swojej komórce numer alarmowy.

– W jakim lesie?

– Nie wiem. Wszystkie lasy wyglądają dla mnie tak samo. Wyjechaliśmy z miasta dwupasmową ulicą. Jechaliśmy szybko. Skręciliśmy w prawo tak jakoś na wysokości budynku, na którym był napis zajazd. I most, widziałem jeszcze ładny most. Ale nie przejechaliśmy pod nim, tylko skręciliśmy. A potem były dwa ronda. Na pierwszym pojechaliśmy prosto, na drugim w lewo i po chwili zaczął się las.

My też jechaliśmy właśnie dwupasmówką. Analiza dróg wyjazdowych z Poznania nie wymagała wykazania się szczególnymi umiejętnościami. Dwupasmówki prowadziły w stronę Swadzimia, Swarzędza i Kórnik.

Porwany chłopiec powiedział, że mieszka z rodzicami na Ratajach. Odpadał więc kierunek Swadzimia, bo porywacze musieliby przejechać przez całe miasto. Z pozostałych Kórnik wybrałem na chybił trafił. Chociaż nie. Raczej to było przekonanie, że ludzie, także ci, którzy łamią prawo, są z natury leniwi. Jeśli więc porywacze zaplanowali wywiezienie rodziny Damięckich do lasu, na pewno wybrali najkrótszą drogę i najbliższy las.

– Jest most. – Wachowiak wskazał ręką budowlę.

– I zajazd. – Skinąłem głową w lewą stronę.

Przemknęło mi przez myśl, że gdybym był dzieckiem, to nie zauważyłbym zajazdu, jedynie most, ale uznałem to za znak różnicy pokoleń.

Skręciłem w prawo, a kiedy zobaczyłem rondo, wiedziałem już, że jesteśmy coraz bliżej porywaczy.

– Nie mogę skontaktować się z chłopcem. – Z radia dobiegł głos policjantki, która przyjęła zawiadomienie o porwaniu. – Może telefon mu się rozładował...

– A może porywacze znaleźli chłopca, zabrali mu telefon i chcą go zabić? – zasugerował Wachowiak. – Jeśli mają telefon, to widzą historię połączeń. Wiedzą, że mały gadał z policją...

Tyle razy mówiłem Wachowiakowi, że jeśli nie ma do powiedzenia nic odkrywczego, to powinien trzymać mordę w kuble. Gdybym nie prowadził auta, skupiłbym się na walnięciu go w nos, ale zamiast tego całą negatywną energię wydatkowałem na doduszenie pedału gazu.

Posiłki były w drodze, my właśnie dojechaliśmy do ściany lasu, a piątek trzynastego dopiero się rozkręcał. Nie byłem naiwny i dobrze zdawałem sobie sprawę z tego, że przy takiej sprawie za sześć i pół roboczogodzin nie będę mógł powiedzieć, jak to miałem w zwyczaju: nara.

Zagrozenie życia dwóch dorosłych i dziecka to był priorytet i powód do mobilizacji całego zespołu. Argumenty typu weekend, zmęczenie czy inne plany traciły na znaczeniu.

Chyba że zaraz wśród tych drzew znalazłbym ciepłe jeszcze zwłoki rodziny Damięckich. Wtedy procedury pozwoliłyby mi na odpoczynek, a sprawa straciłaby rozpęd. Bo Zakład Medycyny Sądowej, do którego trafia trup, to nie piekarnia ani nie OIOM. Trupowi się nie spieszy, a policji tym bardziej.

No chyba że szukamy być może żywych ludzi. Wtedy się nam spieszy. Albo przynajmniej powinno się spieszyć. Ewentualnie i ostatecznie powinniśmy sprawiać wrażenie, że pośpiech jest tym, na czym nam zależy. Zwłaszcza w mediach.

– Jankowski. – Odebrałem dzwoniącą komórkę.

– Panie komisarzu, aspirant Skowronek. Jesteśmy pod domem Damięckich. To szeregowiec przy Purzyczańskiej. Brama wjazdowa jest otwarta. Przed garażem znaleźliśmy ślady krwi.

– Ile krwi?

– Raczej wybity ząb niż rozcięte gardło.

– W kontakcie – burknąłem do komórki i schowałem ją do kieszeni.

Krew. Nie było na co czekać. Razem z Wachowiakiem wybiegliśmy z samochodu, nie czekając na posiłki. Jeśli porywacze użyli przemocy już na samym początku akcji, można było zakładać, że używali jej także potem.

Istniało więc dość duże prawdopodobieństwo, że co najmniej jedna z ofiar porwania ma znacznie uszkodzone ciało. Może leci jej krew z nosa, a może wykrwawia się na śmierć.

Biegłem. Im dalej w las, tym więcej drzew widziałem, ale starałem się raczej skupić na słuchu. Dźwięk niósł się przecież swobodnie, a widoczność ograniczały krzaki i drzewa. Chłopiec pojawił się nagle. Wszedł zza krzaków i spytał, czy jestem policjantem. Był sam.

– Tak. Komisarz Jankowski. Jesteś cały? – spytałem chłodno, jak na faceta przystało, ale i tak zacząłem się zachowywać jak matka Polka.

Zamiast poczekać na odpowiedź, sam przystąpiłem do oględzin. Obróciłem go w prawo, w lewo, żeby sprawdzić, czy nie został ranny.

– Gdzie oni są? – Wachowiak dobiegł do nas.

Jego pytanie uświadomiło mi, że myśli zawiesiłem chwilowo na chłopcu, zamiast szukać jego rodziców. Jeśli w ciągu sześciu roboczogodzin znalazłbym ich, zasłużyłbym na weekend.

– Gdzie są twoi rodzice i ci, którzy was porwali? – przetłumaczyłem pytanie Wachowiaka.

– Nie wiem. Przyszedłem stamtąd. – Chłopiec bez zastanowienia wskazał kierunek.

To była szybka akcja. Wachowiak, ja i adrenalina. Kochamy takie klimaty. Skradanie się. Koncentracja. Nieznany teren. Broń w dłoni gotowa do użycia.

Nadzieja, którą zobaczyłem w oczach Wachowiaka, była tak ogromna, że sam się nią zaraziłem. Tak, przyznaję. Miałem ochotę na więcej. Na zaskoczenie porywaczy. Krótką pogoń za jednym z nich. Na powalenie go na ziemię, przyciśnięcie twarzy butem do leśnego runa i założenie dźwigni transportowej.

– Ratunku!

Męski głos pomógł nam zlokalizować cel podróży. Przyspieszyliśmy... i jak zwykle nic z tego nie wyszło.

W towarzystwie Wachowiaka, adrenaliny i nadziei dotarłem do małej polany. Niestety nie było na niej nikogo poza wyglądającym jak siedem nieszczęść mężczyzną. Miał na sobie dziwne spodnie od dresu. Rozciągnięte do tego stopnia, że wypchnięte miejsca po kolanach sterczały, mimo że mężczyzna miał wyprostowane nogi.



Wyglądało to tak komicznie, że zatrzymałem się w bezpiecznej odległości i musiałem się temu przyjrzeć w spokoju. Zużyte spodnie, nieogolona twarz i niechlujnie zawiązana lina, łącząca go chwilowo z drzewem... Wszystko idealnie pasowało do tego, co opowiadał chłopiec.

Porywacze zaskoczyli rodzinę przed domem, czego dowodem jest niewyjściowy strój mężczyzny. Przyjechali tu do lasu, a kiedy nas usłyszeli, uciekli.

– Pan Damięcki? – Wachowiak podbiegł do mężczyzny i zaczął go rozwiązywać.

– Jak dobrze, że jesteście. Łapcie ich!

– Jak wyglądają?

– Normalnie. Jak zamaskowani sprawcy. Dwóch facetów w ciemnych dresach. Porwali nas. Gdzie jest mój syn?

– Jest bezpieczny. Spotkaliśmy go. Co tu się stało? Dlaczego przywiązali pana do drzewa?

– Żebym za nimi nie szedł. Zabrali moją żonę i poszli. Musicie ich znaleźć.

W sumie facet miał rację. Pytanie Wachowiaka jak zwykle było nie na miejscu. W tej chwili są o wiele bardziej priorytetowe sprawy niż podjęcie próby rekonstrukcji wydarzeń. Zdażymy przecież przesłuchać faceta na spokojnie. Teraz powinniśmy skupić się na poszukiwaniu jego żony, zwłaszcza że facet nie nosił śladów pobicia, wobec czego należało przypuszczać, że krew znaleziona przez chłopaków na podjeździe domu Damięckich musiała należeć do kobiety.

– W którą stronę poszli?

*Drogi Mikołaju,*

*miesiąc minął od mojego ostatniego listu do Ciebie. Mam nadzieję, że spoglądasz czasem na mnie i wiesz, że jestem grzeczny. Słucham taty. Tata jest bardzo fajny. Gra ze mną w różne gry planszowe. Rozmawiamy o samochodach i czasem nawet chodzimy razem po zakupy. Tak właściwie to mój tata jest jak mamy moich kolegów. Tylko że lepszy. Bo też siedzi w domu, ale nie skupia się tak na gotowaniu i pilnowaniu porządku. Czasem razem bałaganimy i śmiejemy się też razem. I chyba dlatego kocham go najbardziej na świecie.*

*Mama też jest OK, ale trochę mniej ją kocham. Bo ona dużo pracuje i ciągle nie ma jej w domu. A jak już jest, to nie chce grać ze mną w piłkę*

*ani iść na spacer, ani się powygłupiać. Woli czytać mi książki, a ja książek nie lubię.*

*Czy mógłbyś Mikołaju podarować jej więcej wolnego czasu? Może wtedy będzie miała ochotę się ze mną pobawić.*

*Z góry dziękuję,*

*Mikołaj*

Nie uszliśmy daleko. Za drzewami była dzika uliczka, w której stał samochód Damięckiego. Sprawcy uciekli. Samochodem, po którym zostały tylko ślady opon.

Dookoła nie było żywego ducha. Skinąłem głową na Wachowiaka. Podeszliśmy do opuszczonego samochodu. Wachowiak mnie ubezpieczał, a ja otworzyłem bagażnik.

W środku leżało ciało.

– Damięcka?

Jak zwykle Wachowiak popisał się błyskotliwością:

– Nie, kurwa, duch święty.

Splunąłem na ziemię i przystąpiłem do realizacji procedur. Dotknąłem ją. Temperatura ciała jeszcze nie spadła znacząco, ale pulsu nie wyczułem.

– Wezwij karetkę... i chłopaków – rzuciłem w stronę Wachowiaka.

Właściwie powinienem się cieszyć. Za mniej niż sześć roboczogodzin rozpoczynałem weekend. Poszukiwania porwanych właśnie się skończyły. Z trzech osób – dwie przeżyły. To była niezła statystyka.

Spokoju jednak nie dawała mi myśl, że w moim samochodzie siedzi właśnie chłopiec, który nie wie, że jego matka umarła.

Wszyscy, którzy musieli potwierdzić, że kobieta nie żyje, wywiązali się ze swoich obowiązków jak należy. Krótko, na temat i bez emocji.

– Wygląda mi to na gwałtowne uduszenie w mechanizmie zadzierzgnięcia. Bruzda przebiega okrężnie na linii poziomej.

Lekarz ostatniego kontaktu nie pozostawił żadnych wątpliwości. Chociaż na sekcję zwłok trzeba było jeszcze poczekać, jasne się stało, że Damięcka została uduszona, a następnie schowana w samochodzie swojego męża.

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

Wachowiak nadal, mimo trzech lat współpracy, nie potrafił czytać w moich myślach, co bardzo mnie wkurzało.

– Dlaczego ją udusili i załadowali do samochodu? Swojego rozumiem – żeby ją wywieźć, ale do samochodu Damięckiego?

– Przeszkodziliśmy im, na bank. Może jego też chcieli zabić, a później wpakować do samochodu i upozorować wypadek?

– Z żoną w bagażniku? Oj, Wachowiak, Wachowiak. Być może ty swoją wozisz w bagażniku, ale przeciętny Kowalski, Damięcki czy Jankowski nie ma tak łatwo...

– No więc jak było?

Trzy roboczogodziny przed weekendem powtórzyłem to pytanie po raz piąty. Nie to, że chciałem na nie uzyskać odpowiedź. Myślni byłem już raczej na swojej kanapie, przed telewizorem z piwem w ręku.

Damięcki siedział naprzeciwko mnie i na przemian albo wpatrywał się w swój palec, albo brał go do ust.

– Dwóch zamaskowanych mężczyzn zaskoczyło nas na posesji. Ja stałem na podjeździe, a żona i syn byli w garażu. Przyłożyli nam coś twardego do pleców i kazali wsiadać do samochodu. Jeden z nich usiadł za kierownicą, drugi ze mną i synem z tyłu.

– Jak pan zareagował?

– Uznałem, że nie mogę z nimi walczyć, skoro jest ich dwóch i mają broń. Robiłem wszystko, co kazali. Nie chciałem, żeby Mikołajowi stała się krzywda. Cholera, czy ma pan może apteczkę?!

Spojrzał wymownie na swoją dłoń. Na palcu wskazującym pojawiała się właśnie mała kropla krwi.

– Słucham?

– Apteczkę. Muszę opatrzyć ranę.

Ranę? Tym mnie facet rozbawił. Właśnie zamordowano mu żonę, a jego zabrano w całkiem niewyjściowym dresie z podjazdu po to, by go wywieźć za miasto, a on jest przejęty tym, że skaleczył palec o korę drzewa.

– Jak skończymy przesłuchanie, to Wachowiak zaprowadzi pana do naszej higienistki – nie mogłem się powstrzymać.

Ostatnią higienistkę widziałem w szkole i nie mam z tego spotkania dobrych wspomnień. Grzebała mi we włosach, poszukując wszy. To było jak gra w rosyjską ruletkę. Wszyscy staliśmy grzecznie, czekając na wyrok.

– Czy rozpoznał pan napastników? – Wachowiak wykorzystał chwilę mojego zamyślenia, by zadać swoje „błyskotliwe inaczej” pytanie.

Przecież gdyby Damięcki ich rozpoznał, to mówiłby o nich per Wacek i Jarek, a nie: „zamaskowani mężczyźni”.

– Niby jak? Mówiłem przecież, że byli zamaskowani.

Tak rzeczywiście mówił. Nie tylko Damięcki, ale i jego syn Mikołaj. Ich wersje były zbieżne. Zamaskowani mężczyźni zawieźli ich do lasu. Kiedy wyszli z samochodu, chłopiec wykorzystał chwilę zamieszania i uciekł. Nie gonili go.

Chłopak nie pamiętał żadnych szczegółów: czy w samochodzie porywacze coś mówili, jak się zachowywał ojciec, kto pierwszy wysiadł z samochodu. Skupił się widocznie tylko na tym, żeby zapamiętać drogę.

Nie mogłem mieć do niego pretensji. Przeżył traumatyczne zdarzenie, stracił matkę... i miał dziesięć lat. Musiałem zastosować wobec niego taryfę ulgową.

Po porywaczach nie został żaden ślad. Ani na monitoringu, ani w pomieszczeniach, w których byli. Nie zostawili niczego, co można by uznać za wizytówkę i się z nimi skontaktować.

Z lasu odjechali samochodem, innym niż przyjechali, co musiało oznaczać, że w sprawę zabójstwa Damięckiej były zamieszane co najmniej trzy osoby. Dwie, które ją uprowadziły, i trzecia, prowadząca samochód, którym uciekli.

– Dlaczego zostawili pana przywiązanego do drzewa?

– Nie mam pojęcia. Proszę ich spytać. Kazali mi być cicho i odeszli z żoną.

– Wyrwała im się?

– Ona była przerażona tak samo jak ja. Już przed domem dostała z pięści w twarz. Wtedy przestała stawiać im opór.

\*

– Jaki cel miałoby porwanie całej rodziny? – zastanawiałem się głośno, po cichu licząc roboczogodziny pozostałe do weekendu.

Liczenie zawsze mnie uspokajało, a praca w towarzystwie Wachowiaka wręcz odwrotnie.

W zgromadzonych zeznaniach i wyjaśnieniach dotyczących Damięckich wszystko się zgadzało. Do zamknięcia sprawy brakowało jeszcze sprawców i motywu.

– Porachunki mafijne?

– Wachowiak, ty jak już coś powiesz... Mafia i fryzjerka?

– Raczej właścicielka salonu fryzjerskiego. Mąż niepracujący. Dom urządzony na poziomie. Mieli dość kasy na wszelkie zachcianki.

Tu w sumie mógłbym przyznać mu rację. Byłem w domu Damięckich i przyznam, że panowały tam naprawdę komfortowe warunki. Nie pogardziłbym propozycją, żeby przeprowadzić się tam na czas prowadzenia śledztwa.

– Salonu fryzjerskiego? To brzmi zbyt dumnie. Przecież to był osiedlowy salonik z dwoma fryzjerkami, a nie ociekający złotem luksusowy salon.

– A może to nie był salon a pralnia? Pralnia pieniędzy?

– Może...

Dwie roboczogodziny przed weekendem zasiadłem w skórzanym fotelu. Nie, to nie był awans ani nic w tym klimacie. Pojechaliśmy z Wachowiakiem porozmawiać z sąsiadami Damięckich. Jednych nie było w domu, ale drudzy przyjęli nas jak oczekiwanych gości.

Zaprowadzili nas do salonu, kazali zająć miejsca i nie pytając o zdanie, poczęstowali herbatą podaną w porcelanowych filiżankach.

– Damięccy mieli pieniądze, prawda, Halinko?

– Prawda. Ona chodziła bardzo modnie ubrana. A on niby siedział w domu, ale też facet niczego sobie. Nie żaden dres czy ofyflaniec. Zadbany był. Schludnie ubrany. Było na czym oko zawiesić.

À propos wieszania albo raczej wiszenia, to zapamiętałem męża denatki zupełnie inaczej. Wyglądał jak prawdziwy facet, czyli na przykład jak ja, w wolny weekend. Kiedy wchodzę w wygodne, podobno zużyte spodnie od dresu i żona odgraża się, że kiedyś mi je spali, bo wyglądam w nich jak strach na wróble.

– Nie wiem, czy oni zarabiali na tym salonie fryzjerskim czy gdzieś indziej, ale ludzie mówią, że to było porwanie. Dla okupu. I ja nawet widziałem tu takiego jednego faceta, co się kręcił wokół ich domu. Takiego w bluzie z kapturem.

– A ja widziałam obcy samochód, stał dość długo na ulicy, a w środku ktoś siedział. Wtedy pomyślałam, że może ktoś czeka na sąsiada, ale teraz myślę sobie, że może ich obserwował. Kiedy przyjeżdżają, kiedy wyjeżdżają.

Przemyślenia zatrzymałem dla siebie. Nie porywa się dla okupu całej rodziny, bo kto miałby ten okup zapłacić. Wystarczyłoby przecież, żeby

zwinęli z podwórka tego chłopca.

*Drogi Mikołaju,*

*ta trampolina, o której pisałem Ci ostatnio, jednak nie musi być taka duża. Wystarczy trochę mniejsza. Albo dużo mniejsza. Ostatecznie może być taka jednoosobowa, najwyżej ustawimy się w kolejce i będziemy skakać na zmianę.*

*Wczoraj tata i mama kłócili się o pieniądze. Że mama ciężko pracuje, by je mieć, i nie można wydawać ich ot tak. Dlatego tak sobie myślę, że jeśli, Drogi Mikołaju, zaoszczędzisz pieniądze na tej mojej trampolinie, to może wydasz je na jakieś inne dzieci, a mnie w zamian za to rozwiążesz jakiś ten problem... bo bardzo bym chciał, żeby rodzice przestali rozmawiać o pieniądzach. A może zlikwidujesz je tak, żeby na całym świecie można było płacić na przykład tylko uśmiechami?*

*Życzę Ci miłego dnia,*

*Mikołaj*

Zaraz po weekendzie pojawiłem się w firmie zrelaksowany i przygotowany do wyzwań nowego tygodnia. Część z nich nawet miałem rozpisanych w kajeciku. Niestety lista nie uwzględniała wizyty Alicji Maciejewskiej i być może dlatego cały relaks poszedł się przespacerować w przeciwnym kierunku niż ja.

On na łąkę, ja do pokoju przesłuchań.

– Jesteś już? – Wachowiak siedział przy stole wraz z Maciejewską i nie ukrywał, że jest mu gorąco.

Miał czerwone policzki i wachlował swoją twarz aktami.

– Zaczęliście beze mnie?

– Niestety pani nie mogła czekać.

Patrzył to na mnie, to na nią, ale na nią wzrokiem takim, jakby była królową. Cholera mnie brała, bo dobrze wiedział, że nie powinien rozpoczynać przesłuchania beze mnie. Co z tego, że baba nie mogła czekać!

I co to w ogóle znaczy? Sprzedała mu głodny kawałek o czekaniu, a on jak taki dzieciak się na to złapał. Skoro przeczekała cały weekend, to mogła posiedzieć na korytarzu jeszcze trzydzieści minut.

– A czemu pani nie mogła czekać? – spytałem Wachowiaka, kompletnie ignorując kobietę.

– Jestem przyjaciółką Damięckiej – odezwała się szybciej, niż Wachowiak zdążył przełknąć ślinę.

Miała niemiły dla ucha, piszczący głos.

– I przyszła pani bo?

– Bo usłyszałam na osiedlu, że niby Baškę zabiła mafia.

– Nie oczekuje pani chyba, że policja będzie traciła swój czas na potwierdzanie lub dementowanie plotek wymyślanych przez społeczeństwo?

– No... w sumie... nie.

Jeden zero dla mnie. Baba straciła pewność siebie. Wstałem, podszedłem do drzwi z zamiarem otworzenia ich i poproszenia kobiety o wyjście z pokoju, ale z pomocą przyszedł jej Wachowiak:

– Pani przyszła nam opowiedzieć o stosunkach denatki z mężem. Niech pani mówi! No dalej, bo pan komisarz się spieszy.

– No właśnie. Bo panie komisarzu, w dniu śmierci Miśka zadzwoniła do mnie i powiedziała, że się go boi.

– Kogo?

– Męża. Bo im się nie układało od dawna. Ona pracowała, całe dni spędzała w salonie. On zajął się wychowywaniem syna, ale bardzo szybko znalazł sobie rozrywki. Wydawał zarobione przez nią pieniądze. Na zabawki, ciuchy, rozrywki. A ostatnio nawet na kochanki. Ona starała się jakoś z tym pogodzić, ale ostatniej lafiryndy nie wytrzymała. Złożyła dokumenty o rozwód. Miała dość. On się wściekł. W sumie mu się nie dziwię. Rozwód zamknąłby mu dostęp do gotówki. Sąd orzekł separację. Mały nie chciał zostać z nią, wolał mieszkać z ojcem. Dlatego nie wyprowadziła się z mieszkania. Chciała mieć go chociaż na oku. Kochała syna. Nie mogła pogodzić się z tym, że mąż manipuluje ich dzieckiem. W dniu, kiedy rozmawiałam z nią po raz ostatni, zadzwoniła do mnie, jak wyszła z pracy. Powiedziała, że Jacek znowu ją śledzi, że stoi pod jej salonem fryzjerskim.

Na twarzy Damięckiego uśmiech pojawił się bezpośrednio po pytaniu o separację. Cwaniacki uśmiech, który przyklejają sobie ci, którzy są przekonani, że nikt nigdy nie złapie ich na kłamstwie. Nie miałem wątpliwości, że uderzamy pytaniami właściwego człowieka. Zobaczyłem jednak jego zupełnie inną twarz.

Przywiązany do drzewa był taki bezbronny, a teraz jego oczy jakby pytały: i co? Co mi zrobicie?

– Poświęcałem się dziecku i prowadzeniu domu. Czy żonie to się podobało? Na początku tak, kiedy mogła zacząć sama pracować. Później już mniej. Bo się rozczarowała. Myślała, że będę z nią rozmawiał o ważnych sprawach, a nie o kupkach, kaszkach, zabawkach i zakupach na cały tydzień. Dlatego między nami się popsulo. Stąd ta cała separacja. To nie był mój pomysł. Walczyłem o nią.

– Skorzystał pan na jej śmierci. Majątek przeszedł na pana.

– A moje dziecko nie ma matki! Opowiadacie panowie głupoty. Rozumiem, że chcecie znaleźć mordercę mojej żony, ale powinniście prześwietlić jej środowisko. Różni ludzie się u niej obcinali. No i ta przyjaciółeczka, też jest z niej niezłe ziółko.

*Drogi Mikołaju.*

*jednak nie będzie kolejki do trampoliny. Moi rodzice się rozstają. Pan sędzia spytał mnie, z kim dalej chciałbym mieszkać. Powiedziałem, że z tatusiem. Tata był ze mnie dumny. Uprzedził mnie, że pan sędzia może mnie o to pytać, a wtedy ja spokojnie mam odpowiedzieć, czego chcę, czyli że tego, żeby mieszkać z tatą.*

*Na mamę nie patrzyłem. Dopiero kiedy wychodziliśmy z sądu, podeszła do mnie i spytała, dlaczego nie chcę z nią mieszkać.*

*Nie wiedziałem. Nie potrafiłem jej tego wytłumaczyć. Ona była zawsze zmęczona po pracy, a tata zawsze miał siłę, żeby się ze mną pobawić.*

*Dlaczego pytała? Tata się denerwował. Zaczął ją odsuwać. Ona zaczęła płakać. A ja poczułem, że tylko ja mogę rozwiązać ich problem, i powiedziałem głośno i wyraźnie: Nie jesteś moją mamą!*

*Zadziałało. Przeszali się przepychać. Ojciec przytulił mnie, a mama zaczęła tak głośno płakać, że wiedziałem, że powiedziałem coś bardzo złego.*

*Lepiej będzie, Mikołaju, jeśli podarujesz moją trampolinę jakiemuś innemu dziecku. Grzeczniejszemu niż ja.*

*Mikołaj*

Na samą myśl, że mam to robić, było mi już nie tylko niedobrze, ale i gorąco. Czułem, że pot leci mi po plecach. Ponowne przesłuchanie chłopca odbywało się w obecności psychologa.

Nigdy nie potrafiłem rozmawiać z dziećmi. Swoimi czy nie, to nie miało znaczenia. Przesłuchiwanie nieletnich było najgorszą czynnością, którą powinienem wykonywać.



Tym razem wyręczyłem się młodą i przemiłą psycholożką.

– Powiedz nam, Mikołaju, jak to było.

Kobieta miała tak łagodny głos, że gdybym był małym chłopcem, to wcale bym się nie bał.

Dziesięcioletek opowiadał więc jeszcze raz to samo. O porwaniu. Podróży i ucieczce. To wszystko było jakieś takie... mdłe.

Jakby nie przyprawione. Jakby opowiadał nam o filmie, który obejrzał w kinie, ale tak strasznie go znudził, że prawie na nim zasnął. A może właśnie nie tyle znudził, ile był wobec niego całkiem obojętny.

Ta obojętność budziła mój sprzeciw. Podczas pierwszego przesłuchania nie przyczepiałem się do niej, bo chłopiec mógł być w szoku, ale dziś? Czy nadal nie uzmysłowił sobie, że stracił matkę?

– Jesteś bardzo dobrym synem, wiesz? Mama i tata pewnie zawsze byli z ciebie dumni.

– Tata tak.

– Bardzo go kochasz?

– Najbardziej na świecie.

– A mamę?

– Mamę mniej.

– Dlaczego?

– Bo ona nas nie kocha.

– Dlaczego tak myślisz?

– Bo jest zła. I nas zostawiła.

– Nas?

– Mnie i tatę.

– Tak powiedział?

Chłopiec odwrócił głowę, jakby chciał zademonstrować, że na takie pytania nie będzie odpowiadał.

To głupie, ale pomyślałem chyba po raz pierwszy w życiu, że podglądam coś bardzo intymnego. Że chłopiec ma poważny problem emocjonalny i bardzo dobrze, że rozmawia z psychologiem dziecięcym. I że mnie przy tej rozmowie nie powinno być. Nawet za tym pieprzonym lustrem weneckim.

– O czym rozmawialiście w samochodzie? Kiedy jechaliście do lasu?

– Tata kazał mi wszystko zapamiętywać.

– I pięknie zapamiętałeś. Tata na pewno był dumny, prawda?

– Tak.

– A potem jak już przyjechaliście na miejsce, do lasu, to co kazał ci robić?

– Zadzwoń po policję.

– Znałeś numer?

– Tak.

– I znowu tata był dumny. I mama pewnie też.

– Mama płakała i kazała mi uciekać.

– Kobiety zwykle reagują w takich sytuacjach płaczem. Ale wiesz, to, że kazała ci uciekać, to wcale nie znaczy, że nie chciała, żebyś przy niej był, tylko chciała cię chronić. Chciała, żeby ci się nic nie stało. A tata też się bał?

– Nie wiem.

– Rodzice czasem się kłócili, prawda?

– Mama krzyczała na tatę.

– Czasem krzyczymy, bo mamy powód. Myślisz, że twoja mama też mogła go mieć?

– Kiedy będę mógł wrócić do taty?

– Za chwilę. Tego dnia kiedy was porwano... czy tata kazał ci zrobić coś jeszcze? Coś, o czym nie zdążyłeś mi jeszcze powiedzieć?

Psycholog zmierzała delikatnie w jasno określonym kierunku. Zeznania ojca i syna co do istoty sprawy pokrywały się, ale posiadały kilka niewielkich rozbieżności. Powiedziałbym, że nieistotnych, jednak wzbudzających moją ostrożność. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że sugestie ojca mogłyby mieć wpływ na to, co powiedział nam jego syn. To właśnie musieliśmy sprawdzić.

– Nic.

– Tata bardzo cię kocha. Spędza z tobą wiele czasu.

– Tak. Ja go też kocham.

– A czasem ktoś się tak bardzo kocha, że chce się dla niego skłamać...

– Ale ja nie kłamię.

– Nie mówię, że kłamiesz. Ja kiedyś skłamałam, że to nie moja siostra zabiła cukiernicę, mimo że to ona zrobiła. Kochałam ją i chciałam ją ochronić. Bałam się, że dostanie karę i że będzie na mnie zła za to, że powiedziałam prawdę.

– I co?

– Przez chwilę była, ale potem jej przeszło. A teraz wspominamy to ze śmiechem.

Psycholog była przekonująca, a chłopiec wydawał się zainteresowany. Gdybym był w pokoju przesłuchań, zacząłbym zadawać pytania. To był ten moment, w którym można było go przycisnąć. To znaczy, można byłoby go przycisnąć, gdyby był pełnoletni.

Ale nie był. Siedział więc na krześle, a ja mu się przyglądałem zza lustro.

Cisza, która przykryła psycholożkę i dziecko, była nie do zniesienia. Liczyłem roboczo godziny dzielące mnie od weekendu. A po nich roboczominuty. Z roboczosekundami miałbym problem, ale na szczęście w pewnym momencie chłopiec się poruszył.

– Proszę pani, czy ja mogę wrócić już do taty? – spytał.

– Oczywiście, że możesz... – Psycholożka spojrzała w lustro, a ja zobaczyłem jej uśmiechniętą twarz i zakląłem siarczyście.

„Nie, nie wypuszczaj go teraz” – chciałem krzyknąć, ale i tak by mnie nie usłyszała.

– Dziękuję, Mikołaju, że ze mną porozmawiałeś. Było mi bardzo miło. Jesteś wspaniałym chłopcem. Gdybym miała syna, to chciałabym, żeby był właśnie taki jak ty. Mądry, spostrzegawczy i rozważny.

Chłopiec wstał z krzesła, przeszedł koło psycholożki, a potem się odwrócił i spojrzał na nią.

– Proszę pani?

– Tak?

– Tata kazał mi się odwrócić i nie patrzeć.

– Nie patrzeć na co?

– Nie mogę powiedzieć. Ale ja wiem, dlaczego jechaliśmy do tego lasu. I wiem też, co się tam stało, ale nie chcę powiedzieć.

\*

*Drogi Mikołaju,  
czy na śmierć można zasłużyć?  
Piszę, żebyś wiedział, że nie będę już do Ciebie pisać.  
Nie przynoś mi trampoliny. Ani zabawek. Ani książek. Ani gier. Nie chcę  
też piłki, nowych butów czy wakacji w Disneylandzie.  
Nie zasłużyłem na prezenty.  
Tata mówił, że mama jest zła. Że nas nie kocha i że za chwilę nas zostawi.*

Mówił, że zawsze chciała mieć córeczkę, a nie mnie. I że kiedy się urodziłem, miała depresję. Nie wiedziałem, co to jest, ale poczytałem w Internecie. Urodziła mnie i płakała, bo mnie nie chciała.

Pojechaliśmy ostatnio do lasu. Całą rodziną. Na polanie czekała na nas koleżanka taty. Mama zaczęła krzyczeć, że ma dość tego, że tata ciągle ją zdradza.

Tata nic nie mówił. Uderzył mamę. Widziałem to i krzyknąłem. Nie chciałem, żeby się bili. Pani w szkole też tak zawsze reaguje na nasze bójkę. Tata kazał mi się obrócić i nie patrzeć. Nie był dla mnie miły w tamtym momencie, ale zrobiłem to, o co mnie prosił.

Nie patrzyłem, a potem musiałem nawet zatkać sobie uszy, bo mama bardzo mocno płakała i prosiła, żeby nie robić jej krzywdy.

Odwróciłem się dopiero, jak tata mi pozwolił. Mama leżała na ziemi. Nie ruszała się. Nie krzyczała. Nie płakała.

„Teraz musisz zrobić tak, jak się umawialiśmy” – powiedział tata.

Zrobiłem.

Tata powtarza, że jestem bardzo grzeczny. Nie wiem jednak, czy to prawda. Mama powiedziała by pewnie, że nie byłem grzeczny, bo powinienem biec po pomoc, a nie czekać, aż ją zabiją.

Brakuje mi jej. Jej śmiechu, min i nawet tego beznadziejnego krzyku.

Drogi Mikołaju. Zastanawiałem się, dlaczego jesteś taki dobry dla wszystkich dzieci? Przecież nie wszystkie są grzeczne, niektóre Ciebie okłamują. A potem pomyślałem sobie, że może też kiedyś zrobiłeś coś bardzo, bardzo złego... tak jak ja. I teraz pomagasz innym, bo chcesz poczuć się chociaż trochę lepiej.

Jeśli to działa, to daj mi jakiś znak. Zostanę Twoim pomocnikiem.

Czekam. Bardzo!

Mikołaj

# **NIESPODZIANKA**

**Olga Rudnicka**

Skulona za krzakiem rosnącym tuż przy ogrodzeniu starała się wyglądać niepozornie, nijako, a najlepiej byłoby, gdyby stała się niewidzialna. Tylko tak można upolować złoczyńcę, który niszczył jej rabatki. Jej powołaniem życiowym nie było ogrodnictwo, tylko pisarstwo, ale przecież się nie rozdzieli. Walnie zabójcę bratków łopata, pochowa go w ogrodzie, a z czasem będzie z niego doskonały kompost dla kwiatów. Następnie wróci do swojego pokoju w mechlińskim dworcu, który – wraz z czterema siostrami poznanymi u notariusza podczas odczytywania testamentu – odziedziczyła po śmierci ojca bigamisty.

Sucharskiemu seniorowi trzeba przyznać, że miał sporą inwencję twórczą. „Tak lawirować między kilkoma kobietami, to trzeba mieć talent” – pomyślała z nagłym podziwem. Czyżby poza pieniędzmi odziedziczyła po nim tę skłonność do konfabulacji? Przeszedł ją dreszcz. I to nie z powodu zimna. Odziedziczenie po ojcu takich cech, jak błyskotliwość, wybitna inteligencja, pamięć niemalże doskonała, choć wybiórcza, były mile widziane. Skłonność do kłamstwa, matactwa i manipulacji? Niekoniecznie, chociaż w życiu te umiejętności bywały całkiem przydatne. Do tego dochodziło jeszcze kilka cech charakteru odziedziczonych po matkach: jędzowatość, pamiętliwość, małostkowość i mściwość. Rzecz jasna, każda z sióstr Sucharskich miała własną, prywatną matkę, ale Jarosław Sucharski gustował w tym samym typie kobiet, od których ostatecznie uciekał. Mieszanka charakterologiczna, jaką odziedziczyła, wprawiała ją niekiedy w spore zmieszanie, gdyż hipokryzją byłoby zarzucanie siostrom wad, które sama miała.

Ale teraz ten sam zlepek cech spowodował, że Nata siedziała ukryta w krzakach, czając się na kwietnego wandalę. Padający deszcz irytował ją, choć nie na tyle, by miała wrócić do ciepłego i suchego domu, a prawda była taka, że podeptane rabatki nie raniły jej duszy zbyt mocno. Chodziło tylko o to, że to były JEJ kwiatki i całej reszcie świata od nich wara! Jeśli ktoś będzie je deptał, to ona!

Dochodziła północ, gdy zziębnięta, przemoczona Nata usłyszała warkot zbliżającego się pojazdu. Po chwili do jej czujnych uszu dobiegło trzaśnięcie drzwi, podejrzany chichot i na koniec usłyszała sapanie, gdy złoczyńca wspinał się na płot, by dokonać dewastacji.

– Aha! – syknęła z satysfakcją, gdy intruz wylądował kilkanaście metrów od niej. – Mam cię! – wykrzyknęła wojowniczo, wypadając zza

krzaka z uniesioną do góry łopatą.

Intruz wrzasnął cienko i przenikliwie, potknął się o własne stopy, bo nic innego na grządce nie było, zamachał rękami jak ogromne ptaszysko i z głuchym jękiem runął, dusząc bratki nieodwracalnie.

– Natka? – zawołała zaskoczona Nata, rozpoznając młodszą siostrę, która leżała z rozrzuconymi szeroko rękami i nogami. Szeroko otwartymi oczami patrzyła na napastnika, który w różowym płaszczu przeciwdeszczowym wyglądał jak kosmita.

– Nata? – wyjąkała przestraszona dziewczyna, nie mogąc przestać mrugać jak przestraszona sowa.

– Co ty wyrabiasz? – Nata odłożyła łopatę i podeszła do leżącej na ziemi dziewczyny.

– Ja? Co ja wyrabiam? Raczej co ty wyrabiasz? – Natka nieufnie spojrzała na wyciągniętą w jej kierunku rękę. – Chciałaś mnie zabić? Za co? – zapytała żałośnie.

– Za co, to ja wiem, nie wiem tylko, czy ciebie – wyjaśniła z zażenowaniem dziewczyna.

– Jak nie mnie, to kogo? – dociekała Natka, podnosząc się samodzielnie i na wszelki wypadek odsuwając poza zasięg leżącej na ziemi łopaty.

– Kto wie, może i ciebie. Często wracasz do domu tą drogą? – zapytała podejrzliwie pisarka, sięgając po łopatę. Kto wie, może zaraz się przyda.

– Hm... – Zakłopotana ofiara napaści nie wiedziała, czy przyznać się, czy nie przyznać do zakradania się do własnego domu przez płot. Prawidłowa odpowiedź powinna uratować jej życie, tylko o co siostrze chodzi? O płot?

– Zabiłaś moje bratki? – Nata zdecydowała się sprecyzować problem.

– Jakie bratki? – zdziwiła się Natka.

– Och, czy ja wiem jakie? Może właśnie te, które zmiażdżyłaś swoim ciałem?!

Nata rozejrzała się dokoła. Rzeczywiście, cokolwiek tam rosło, zniknęło. A przynajmniej straciło kształt i kolor.

– Nie, o tym nic nie wiem – oświadczyła zdecydowanie dziewczyna. – Na ogół wracam po winorośli, ale kratki na płocie są zbyt daleko od domu, a dziś pada, więc wyjątkowo postanowiłam pójść na skróty. I gdybyś na mnie nie napadła, bratki cieszyłyby się dobrym zdrowiem, życiem czy co tam kwiaty mają.

– Hm... – Nata nie była przekonana co do prawdziwości słów siostry.

Zza muru dobiegł właśnie szmer nadjeżdżającego pojazdu – tak przynajmniej sądziła, bo silnik pracował cicho – a chwilę później obie usłyszały ciężkie sapanie kogoś wspinającego się po płocie.

– Co... – zaczęła mówić przestraszona Natka, ale starsza siostra zacisnęła jej dłoń na ustach, syknęła coś absolutnie niezrozumiałego, pociągnęła za sobą w krzaki i zmusiła do przyjęcia pozycji niewygodnej, ale jej zdaniem uniemożliwiającej wykrycie. Zgarbiona jak do pokłonu Natka klęczała więc w błocie i jedyne, co widziała przed sobą, to tyłek pochylonej Naty oraz łopatę.

– Masz coś w torebce? – zapytała, odwracając się w kierunku młodszej o kilka lat siostry.

– To znaczy co? – odszepnęła Natka.

– Paralizator?

– Zwariowałaś? Po co mi paralizator?! – wysyczała dziewczyna. – Na randce byłam!

– Bez paralizatora? – zdziwiła się pisarka.

– Na randki nosi się prezerwatywy!

– Mężczyźni powinni nosić prezerwatywy, ty masz nosić paralizator!

– Jak miałabym liczyć na mężczyznę, to nawet seksu bym nie miała!

– To z kim ty byłaś na tej randce? – zaciekawiała się Nata.

– Z Radkiem.

– Aha. – Wszystko jasne. Radka nawet lubiły, bo był zupełnie nieszkodliwy i pozwalał sobą rządzić, ale na jego inwencję nie było co liczyć.

– Właśnie – przytaknęła zadowolona z siebie Natka, jakby fakt, że to ona musi o wszystkim myśleć w tym związku, był powodem do dumy. Obie zupełnie zapomniały o wcześniejszych odgłosach, więc w chwili, gdy ktoś nieoczekiwanie sfrunął z muru z głośnym łupnięciem, obie wrzasnęły jak oblane wrzątkiem i pognały do domu, nie oglądając się za siebie.

Wpadły do domu i zatrzasnęły za sobą drzwi, po czym wrzasnęły jeszcze raz, gdy nieoczekiwanie pojawiła się przed nimi kobieca postać w białej koszuli nocnej. Nie była to biała dama strasząca w mechlińskim dworku, lecz Natalia, prawie najstarsza z sióstr Sucharskich, bo sióstr tak dokładnie to było sztuk pięć. Najstarsza Natalia Anna miała dokładnie 37 lat, była platynową blondynką o zimnym typie urody, lodowatych



niebieskich oczach, w dodatku miała mrozącą krew w żyłach osobowość. Następna w kolejności – po prostu Natalia, która właśnie stała przed nimi, spoglądając karcąco, miała 35 lat i była przysłowiową matką Polką, wychowującą aktualnie trójkę dzieci, siostry i męża Adriana Potockiego, komisarza śremskiej policji. Nata (również Natalia), przyciskająca łopatę do serca, miała 31 lat, uwielbiała pisać, mataczyć i znęcać się nad swoim narzeczonym Marcinem Kurkiem, również komisarzem śremskiej policji, który wyłącznie własnemu opanowaniu zawdzięczał swoją wolność i niekaralność, gdyż pomysł uduszenia Naty pojawiał się w jego głowie przynajmniej raz dziennie. Nieobecna Natalia Magdalena, czyli po prostu Magda, lat 28, ciemnowłosa, długowłosa, pokryta tatuażami z henny wielbicielka mangi i karate, mieszkała aktualnie w Poznaniu wraz ze swoim długoletnim chłopakiem Jarkiem, a najmłodsza z sióstr Sucharskich, Natalia Anastazja nazywana przez wszystkich Natką – w końcu siostry noszące to samo imię i nazwisko musiały wprowadzić jakieś rozróżnienie personalne – dwudziestosześcioletnia latorośl papy Sucharskiego (świętej pamięci na jego szczęście, albowiem łopata rzeczywiście mogłaby zostać wykorzystana w niecnym celu) zdjęła okulary, jak to miała w zwyczaju za każdym razem, gdy czuła się zdeprymowana karcącym wzrokiem siostry, co pozwalało jej nie zauważać wielu nieprzyjemnych dla niej aspektów i nie rujnowało jej zdrowia emocjonalnego.

– Nie wiem, czy chcę wiedzieć, co tu się dzieje, ale jak obie się nie zamkniecie, będziecie usypiać moje kilkumiesięczne dziecko, które przypomina mi o tym, żeby więcej dzieci nie posiadać. Czy wyraziłam się jasno? – Odrzuciła kasztanowe włosy na plecy, zmierzyła je raz jeszcze wrednym spojrzeniem i poszła na górę.

– Poszła sobie? – zapytała Natka niepewnie, gdy kroki ucichły.

– Ślepa jesteś? – warknęła na nią Nata. – Załóż je, bo zaraz się zabijesz o własne nogi – poleciała z sarkazmem, widząc okulary w rękach siostry. Nikt dokładnie nie wiedział, jaką wadę wzroku ma Natka, ale bez okularów była jak kret.

– Co się dzieje? – W przedpokoju pojawiła się wspomniana wcześniej Magda.

– Co tu robisz? – zdziwiła się Natka.

– Gadam z dwiema przemoczonymi wariatkami, w tym z jedną w oczojebnym płaszczu i z łopatą. Natalia jest zbyt zmęczona, żeby

interesować się waszymi sprawami, ale ja nie. Co się dzieje? – zażądała odpowiedzi dziewczyna.

– Zaczaiłam się na bratkowego złoczyńcę, ale okazało się, że to Natka – poskarżyła się Nata.

– Wcale nie! – zaperzyła się dziewczyna. – To był mój pierwszy raz i to tylko dlatego, że Nata mnie wystraszyła! Po mnie wskoczył do ogrodu ktoś jeszcze!

– Właśnie! – Nata puknęła się w czoło. – Paralizator! Chyba mamy włamywacza!

Magda patrzyła na nie z niedowierzaniem.

– Ktoś włamał się do naszego domu, a wy dopiero teraz o tym mówicie?!

– Nie do domu, tylko do ogrodu – poprawiła ją Nata, sięgając do szuflady w korytarzu, gdzie trzymały taser. Chętnie postarałaby się o prawdziwą broń, ale Marcin obiecał jej, że osobiście ją wówczas zastrzeli, i to kilka razy, więc spasowała.

– A ja tak się wystraszyłam Natalii, że zupełnie zapomniałam o tym, że wcześniej też się wystraszyłam – wyjąkała Natka.

– W takich chwilach mam spore wątpliwości co do twojego ilorazu inteligencji – poinformowała ją Magda. Bezceremonialnie zabrała taser Nacie i oświadczyła wojowniczo: – Idę pierwsza, wy za mną!

Natka z uwielbieniem spojrzała na starszą siostrę, która nie bała się absolutnie niczego. Nata miała zgoła inne odczucia, albowiem pokazała jej plecami język.

– Gdzie to było? – Magda obejrzała się na dziewczyny. Zmrużyła gniewnie oczy, gdy przyłapała Natę na nieprzyzwoitym geście. – Zgłupiałaś? – zapytała uprzejmie.

– Tam, gdzie bratki – poinformowała ją potulnie przyłapana pisarka, udając, że nie usłyszała drugiego pytania.

– Dobra – burknęła Magda, zbiegając po schodach. Z Natą policzy się później. Włamywacz miał pierwszeństwo.

O tym, że można zadzwonić na numer alarmowy, tudzież do szwagrów policjantów, bo poza Adrianem i Marcinem, miały jeszcze jednego glineę w rodzinie – męża Anny, Mariana Jagleckiego, żadna z nich nawet nie pomyślała. Wszystkie sprawy rozwiązywały samodzielnie i wbrew wszelkim dobrym męskim radom.

– Słyszysz coś? – zapytał ciemnowłosy mężczyzna ze skroniami przyprószonymi siwizną.

– Nic a nic. Facet wszedł tam dobre dziesięć minut temu. Przysięgłbym, że to miało być dziś. Powiedziałem jej, że mam nocną zmianę. Nie wierzę, że nie wykorzystała okazji. – Blondyn nie krył zdziwienia.

– Pada. Nawet Nata nie jest tak zajadła, żeby moknąć w taką pogodę.

– Czy ty słyszysz sam siebie? Nata nie jest zajadła?! Czy my mówimy o jednej z sióstr Sucharskich?!

– No dobra – przyznał mu rację. – W takim razie nie wiem, co jest grane. Marek! – zawołał przez płot. – Widzisz coś?

– Nie! – Mężczyzna, który wcześniej wystraszył dziewczyny, podniósł lekko głos, żeby koledzy mogli go lepiej słyszeć. – Nikogo tu nie ma! Mam wracać?

– Ma wracać? – zapytał ciemnowłosy.

– Skąd mam wiedzieć? – zirytował się blondyn.

– A kto ma wiedzieć?! W końcu to był twój pomysł!

– Racja – przyznał. Spojrzał na wyciszony telefon, który rozświetlił ciemność. Przeczytał wiadomość. – Musimy spadać – powiedział do kolegi. – Zostań jeszcze chwilę! Może pokręć się bliżej domu! – krzyknął do mężczyzny, który kilka minut wcześniej przeskoczył płot.

– Niech wam będzie – zgodził się wynajęty do małej robótki Marek, naciągając mocno kominiarkę, by zakryć twarz.

– Tam jest! – syknęła podekscytowana Magda, starannie wymierzając do włamywacza z tasera.

Ładunek elektryczny powalił go w kilka sekund, nie dając szans nawet na cichy okrzyk. Po chwili wszystkie trzy stały nad nieprzytomnym mężczyzną.

– Co z nim zrobimy? – zapytała lękliwie Natka. Ze wszystkich sióstr była najmniej zadziorna i wojownicza, ale podatna na wpływy, więc chcąc nie chcąc, wiedziała, że będzie współuczestniczką wszystkiego, co się wydarzy.

– Zakopimy go! – zdecydowała mściwie Nata, podnosząc łopatę do góry.

– Przecież żyje – sprzeciwiła się Magda.

– I co z tego?

– Co z tego? Nie możesz zakopać kogoś żywcem!

– Chcesz go dobić? – zapytała z nadzieją w głosie Nata.

– Halo! – Magda puknęła ją w głowę. – To życie, a nie fikcja. Wiem, że twoje powieści nieźle się sprzedają, ale dlatego, że dobrze piszesz te swoje kryminałki, a nie dlatego, że w rzeczywistości popełniasz te wszystkie przestępstwa!

– Dziękuję ci bardzo – rozpromieniła się Nata.

– On moknie – wtrąciła się Natka.

– My też – warknęła Magda. – Może schowajmy go na razie w garażu, a jutro zastanowimy się, co dalej.

– Czy ja wiem? Może zakopię go tak tylko trochę? Głowę zostawię nad ziemią. Odechce mu się deptać moje kwiatki!

– A może powinniśmy wezwać policję? – zasugerowała nieśmiało najmłodsza z nich.

– Niby po co? Dostanie mandat i tyle. Przeskoczył tylko przez płot. To żadne przestępstwo.

– Może za wcześnie go zdjęłam – zadumała się Magda. – Trzeba było zaczekać, aż spróbuje włamać się do domu.

– No co ty?! Przecież tam są dzieci! – zawołała zbulwersowana Nata.

– Garaż – poleciała im stanowczo Magda.

– A potem? – Natka nie była pewna, czy chce widzieć.

– Potrzymany go trochę, postraszymy i wypuścimy – zadecydowała Magda.

– Tylko tyle? – Nata nie kryła zawodu.

– A jak pójdzie na policję? – Natka zaczęła okręcać na palcach jasne włosy, które ściśle przylegały do czaszki.

– I co im powie? Że został przez nas złapany podczas próby włamania? – zakpiła Magda.

– Rusza się! – pisnęła przestraszona dziewczyna.

Magda zmniejszyła moc tasera i strzeliła ponownie do pojękującego mężczyzny.

– Już nie – oznajmiła zdecydowanie. – Łapcie za nogi. Trzeba go zaciągnąć do garażu.

– My? A ty co będziesz robić? – sprzeciwiła się Nata. Wyglądała jak laleczka, ale nadrabiała charakterkiem.

– No dobrze, my. Natka niech uważa, żeby nie rozwalił sobie głowy na podjeździe.

– Dlaczego ona ma mieć najłżejszą robotę? – ponownie sprzeciwiła się Nata.

– Rany boskie, Nata! Masz okres czy co?! Łap go za jedną nogę, ja za drugą i ciągniemy gada!

\*

– Nie mogę się do niego dodzwonić – szepnął Marcin do Adriana, kiedy wsiedli z powrotem do radiowozu.

– Przecież ma wyciszony dzwonek – przypomniał mu partner.

– Ale już powinno być po wszystkim. Minęły dwie godziny od czasu, gdy przelazł przez ten cholerny płot.

– Myślisz, że coś mu zrobiły? – zaniepokoił się Adrian.

– Nie wiem. Marek miał pokazać się Nacie, udać, że ucieka, potyka się i uderza głową. Nata pobiegłaby do domu po siostry, a on miał w tym czasie zwać, porzucając kominiarkę i plan domu z tym dodatkowym pomieszczeniem, które przypadkiem znalazłem. Stary Sucharski miał dryg do kryjówek. Dziewczyny są bystre, powinny szybko wyłapać, gdzie to jest, i kombinować, jak się tam dostać. Miałyby intrygę kryminalną do rozwiązania.

– Nie wiem, jak mnie przekonałeś, ale jak teraz ciebie słucham, to brzmi to wyjątkowo głupio – powiedział Adrian.

– Wiesz, że Nata kocha takie akcje. Są te zabawy w wykrywanie mordercy, gdzie każdy ma do odegrania swoją rolę. Ale co to za zabawa, jak wszyscy wiedzą, że trup jest fikcyjny. Nata na urodziny dostanie ode mnie prawdziwą zagadkę kryminalną – entuzjazmował się Marcin. – W skrytce umieściłem stary telefon komórkowy z jednym numerem. Mój znajomy odbierze, gdy zadzwonią, i...

– Nie chcę wiedzieć.

– Będzie udawał groźnego bandziora i...

– Naprawdę nie chcę tego wiedzieć.

– Nie to nie – obraził się Marcin.

– Nie wiem, jak mnie w to wciągnąłeś...

– Bo dowiedziałeś się o wszystkim, gdy podjechaliśmy z Markiem pod płot! To był mój pomysł! – Nie krył dumy.

– Wyjątkowo głupi. Mogły mu coś zrobić.

– Nie ma szans. Marek szybko biega, wspina się jak małpa, a ja pochowałem wszystkie tasery i paralizatory.

– Ten z korytarza również?

– Skąd?!

Przy owalnym stole w jadalni mieściło się na ogół dwanaście osób, w porywach do czternastu. Tego poranka siedziały przy nim cztery siostry Sucharskie (Anna wraz z mężem mieszkała w Poznaniu i przyjeżdżała tylko na weekendy), Adrian, Marcin i dwójka dzieci Natalii z pierwszego małżeństwa, Anielka i Przemek. Niemowlę spało sobie spokojnie na górze, a nadzorowała je elektroniczna niania, którą Natalia wszędzie nosiła. Marcin z niepokojem obserwował pogodne nastroje.

– Co tam słytać w szkole, dzieciaki? – zagadnął.

– Nie mam zielonego pojęcia – odparł zdziwiony chłopiec.

– Odpowiemy we wrześniu, wujku, jeśli nadal będziesz zainteresowany – powiedziała Anielka.

– Dlaczego dopiero we wrześniu? – zdziwił się.

– Bo mamy lipiec, wujku – poinformowała go uprzejmie Anielka, choć ton jej głosu nie pozostawiał wątpliwości, iż uważa pytanie za wyjątkowo głupie.

„Smarkuła ma dopiero jedenaście czy dwanaście lat, a już zachowuje się jak czarownica” – pomyślał zmieszany wujek Marcin.

– Tak, są wakacje – potaknął Przemek, który był tylko zdziwiony pytaniem, ale nie manifestował żadnych sarkastycznych skłonności.

– Dobrze się czujesz? – zapytała go podejrzliwie Nata.

– Tak, a co?

– Nie wiem, ale dziwnie się zachowujesz.

– Naprawdę? – Wbił wzrok w talerz, gdy wszyscy zaczęli mu się uważnie przyglądać.

– Jak nie chcesz się ze mną ożenić, to powiedz!

– Co?! – zdumiał się.

– Przecież widzę, że coś kombinujesz!

– Ale nie to!

– A co?!

– Nic!

– Powiedziałeś, że nie TO, a nie, że NIC, zatem co do jednego już mamy pewność, że COŚ kombinujesz. Teraz po prostu powiedz co i będzie po bólu – zapewniła go słodkim tonem Nata, ale lodowaty wzrok i wymierzony w niego groźnie widelec nie wróżyły dobrze.

– Adrian, pomóż – jęknął Marcin.

– Ja? – zdziwił się partner. – Myślę, że Nata bardzo dobrze sobie radzi.

– Mnie masz pomóc!

– Zgłupiałeś? Moje klejnoty rodowe jeszcze mogą się do czegoś mojej żonie przydać. Nie zamierzam ryzykować. – Adrian również martwił się o Marka, ale głównie był zły na obu mężczyzn za głupie pomysły. I na siebie, że nie podjął żadnych działań przy płocie. Siostry potrafiły nieźle manipulować i mataczyć, ale nie wierzył, że którakolwiek świadomie skrzywdziłaby człowieka, zatem Marek gdzieś na pewno był i to całkiem żywy. Pewnie obdarty ze skóry czołga się do domu.

– A co takiego Marcin zrobił, że potrzebuje pomocy? – wtrąciła się rozbawiona małżonka.

– Zdradasz mnie?! – zaatakowała narzeczonego Nata.

– Na to bym się nie odważył! – zapewnił ją uroczyście Marcin. – Ani na nic, co mogłoby ci zrobić krzywdę! – dodał szybko.

– Marcin przygotowuje jakąś niespodziankę na twoje urodziny, więc przestań go dręczyć. – Adrian postanowił interweniować wbrew sobie. I tak mu się dostanie po uszach, gdy wszystko wyjdzie na jaw.

– Nienawidzę niespodzianek – oświadczyła zdegowana Nata. – Nie mogę uwierzyć, że po takim czasie o tym nie wiesz. Ty wcale mnie nie słuchasz.

– Ależ, kochanie, słucham cię.

– Nic o mnie nie wiesz.

– Ależ, skarbie....

– Nie zadałeś sobie trudu, żeby mnie poznać.

– Ależ...

– Ja się muszę porządnie zastanowić nad tym małżeństwem – oświadczyła, podnosząc się z krzesła i rzucając mu gromiące spojrzenie, a potem stukając niebotycznie wysokimi obcasami żółtych czółenek, wyszła z jadalni.

– No to wpadłeś. – Magda odsunęła krzesło i pobrzękując postarzałymi monetami wplecionymi we włosy, podążyła za siostrą.

– Nie martw się. Nie pierwszy raz cię rzuca – pocieszyła go nieudolnie Natka i także umknęła z jadalni.

Przemek i Anielka z zaciekawieniem obserwowali rozwój sytuacji.

– Mam przerąbane – jęknął Marcin.

– Czy ja chcę wiedzieć? – zapytała Natalia, po czym, nim ktokolwiek zdążył otworzyć usta, odparła sama sobie: – Nie, im mniej wiem, tym lepiej śpię. Pogadam z Anną. Urodziny Naty za kilka dni. Musi dopilnować, żeby Marian nie poszedł na żadną głupią policyjną akcję. Wszyscy mają się stawić.

– Nieźle nam poszło. – Zadowolona z siebie Nata biegła po schodach jak sarenka. Wysokie obcasy w niczym jej nie przeszkadzały. Nie ma to jak dobrze wyprofilowany but.

– Nie wiem, czy garaż nie byłby lepszy – odezwała się niepewnie Natka, idąc za siostrami. – Z garażu nie słychać krzyków.

– Facet nie odważy się krzyczeć, bo dostanie z tego. – Magda uniosła luźną koszulę, pokazując zatknięty za pasek od spodni taser.

– Przecież to pomieszczenie jest wygłuszone. Nie wiem, po co ojcu był ten pokój pod dachem. Myślicie, że kogoś tam przetrzymywał? – zastanawiała się głośno Nata.

– Przestań, tata był kłamcą i oszustem, a nie żadnym bandziorem – zganiła ją Natka.

– Skąd wiesz, jak nie wiesz? – zapytała, nie oczekując odpowiedzi, Nata.

– Ja wcale nie wiem, czy ja chcę brać w tym udział – żaliła się Natka.

– Ja, ja, ja – przedrzeźniała ją Nata. – Co ty? Naleciałości z rosyjskiego masz?

– Kilka godzin temu pomogłam wam wciągnąć do domu nieprzytomnego faceta i musiałam mu jeszcze trzymać głowę, żeby nie poobtłukiwał się po schodach. – Nie kryła urazy.

– Przestań jęczeć – burknęła Magda, gdy stanęły przed pokrytą boazerią ścianą. – Wchodzimy.

Nacisnęła jedną z kłapek na boazerii. Cichy trzask zwiastował przesunięcie się zapadki. Magda pchnęła ścianę, która była ni mniej, ni więcej, tylko ukrytymi drzwiami. Za nimi znajdowało się kilka stopni prowadzących do ukrytego na poddaszu małego pokoiku, gdzie one z kolei ukryły kwiatkowego złoczyńcę, który nie był zwykłym wandalą. O nie! Znalezione przy nim rzeczy sugerowały, że wiedział o ich domu znacznie więcej niż powinien.

Marcin oglądał ślady na ziemi przy płocie, Adrian w tym czasie miał sprawdzić garaż i piwnicę. Marek nie dotarł do domu, zatem nadal musiał



być na terenie posiadłości. Deszcz zmył wszelkie ślady. Poza rozdeptanymi rabatkami nie zauważył kompletnie nic. Zniechęcony wracał do domu. Jeśli Adrian nic nie osiągnie, wtedy jedyne, co mu zostanie, to przyznać się Nacie do niespodzianki, i błagać o wybaczenie za głupie pomysły.

– Masz coś? – Adrian czekał na progu

– Nic. Deszcz wszystko rozmył. Gdyby go zakopały, za diabła bym się nie zorientował gdzie.

– W garażu i w piwnicy go nie ma. Czekaj, a jak on niby miał wrócić do domu? Przecież podwieźliśmy go na miejsce...

– Miał go odebrać ten mój znajomy, który miał też odebrać telefon od dziewczyn. Nikt do niego jeszcze nie dzwonił. Sprawdzalem.

– A jak mieli się kontaktować?

– Normalnie. Miał do niego zadzwonić, jak już stąd wyjdzie.

– Masz szczęście, że jesteś gliną, bo jako przestępca jesteś do niczego. Jeśli twój znajomy udawał trupa, to Nata na pewno doszczętnie ogołociła mu kieszenie, zanim poleciała po pomoc. Pewnie nadal maszeruje do domu albo coś go rozjechało po nocy – zdenerwował się Adrian.

– Dobra, koleś. – Magda wyjęła taser i wycelowwała w skulonego pod ścianą mężczyznę. – Teraz sobie pogadamy.

– I radzę nie podnosić głosu, bo i tak nikt cię nie usłyszy. – Nata ujęła się pod boki i patrzyła groźnie.

– Nie powinien się pan włamywać – powiedziała ze współczuciem Natka. – Powinien pan zmienić profesję.

– Wyjmij knebel – poleciła Magda.

– Ja? – zdumiała się Nata.

– A kto? W końcu to twój przestępca!

– Ale jej pończochy! – Wskazała na Natkę.

– Dziękuję, raczej nie będę ich już nosić.

– Na litość boską – zirytowała się ciemnowłosa dziewczyna, pochylając się i wyjmując mu z ust wciśnięte tam wcześniej pończochy Natki.

– To nieporozumienie – wycharczał mężczyzna.

– Och, jasne, włamałeś się nie do tego domu, co trzeba? – zakpiła Magda.

– Dość tego! – Nata z jadowitym uśmiechem oparła stopę na jego kroczu, wbijając w nie lekko obcas. – Zrobimy tak! Ja będę pytać, ty odpowiadasz. Wtedy moja noga zostanie tam, gdzie jest. W przeciwnym

wypadku mogę się na przykład potknąć, a wtedy zrobisz karierę w chłopięcym chórze. Rozumiemy się?

– Tak, tak! – Kiwał gorliwie głową.

– Dobra jesteś! – powiedziała z uznaniem Magda. Tego dnia nie miała na twarzy żadnego tatuażu. Im była starsza, tym mniej czasu poświęcała swoim rysunkom. Charakter jednak jej się nie zmienił.

– Pewnie, że tak. To, że wyglądam jak Barbie, nie znaczy, że Chuckie nie mógłby brać ze mnie przykładu. Kim jesteś?

– Aktorem. Nazywam się Marek Kadłubek. Uczę też...

– Aktorem? – zdziwiła się Natka.

– Nie wiedziałam, że aktorzy muszą tak dorabiać – zdziwiła się Magda.

– Kto cię nasłał? – pytała dalej Nata.

– Marcin Kurek – odpowiedział szybko, czując, jak zwiększa się nacisk szpilki na jego jądra.

– Co?! – zdumiała się.

Natka zdążyła odciągnąć ją w ostatniej chwili, nim stopa Naty na dobre pozbawiłaby życia przyszłe pokolenia pana Kadłubka.

– Po co Marcin miałby go na nas nasyłać? – zdumiała się Natka.

– Ktoś na pewno się za niego podał – uznała Magda.

– Miałem tylko udawać trupa i podrzucić tę kartkę, co mi ją zabrałyście. Nic więcej. Przysięgam!

– Czekaj, czekaj... – Magda oparła się o ścianę i spojrzała na niego czujnie. – Facet może mówić prawdę. Poza telefonem komórkowym na kartę bez numerów i tą kartką nic więcej nie miał. Chociaż wytrychy albo łom powinien mieć.

– Ale Marcin? – nie dowierzała Nata.

– Przecież mówię, że ktoś się za niego podał!

– Jak pan poznał Marcina? – zapytała Natka.

– Chodziliśmy razem do liceum. Błagam, on wszystko wam powie!

– Czyli nikt się za niego nie podał. Co on knuje? – zastanawiała się Magda.

– Miałycie znaleźć to pomieszczenie, a w nim coś miało być, ale nie wiem co – jęczał Marek. Kumpel nie mówił, że jego narzeczona to wariatka, a siostry to żadne krwi walkirie.

– Po co miałyśmy znajdować coś, co zostało znalezione dwa lata temu? – zdziwiła się Nata.

– To jakaś zabawa miała być. Zagadka kryminalna – dodał szybko, zastanawiając się, czy pomieszczenie naprawdę stłumi jego krzyki i czy zdąży wezwać pomoc, nim ta ciemnowłosa ponownie porazi go paralizatorem.

– Co tu miało być? – zapytała Natka ze współczuciem. Zdaje się, że ten cały Kadłubek był tylko ofiarą.

– Nie wiem. Nie powiedział mi. Przysięgam – zaklinał się.

– Dobra, wierzę ci. – Zniechęcona Nata oparła się o ścianę i ze skrzywioną miną spojrzała na Magdę. – Mówiłam, że nienawidzę niespodzianek.

– Faceci to kretyni – przyznała Magda.

– Puścicie mnie? – zapytał z nadzieją.

– Chyba będzie trzeba – odparła Natka, podchodząc bliżej, by go rozwiązać. Stanik Naty niezle trzymał.

– Co ty robisz?! – zdenerwowała się Nata.

– Musimy go puścić...

– Ale nie tak od razu! Kara musi być!

– Ale on nic nie zrobił...

– Ale Marcin zrobił!

– A co on ma do...

– Rany, Natka, kiedy ty się czegoś nauczysz o facetach? Marcin pewnie już go szuka. Trzeba mu dokręcić śrubę. Niech się pomartwi, to mu się odechce niespodzianek – poparła ją Magda.

– Ile ci zapłacił? – zapytała Marka Nata.

– Pięć stów – wyznał szybko.

– Chcesz zarobić dodatkowe pięć?

– Stów? – zdziwił się mężczyzna.

– Nie, pięć tysięcy.

Kadłubek osłupiał.

– Oferta wygasa za trzy sekundy – poinformowała go Nata. – Raz. Dwa.

– Co mam zrobić?

Marcin zaczął obgryzać paznokcie, czego nie robił od czasu, gdy miał trzy lata.

– A jeśli coś mu zrobiły? – Pytanie było podszyte lękiem i nadzieją, że Adrian powie coś, co rozwieje jego obawy.

– Możliwe – przyznał po chwili namysłu mężczyzna. – Jeśli zobaczyła włamującego się mężczyznę... To byłoby działanie w samoobronie.

– Byłoby, gdyby nie zakopały potem zwłok.

– Skąd wiesz, że je zakopały?

– A cóż innego mogłyby zrobić?

– Jesteś gliną. Nie histeryzuj.

– Trudno, wezmę to na siebie. Przecież nie mogę pozwolić, żeby przez moją głupotę poszła siedzieć – mówił zdesperowany Marcin.

– Pogadajmy z dziećmi. Na pewno coś wiedzą – zdecydował Adrian.

– A jak nie?

– To powiesz Nacie, że jesteś idiotą. Co prawda już o tym wie, ale w ten sposób zdobędzie pewność. – Adrian nie miał litości, ale bardziej złościł się na siebie niż na Marcina. Powinien zdusić ten pomysł w zarodku, ale wtedy był zbyt rozbawiony, żeby rozsądnie myśleć.

Kadłubek wpadł do łazienki i miotał się przez chwilę, nie wiedząc, co pierwsze: toaleta czy kran z wodą. W końcu wybrał to pierwsze. Cud, że do tej pory nie popuścił w spodnie. Dzisiejsza noc była wyjątkowo ciężka dla jego ciała i psychiki, ale czuł, że jako aktor doświadczył czegoś wyjątkowego, co wzbogaci go jako artystę. Poznał, co to prawdziwy ból i strach. W tej chwili mógłby zagrać każdego, nawet rodzącą kobietę.

– Ty to masz głowę – powiedziała z podziwem Natka.

– Tak wygląda różnica między umysłem twórczym a odtwórczym – odparła wyniośle pisarka.

W głowie ułożyła scenariusz doskonały. Anielka i Przemek już działali. To znaczy Przemek. Anielka tylko nadzorowała. Mała już doskonale wiedziała, że kiedy masz mężczyznę pod ręką, to nie należy się przemęczać. Nie po to Bóg stworzył ich silniejszymi, żeby kobiety miały się przeciążać. Wystarczy, że muszą rodzić dzieci, karmić je piersią, a potem jeszcze wysłuchiwać, że kiedyś były ładniejsze.

– Pomysł może być – przyznała łaskawie Magda z nutką zazdrości, że sama na to nie wpadła.

– Się wie – uśmiechnęła się zwycięsko Nata.

– Sprawdź, gdzie są Adrian z Marcinem – zaproponowała Natka, czując, że ona i jej pończochy są częścią czegoś większego.

– Daj znać, jak droga będzie wolna – poleciła jej Magda.

W tym momencie Kadłubek wyszedł z łazienki.

– Kasa. – Nata wręczyła mu grubą kopertę.

– Dostanę jakieś buty? – Wskazał na gołe stopy.

– Dostałeś pięć tysięcy. Kupisz sobie nowe – oświadczyła Magda. – Taksówka czeka za murem dokładnie w tym miejscu, w którym tu włąłeś. Trafisz?

– Jasne – odparł z większą pewnością siebie niż czuł. Ostatecznie drogę do domu pokonał w stanie błogiej nieświadomości, za co był teraz wdzięczny, bo bolały go nawet włosy. Domyślał się, że kobiety ciągnęły go całą drogę, łącznie ze schodami. Ostatecznie jakieś wyobrażenie topograficzne miał, da radę.

– Anielka! Przemek! Chodźcie tutaj! – Adrian machał do pasierbów z garażu, gdzie schowali się wraz z Marcinem.

Dzieci spojrzały na siebie zaskoczone, po czym powoli weszły do środka.

– Tak, tato Adrianie? – zapytała rezolutna Anielka, która podobnie jak matka miała ciemne włosy i to samo poważne spojrzenie szarych oczu.

– Czy widzieliście może coś dziwnego?

– Tylko wujka Marcina chodzącego w tę i z powrotem po kwiatkach cioci Naty.

– To nie było dziwne – zapewnił ją zmieszany Marcin. – To było...

– Ja bym twierdziła, że dziwne, bo jak celowe, to ciocia Nata może ci tego nie darować, wujku – pouczyła go dziewczynka.

– Zapomnij o wujku Marcinie – polecił jej Adrian. – Czy widziałyście, jak ciocie robiły coś dziwnego?

– A co rozumiesz pod pojęciem dziwnego, tato? – zapytał Przemek.

– To bardzo dobre pytanie, synu, zwłaszcza w tym domu – przyznał Adrian.

– Ciocia Nata chciała złapać na gorącym uczynku kogoś, kto podeptał jej kwiaty. Wiecie, czy jej się udało? – zapytał Marcin.

– Nie bardzo, bo wiemy, że to ty podeптаłeś te kwiatki, wujku – powiedziała Anielka.

– Jak to możliwe, że wszystko wiecie, a nie potraficie mi powiedzieć tego, co muszę wiedzieć?!

– Może zadajesz niewłaściwe pytania, wujku – zauważył całkiem rozsądnie Przemek.

– Nie wiem, o co ci dokładnie chodzi, wujku, ale widziałam, jak rano ciocia Nata, Magda i Natka wracały z ogrodu całe ubłocone, a ciocia Nata niosła łopatę. Była piąta rano, więc to raczej dziwne. Czy teraz możemy już iść? – zapytała zniecierpliwiona dziewczynka.

– Tak, jasne. Tylko... Skąd dokładnie wracały?

– Spod choinek, tato.

– Dzięki, dzieciaki. Kocham was.

– Jasne, tato. – Anielka komicznie przewróciła oczami.

– Pamiętaj, że my ciebie też – zapewnił go uroczyście Przemek.

Przerażony Adrian wpatrywał się w świeżo wzruszoną ziemię. Marcin jęknął głucho.

– Weź się w garść! – polecił mu Adrian. – Musimy mieć pewność.

– Wiem, wiem! – jęknął Marcin, chwytając za łopatę.

Po chwili obaj pracowali w równym tempie, odrzucając ziemię na boki, nieświadomi tego, że Anielka i Przemek właśnie wzbogacili swoje kieszonkowe o sto złotych. Od łebka.

– Zemsta jest słodka – powiedziała Nata, wdychając aromat świeżo zaparzonej kawy. Nie ma to jak własny ekspres ciśnieniowy.

– Owszem – przyznała Magda, obserwując przez lornetkę kopiących mężczyzn.

Gdyby nie byli tacy zmęczeni po nocce i zdenerwowani zaginięciem kolegi, już po kilku minutach zorientowaliby się, że Przemek tylko kilka razy wbił łopatę w ziemię, po czym zagrabił ją mocno, żeby wyglądała na wzruszoną.

– Kopią już prawie dwie godziny – zauważyła zdziwiona Natka. – Zamierzają dokopać się do Chin?

– Deszcz mocno padał, więc nawet rozkopana ziemia już by się ubiła – zauważyła Natalia, ziewając szeroko. – Mogli się nie zorientować. A ten leżący tuż przy powierzchni but... Majstersztyk.

– Och – zakłopotana się Nata. – Sorry, że Adrianowi dostaje się przy okazji za głupie pomysły Marcina. Może go zawołaj albo co?

– A niby po co? Powinien kupić te cholerne ziemniaki, gdy go poprosiłam! – Natalia zacisnęła z irytacją wargi.

**NIE TAK SOBIE CIEBIE  
WYOBRAŻAŁAM**

**Joanna Jodetka**

W oddali słycać grzmoty. Już pada.

Małeńka, przystawiona do okna latarka rzuca długi snop światła, który leniwie penetruje wnętrze pustego domu. Jasna wiązka przesuwana się powoli z przedmiotu na przedmiot. Przebija się przez ciemność, tak jakby próbowała obrysować każdy mebel z osobna. Albo chociaż go pogłaskać.

Jasny punkt przeskakuje z guzika na guzik olbrzymiej pikowanej kanapy. Ślizga się po obłym kloszu wielkiej lampy. Rysuje szlaczki na długim szklanym stole. Powoli, niespiesznie.

W nikłym świetle latarki mieszkanie wygląda tak jak uśpiona dekoracja teatralna. Czysta, sterylna, przemyślana w każdym szczególe, tak by nie mieć wątpliwości. To salon bogatych ludzi, którzy cenią sobie jakość. Nie zbierają przedmiotów, wybierają tylko te, które idealnie pasują do ich życia i sposobu bycia.

Nagle jasny strumień zastyga, zatrzymując się na półce z płytami analogowymi. Gdzieś w oddali zaczyna się wyróżniać dźwięk zwalniającego samochodu. Latarka gaśnie, wraz z odgłosem silnika uruchamiającym przesuwana bramę.

Przez chwilę salon tonie w ciemnościach. Potem raptownie, jednym kliknięciem zapala się jednocześnie kilka lamp: lśni miedziany wielki wazon, połyskuje pluszem oliwkowa kanapa, kryształki zwisające z abażuru bawią się w odbijanie światła.

Na razie jeszcze nikogo nie widać. Ale nawet zza szyby słycać miarowy, zbliżający się stukot wysokich obcasów. Szpilki wybijają coraz głośniejszy rytm. W końcu w drzwiach salonu staje wysoka, szczupła kobieta. Omiata wzrokiem pokój, jakby sprawdzała, czy krasnoludki dobrze go posprzątały. Czy wszystko jest na miejscu? Czy nikt nie pił z kubeczka? Czy nikt nie siedział na łóżeczku? Zgadza się. Ściąga z ramienia dużą torbę. Przypomina ona raczej męską, solidnie wypchaną aktówkę. Kładzie ją na stół. Rozluźnia się. Przeciąga. Zsuwa z ramion cienki, letni płaszcz. Rzuca go na oparcie krzesła. Jedyne nieład w poukładanej przestrzeni. Podchodzi do kanapy, nogą podsuwa okrągłą pufę, bierze z ławy pilota i opada na miękkie, pluszowe, pikowane siedzisko.

Od strony okna, z którego jeszcze przed chwilą padał na kanapę tylko strumień światła, widać dokładnie, jak kobieta kieruje pilota na adapter. Igła podnosi się dostojnie i opada na czarną płytę. Ta zaczyna się kręcić



i z poukrywanych gdzieś głośników płynie... czarny głos Niny Simone. Robi się miło i przyjemnie. Kobieta kładzie nogi na pufę.

Z nogi zsuwa się jedna szpilka, potem druga turla się po podłodze. Kobieta chwyta rękami głowę i mierzwi przycięte równo za uchem proste, ciemne włosy. Masuje palcami kark.

Jest elegancka, ma na sobie białą bluzkę ze sztywnym, postawionym kołnierzykiem i bordową wąską spódnicę do kolan. Ma czterdzieści lat, może trochę więcej, a może nie. Długie palce. Wymuskane paznokcie pomalowane na wiśniowy kolor. Wokół nadgarstka kręci się złota bransoletka od zegarka. Jest luźna, porusza się. Błyskają, małe brylanty wciśnięte w tarczę zamiast cyfr. Kobieta obciąga palce u nóg. Ziewa jak lew, przymyka oczy i zasypia, pocierając stopą o stopę.

Po chwili latarka znowu rzuca światło, tym razem na trawnik. Szwenda się po nim, szukając chodnika. Trafia na ten idący na tył domu. Przesuwa się pod daszkiem obiegającym dom. Krople deszczu wystukują coraz groźniejszy rytm. Wiatr zawodzi coraz głośniej. Niebo rozświecła piorun. Po chwili grzmi. Grzmot wygłusza dźwięk podjeżdżającego auta. Latarka gaśnie dopiero, gdy otwierają się drzwi do garażu. Wjeżdża drugi samochód.

Potem słychać ciężkie kroki i odgłos pęku dzwoniących kluczy rzuconych na szklany blat. Kobieta ani drgnie. W drzwiach staje mężczyzna. Nie za wysoki. Nie gruby, ale ma bardzo okrągłą twarz, pucołowate policzki i kędzierzawe, jasne włosy. Ma na sobie koszulę w kratę oraz brązową, sztruksową marynarkę. Trochę przechodzoną. Trzyma rękę za pazuchą. Podchodzi powoli do kobiety. Patrzy na nią przez chwilę. Z troską? Z miłością? Wyciąga zza poły marynarki butelkę wina. Nina śpiewa:

You Don't Know What Love Is.

Ostrożnie wyjmując kobiecie pilota z ręki. Bierze koc i próbuje ją przykryć. Ta podrywa się. Raptownie. Z krótkim, urwanym krzykiem.

– Przepraszam... nie chciałem cię przestraszyć – tłumaczy się.

– Ale przestraszyłeś – odpowiada mu, przecierając oczy. – Chyba zasnęłam na sekundę i śniło mi się, że ktoś tu chodzi.

– To ja chodziłem – wyjaśnia, odstawiając butelkę na stół. Zdejmuje płaszcz z krzesła. Maca go. Jest mokry. – Dopiero przyszłaś?

– Przecież też teraz wróciłeś?! – odpowiada mu z lekką pretensją. Patrzy. Gotowa odeprzeć atak.

Mężczyzna wzdycha. Idzie odwiesić płaszcz. Wraca.

– Coroczny przegląd amatorskich chórów młodzieżowych kończy się, uwaga... – Mężczyzna podnosi palec, jakby dawał znak całej orkiestrze. – ...jak co roku, mniej więcej o tej samej porze.

– Przepraszam cię, na śmierć zapomniałam. Przecież wiedziałam, że to dziś...

– Od piętnastu lat jesteśmy małżeństwem. Od dziewięciu jesteś szefową od wielkich inwestycji – mówi do niej, biorąc butelkę ze stołu. Pod stołem jest ukryta szuflada. Wyciąga z niej korkociąg. – Umiesz liczyć doskonale, więc policz dobrze. Ile razy zapomniałaś?

– Michał, proszę.

– Roma. Trafisz za pierwszym razem. Tylko się skup. – Wyskakuje korek. Otwiera się wino.

– Dziewięć.

– I to się liczy!

– Przepraszam cię, Misiu, nie gniewaj się... Ale... – mówi to, nie wstając z kanapy.

– Wiem... – odpowiada jej, głośno wzdychając. – Przegrywam z inwestycjami... Nie pierwszy i nie ostatni raz. Prosiłem cię tylko, żebyś nie zostawała tak długo w pracy. I nie wracała po nocach.

– Teraz chcesz mi robić wymówki. Od rana jestem... – mówi ze zmarszczonym czołem, ściśniętymi ustami, prostuje się.

– Nie wstawaj... – Kładzie jej rękę na ramieniu, popycha lekko, po czym idzie do szklanej witryny i wyciąga z niej dwa kryształowe kieliszki.

– Wiem, że domykasz inwestycję... Dobrze, że skończyłaś. Skończyłaś? Mam rację?

– Jeszcze nie. – Kobieta wzdychając, pokazuje mu wypchaną torbę. – Wzięłam papiery...

– Nie, nie teraz. Teraz toast. Mój chór zakwalifikował się dalej!

– Spróbowałyby nie – mówi kobieta. Uśmiechają się. – Poświęcasz mu tyle czasu...

– Nie poświęcam. – odpowiada, dając jej kieliszek. Siada obok na kanapie i kładzie jej nogi na swoich kolanach. – Wykorzystuję ich. Co niby miałbym robić? Uprawiać grządki albo jogging? Ciebie całymi dniami nie

ma. Nie umiem gotować. Zresztą ty nie jesz w domu. Sam tu będę siedział? Jakbyśmy mieli... – urywa i macha ręką, jakby chciał przegonić tyle razy poruszany temat.

Kobieta odwraca głowę.

– Wiesz, że nie lubię gdybania. Jeszcze chwilę – dodaje przyjaźniejszym tonem i głaszcze go po uchu. – Jutro podpisujemy umowę albo nie podpiszemy... jeszcze nie wiem, co zdecyduję. Bez znaczenia. Cała będę dla ciebie.

– Spuchły ci stopy – mówi, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– Bo od rana w tych szpilkach.

– Po co? Jesteś wysoka.

– Mówiłam ci sto razy, że muszę być od nich jeszcze wyższa. Nie tak łatwo patrzeć na dziesięciu facetów z góry.

– Ja dyryguję trzydziestoma nastolatkami. Prawie każdy wyższy ode mnie. I na płasko jadę. Poważnie.

– Pożyczę batutę – śmieje się kobieta. – Na *Harrym Potterze* wychowani, myślą, że to różdżka. Ale może u mnie też zadziała. Jutro. Najpierw to skończę. – Pokazuje na wypchaną teczkę.

– Coś się nie zgadza? – pyta zdziwiony. – Nie da się policzyć?

– Wszystko da się policzyć! Ale tu... te cyferki aż za bardzo do siebie pasują – odpowiada, mrużąc oczy.

– Sama mówiłaś, że każdy naciąga wartość firmy, kiedy chce ją sprzedać...

– Tak, ale tu któraś rubryczka może być bardzo nieprawdziwa... Nie wiem tylko która? Albo zbyt podejrzliwa jestem...

– Ktoś się wzbogaci? – pyta, uzupełniając swój kieliszek.

– I to całkiem nieźle... Albo straci jeszcze więcej. Głosy są podzielone. Ja decyduję. Bo nikt nie ma odwagi. Jak zwykle – mówi, wzruszając ramionami. – Brakuje już tylko mojego podpisu...

– Kochanie, decydujesz, bo potrafisz podjąć decyzję. Po męsku. Ja po męsku rozklejam się jak baba, gdy mam komuś odmówić. Ogłosiliśmy nabór do chóru i pewnie się popłaczę, jak kogoś odeślę.

– Misiu, ty płaczesz, jak dwóje w indeksie stawiasz – mówi z uśmiechem kobieta, wyciągając rękę po swój pusty kieliszek.

– No tak, nic w tym przyjemnego – odpowiada, nalewając wino.

– Jeszcze jeden i do pracy.

– To porozmawialiśmy – kwituje mąż z rezygnacją.

– Przypominam ci. Jutro będę cię słuchać. Będziesz mówił o wszystkim, co zechcesz. Od rana do wieczora... Obiecuję.

– Jasne... o wszystkim. To może o dzieciach.

Nina śpiewa smutno: *Brown Baby*.

– Może być nawet *brown baby*. To modne. Moglibyśmy adoptować jakieś dziecko z Azji albo Afryki. Wprowadzilibyśmy trochę koloru w nasze...

– Proszę cię, nie dzisiaj. – Kobieta przerywa mu ostro. Wstaje. – Mam jeszcze pracę.

Idzie w kierunku stołu i aktówki, gdy rozlega się dzwonek do drzwi. To dźwięk gongu. Głośny i czysty.

Małżeństwo patrzy zdziwione po sobie. Rzadko ktoś dzwoni. Pora też późna.

– Zostawiłeś bramę otwartą?

– Tak... Chyba tak... Rzeczywiście. Miałem jeszcze wyjechać, ale znalazłem wino w szafce... Nie chciało mi się ruszać. Leje już pewnie.

– Otworzę – wzdycha głośno kobieta. – I tak miałam już wstać.

Wstaje, nachyla się, bierze szpilki w rękę i znika w korytarzu.

Mężczyzna obraca nóżkę kieliszka w palcach i patrzy na wino pod światło. Przestaje nim kręcić, gdy słyszy podniesiony głos żony.

– Dzień dobry. Jest pani świadkiem Jehowy? Nie. Niemową? Nie. Może do mojego męża, tak? Z chóru? Proszę poczekać tu, w gabinecie.

Słychać otwierane i zamykane drzwi. Wzruszając ramionami, kobieta wchodzi do salonu i ze śmiechem mówi szeptem:

– Straciła głos. Po tym wnioskuje, że to do ciebie.

– Wpuściłaś ją do domu? Nie powiedziała, kim jest? – dziwi się mężczyzna.

– Wpuściłam, a co miałam zrobić? Stoi jak słup. Na dworze się rozpadało. Nie patrz tak na mnie. Dasz jej radę. Waga piórkowa. Chuda jest i wystraszona jakaś.

– Może żebraczka?

– Może tak wyglądać na pierwszy rzut oka, ale uwierz mi, to drogie ubrania. Zajmij się nią. Ja muszę jeszcze popracować – mówi, wyciągając z torby leżącej na stole plik papierów. – Gdybym cię nie znała,

pomyślałabym, że to jakaś twoja dziewczyna... Chociaż mogłaby być twoją córką...

– Co ty gadasz? – obrusza się mężczyzna. Odstawia wino i wstaje z kanapy. – A właściwie, dlaczego nie mógłbym mieć młodej kochanki? Już tak źle ze mną? Przytyłem ostatnio, ale...

– Kochanie... – Kobieta podchodzi do mężczyzny, bierze jego podbródek w palce i nakierowuje tak, by pocałował ją w policzek. – Pracuję z mężczyznami. Prawie wyłącznie. Znam ich na wylot... Znam się na tobie. Znam się na ludziach. Ty taki nie jesteś. Nie utrzymałbyś żadnej tajemnicy w tajemnicy – śmieje się.

– A ty?

– A ja to co innego – odpowiada mu, odsuwa się i odwraca. – Idź do tej panny. Zakładam się, że ma cienki głos. – Bierze kartki pod pachę, po czym z torby wyciąga etui z okularami. – Poza tym jest w twoim typie... – dodaje ze śmiechem.

– A jaki jest ten mój typ? – pyta mężczyzna, odwracając głowę. Jest już prawie w korytarzu.

– Wiadomo. Podobna do mnie – mówi kobieta, zakłada na nos okulary i rozsiada się na kanapie.

Nie trwa to długo, jakieś dwie minuty, dziesięć sekund i Nina kończy śpiewać swoją piosenkę o tym, jak dobrze się ma, jak wszystko ją cieszy w życiu.

Kobieta przebiera nogami i kiwa głową w rytm muzyki, ale nie odrywa wzroku od papierów. Mężczyzna staje w wejściu do salonu. I stoi tak długo, aż kąt oka kobiety w końcu rejestruje jego obecność. Podnosi głowę. Mężczyzna ma grobową minę.

– Stało się coś. Kto to jest?

– Ona mówi, że jest twoją córką.

Kobieta nie odpowiada, patrzy w papiery. Długo patrzy.

– Powiedziałem jej, że nie mamy dzieci... Że to pomyłka... – Głos mężczyzny drży. – Ona mówi, że to nie pomyłka.

– Powiedz jej, żeby sobie poszła – odpowiada kobieta. Głos ma spokojny, ale nie odrywa wzroku od papierów.

– Nie wygląda mi na wariatkę.

– Jak większość wariatów.

– Nie sądzę. Spytałem, czy chce jakiś pieniądze? Nie chciała.

– Każdemu, kto przyjdzie, zaoferujesz jakieś moje dobra! – Kobieta jest coraz bardziej wzburzona. – Powiedz jej, żeby sobie poszła.

– Ty jej to powiedz – mówi mężczyzna, stojąc w miejscu, i patrzy w skupieniu na żonę.

– Nie zamierzam. Idź i to załatw! Powiedz jej, że nie mamy dzieci.

– Już jej to przecież powiedziałem.

– I co?

– Odpowiedziała mi, że może ja nie mam... ale ty tak.

– Nie wierzę. – Kobieta wstaje. Łapie się za głowę i robi kilka kroków dookoła. Z powrotem opada na kanapę. – Powiedz jej, niech sobie idzie, bo inaczej wezwiemy policję.

– Nie powiem jej tego, bo tego nie zrobię! – odpowiada podniesionym głosem. – Czy ty siebie słyszysz? Czy ty słyszysz, co ja do ciebie mówię? – Wymachuje rękami. – W gabinecie jest dziewczyna, która utrzymuje, że jest twoją córką! A ty nawet nie chcesz tego wyjaśnić.

– A czy muszę?

– A czy jest twoją córką?!

– Nie! Nie muszę się z niczego tłumaczyć – mówi kobieta jakby do siebie i kręci na boki głową.

– Musisz! Pomyśl przez chwilę. Znamy się siedemnaście lat. Piętnaście lat jesteśmy małżeństwem, a ty mi mówisz, że nie musisz się tłumaczyć z tego, że masz dziecko?! O którym nic nie wiedziałem...

Kobieta podrywa się z kanapy.

– Sama jej to powiem!

– O nie! – zatrzymuje ją. – Ja też chcę posłuchać! Chcę to wyjaśnić. Chcę wiedzieć, czy jestem skończonym kretynek? Idiotą? Chcę wiedzieć, kim ty właściwie jesteś?

– Zostaw mnie! – krzyczy kobieta.

Wstała i została zatrzymana przez męża w pół kroku.

– Puszczaj!

– Boże, to prawda! – krzyczy mężczyzna, trzymając kobietę za ramiona.

– Nie wierzę, to prawda! Jeszcze się łudzę... ale to prawda!

Ma ją na wyciągnięcie ramion. Próbuje patrzeć jej w oczy. Kobieta wyrывa się. Przez chwilę się szarpia. Przestają, gdy w drzwiach staje dziewczyna.

Wpatrują się w siebie nawzajem. Ona patrzy na nich, oni na nią. Z głośników dobiega błagalne zawołanie Niny Simone, jej piękne wyznanie miłości, miłości bezwarunkowej i bezgranicznej.

\*

Dziewczyna nie ma jeszcze dwudziestu lat. Jest stosunkowo niska. Ma cienkie, różowe dredy. Część spięta w wysoki czub, część spływa po ramionach. Ma wiele kolczyków. Większość w uszach. Niektóre w brwiach, jakiś w nosie. Kolorowe ubranie w egzotyczne wzory. Kalosze i płaszcz przeciwdeszczowy, też wzorzyste. Trzeba się przyjrzeć i bardzo postarać, żeby dostrzec podobieństwo do starszej kobiety. Ale jakieś jest. Mają podobne policzki. Podobny nos. Podobny wystający podbródek. Podobne oczy.

Młoda podobnie patrzy. Z wyższością. Z ciekawością.

– Nie wiedziałam, że jesteśmy takie identyczne – mówi dziewczyna kpiącym głosem.

Gdy mówi, trochę zmienia się układ dolnej partii jej twarzy. Ma węższe usta, odsłaniają dziąsła.

Małżeństwo przestaje się trzymać w szachu. Opuszczają ręce. Wpatrują się w dziewczynę. Każde z nich jest ciekawe. Próbuje to wszystko dostrzec, z trudnością wysilając się, tak jakby w obwieszanej na bogato choince usiłować zobaczyć surowe drzewo z lasu.

Dziewczyna rozsuwa zamek w płaszczu przeciwdeszczowym. Płaszcz jest pochłapany błotem.

– Daleka droga na te wasze przedmieścia. Nikt autobusem tu nie jeździ? – pyta i nie czeka na odpowiedź. Rzuca płaszcz na krzesło przy stole. Rzuca go bardziej nonszalancko niż powinna. Płaszcz spada na podłogę. Waha się, czy go podnieść. Pociąga głośno nosem, drapie się po głowie. W końcu zostawia go na ziemi. Sama się prostuje. Wciąga powietrze głęboko i głośno. – Nie spodziewałam się, że aż tak bardzo nie będziesz chciała mnie widzieć – cedzi słowa. – Wiedziałam, że nie chcesz, ale że aż tak bardzo... mamó! – mówiąc to, ściąga kalosze. – Przemokłam. Zdejmę, żeby się nie przeziębić. Dobrze? – oświadcza wyzywającym tonem.

– Jak masz na imię? – pyta kobieta.

– Weronika – przedstawia się.

Podchodzi, zostawiając za sobą mokre ślady stóp. Wyciąga rękę. Mężczyzna wyciąga swoją, uśmiecha się przyjaźnie, witają się. Kobieta nie

podaje rękę, odsuwa się krok do tyłu. Dziewczyna krzywi się.

– Nie podoba ci się moje imię? – pyta. – Wiem, że nie ty wybierałaś. To na cześć babci. Nie twojej... – Dostrzega talerz z owocami na stole. Bierze kiść winogron i zjada jedno grono za drugim. – I nie mojej, jak się okazało... Ty masz na imię Roma. Jakbyś mnie nazwała, gdybyś to ty wybierała? Niech zgadnę... Paris?

– Weroniko – po chwili odzywa się kobieta, przełykając ślinę. – Mówisz, że nie chciałam cię widzieć. Posłuchaj mnie uważnie... – Podkreśla teraz każde słowo długimi przerwami. – Teraz... też... nie... chcę.

Dziewczyna zachwiała się. Nieprzełknięte grono utkwilo jej pod policzkiem. Wyciąga rękę do tyłu, szukając stołu albo krzesła, żeby się oprzeć. Znajduje. Przytrzymuje się. Oddycha głęboko. Przełyka grono. Puszczą krzesło. Zaciska pięści. Usta ma już zaciśnięte.

Kobieta odsuwa się jeszcze o dwa kroki do tyłu. Mężczyzna stoi i patrzy oniemiały. To na jedną, to na drugą.

– Dobra jesteś. Drugi raz mnie zamurowało – odzywa się po chwili dziewczyna. – Pierwszy raz jak cię zobaczyłam, nie mogłam z siebie wydobyć głosu. A to mi się rzadko zdarza. Pewnie dlatego, że od miesiący wyobrażałam sobie, co powiem, kiedy cię zobaczę. Miałam kilka pomysłów. Tylko zaczęłam się bać, że się rozpłaczę. A teraz... wiesz, co myślę?! – krzyczy. – Że nie tylko jesteś wyrodną matką, ale i wredną babą. Na pewno nie będę płakać.

– To dobrze. Weszłaś tutaj, więc wiesz też, jak stąd wyjść! – mówi kobieta drżącym głosem i dodatkowo wskazuje drzwi wyciągniętym palcem.

Dziewczyna się nie rusza. Drży jej zuchwa, ale ona sama się nie rusza. Po chwili kiwa głową, patrząc z wyższością i pobłażaniem. Bierze kolejne owoce z tacy, jakby się zastanawiała, czy je jeść czy nie. Ogląda je i odkłada.

– Jeśli nie pójdziesz, to wezwę policję. Nie znasz mnie, ale wiesz, że to zrobię – wyjaśnia spokojnym, rzeczowym tonem.

– Nie. Nie! Żartujesz chyba! – krzyczy mąż, który jakby się obudził z odrętwienia. W kółko chwyta się za głowę i puszcza ją, wymachując rękami. – Boże! To ja cię wcale nie znam! Nie znam cię ani trochę. W ogóle! Ani trochę!



– Proszę, uspokój się. Dobrze? Jeśli ty nie chcesz wyjść, to ja wyjdę! – mówi kobieta. Zamierza iść w kierunku drzwi, szerokim łukiem obchodząc stół, jakby chciała przejść jak najdalej od dziewczyny.

– Nie, nikt stąd nie pójdzie! – krzyczy mąż, zagradzając jej drogę. – Nie wierzę w to, co się tutaj dzieje! Nie wierzę... – mówi już ciszej. – Myślałem, że to jakaś pomyłka. Upiorna, ale pomyłka! Jezu, dalej chcę tak myśleć. Chcę! Że to mi się przyśniło. Że mnie tu nie ma. Że mi się to śni. Koszmar! Nie mów tylko, że mam się uspokoić. To twoja córka?! – zwraca się do żony.

– To bez znaczenia – odpowiada mu po dłuższej chwili.

Widzi, że go nie minie. Rezygnuje i siada przy stole. Opiera łokcie o blat, chowa twarz w dłoniach.

– Co ty bredzisz?! Jak bez znaczenia? Stoi tu ta dziewczyna. Mówi, że jest twoja, a ty mówisz, że to bez znaczenia. Uszczypnij mnie! Staraliśmy się o dziecko przez parę lat. Myślałem, że nie możesz... Miałaś zawsze taką smutną minę, gdy chciałem o tym mówić. Do teraz myślałem, że smutną. Teraz to nie wiem, jaką minę miałaś! Boże! Ja cię pocieszałem! Myślałem, że się obwiniasz. Przecież tak chcieliśmy. – Mąż wstaje od stołu. Zaczyna chodzić w kółko. – Jaki ja byłem głupi! Dojeżdżałem na twoje konferencje, jak były te dni... – mówi, bacznie patrząc na kobietę. Ta opuszcza głowę, odwraca wzrok. – Spójrz na mnie! – rozkazuje jej. – Staraliśmy się czy... tylko ja się starałem... Powiedz mi prawdę. Powiedz! No, powiedz!

Zalega cisza.

Słychać, jak Nina śpiewa. Jakże słowa piosenki *My Baby* wpisują się w tę sytuację.

– Myślałem, że cię znam. Myślałem, że jesteś twarda. Nie pozwalasz sobie na słabość, bo taką masz pracę. A ty jesteś po prostu bez serca! Jakaś chora królowa lodu! – mówi mężczyzna i kręci głową z niedowierzaniem.

Idzie do stołu i siada na drugim końcu. Głowa opada mu na blat. Zakrywa ją jeszcze rękami, jakby nie chciał już nic więcej słyszeć. Nic więcej widzieć.

– Zadowolona jesteś? – kobieta pyta dziewczynę. – Po to tu przysłaś? Próbuje budować to życie od tak dawna...

– Trzeba było mnie nie rodzić!

– Rzeczywiście. Mogłam cię usunąć, a tego nie zrobiłam – wyjaśnia, patrząc wprost na nią.

– Też mi wyczyn! – wrzeszczy dziewczyna głośno. – Też mogłam przyjść i cię zabić, jak spałaś, ale tego nie zrobiłam. Chcesz mi podziękować?! Mam broń w torebce. Mogę ci pokazać – mówi, ale niczego nie pokazuje.

Mężczyzna rozgląda się wokół siebie. Jakby czegoś szukał, tylko sam nie wie czego.

– Mam dosyć tych brudów! Nie, nie, nie, nie, nie! To nie brudy, to jest jakaś kloaka! – Wychodzi z salonu. – Bagno! Szambo – mruczy pod nosem.

Kobieta długo patrzy na dziewczynę. Splata ręce na klatce piersiowej, jakby już spokojnie czekała na rozwój sytuacji.

– Powiedz mi, po co naprawdę przyszłaś? – pyta.

– Chcę się dowiedzieć, jak to jest...

– Co?

– Jak to jest oddać dziecko... – mówi, rozglądając się po mieszkaniu. – Na czym ci najbardziej zależało? Na karierze? Na pieniądzach? Na wygodzie? Na wszystkim naraz? Powiedz mi. Nie umiałaś.

Ta nie odpowiada dziewczynie. Płyta się zacina.

Kobieta podchodzi do adapteru i podnosi igłę. Zalega cisza.

– Wybrałam ci dobrą i zamożną rodzinę – mówi kobieta po chwili, znowu siadając na kanapie.

– Wybierałaś? Nie wiedziałam. Ale masz rację. Poczciwi. Niepodobni do mnie, ale poczciwi. Z jedną wadą może... Nie okazali się długowieczni. Matkę pochowałam niedawno. Zostałam sierotą.

– Przykro mi – odpowiada kobieta. – Dlatego przyszłaś?

– Żeby zapełnić pustkę? Nie. Chciałam sprawdzić, gdzie to jabłko pada od jabłoni – mówi, bierze z tacy jabłko i gryzie głośno. – A ty nie chciałaś mnie poznać? – pyta po chwili.

– Nie.

– Nigdy?

– Nie. Chciałam o tobie zapomnieć – odpowiada jej spokojnym głosem.

– Wiesz co? Dobrze się tak wszystkiego o tobie dowiedzieć.

– Wszystkiego się nie dowiesz.

– Tyle mi wystarczy – prychna dziewczyna gniewnie.

– Mam nadzieję.

– Wiesz co? Niepotrzebnie cię znalazłam.

– Niepotrzebnie.

– Lepiej chyba jak sobie rzeczywiście pójdę? – mówi dziewczyna coraz bardziej bezsilnym, załamany głosem. – I tak mi się nie przydasz. Wiesz co... – Podnosi płaszcz przeciwdeszczowy z podłogi. – Psa bym ci pod opieką nie zostawiła. Nie znam gorszej matki...

– Możesz mnie znienawidzić. Tak będzie najlepiej. Zapewniam cię.

– Już cię nienawidzę! – syczy przez zęby dziewczyna, kierując się do wyjścia z salonu.

Kobieta odwraca wzrok. Dziewczyna znika w korytarzu.

Kobieta wstaje, jakby chciała iść za nią, ale tylko rozgląda się wokół siebie i patrzy tępy wzrokiem. Natrafia na pilota, bierze go do ręki. Jak głupia. Jakby chciała cofnąć czas. Nie wie, co z nim zrobić. W końcu kieruje go na adapter. Igła wolno się podnosi. Trzaskają głośno drzwi. Kobiecie uginają się nogi, w końcu klęka na podłogę, gdy Nina Simone znowu śpiewa rozdzierającym płaczliwym tonem. To wielka prośba o zrozumienie...

Kobieta rękami opiera się o podłogę. Wygląda jak kot. Głowę chowa w ramionach.

Do salonu wchodzi mężczyzna. Patrzy na nią. Ma rozłożone na boki ręce.

– Czy teraz możesz mi wyjaśnić, o co tu chodzi?

– Nic ci nie będę teraz wyjaśniać – odpowiada mu żona i powoli podnosi się z kolan. Wstaje. – Nie teraz.

– A kiedy? Kiedy nasze małżeństwo się skończy? Wtedy?! – pyta i zostaje bez odpowiedzi.

Słychać otwierające się drzwi wejściowe i tupot kaloszy. W drzwiach ponownie staje dziewczyna. Ma zaciętą minę.

– Muszę ci jeszcze to powiedzieć! – krzyczy, wyciągając palec wskazujący w kierunku kobiety. – Ojciec miał rację. Jesteś najbardziej twardą suką, jaką zna!

Kobiecie z gardła wrywa się okrzyk. Zakrywa rękami usta. Opada na kanapę.

– Który ojciec... – pyta po dłuższej chwili kobieta.

– Właśnie ten, który ciebie zna – mówi dziewczyna z satysfakcją w głosie. Jest zadowolona z efektu. – Mówił, że bym tu nie szła. Jednak dobrze cię zna.

Kobieta zaczyna się zachowywać jak zwierzę we wnykach. Stoi w miejscu, jakby miała zamurowane nogi, ale szarpie się cała, wygina, trzęsie, gnie. W końcu zastyga i patrzy na swoje łydki. Ciekną po nich strużki. Zsikala się.

Plama na podłodze robi się coraz większa.

Po chwili mąż podchodzi do żony. Ona prawie upada. Przytrzymuje ją ramieniem.

– O co tu chodzi? – pyta siebie. – Chodź – mówi do niej. – Musisz iść do łazienki. Chodź – powtarza łagodnie. – Już dobrze. Powoli. Chodźmy. Umyjesz się. Pójdziemy. Powoli. Spokojnie – mówi i kobieta zaczyna się przesuwać, stawiając pojedyncze kroki. Jeden mały za drugim. Idą. Znikają w korytarzu.

Dziewczyna nerwowo rozgląda się wokół siebie. Zaczyna obgryzać paznokcie. Potem wyciąga telefon z kieszeni. Patrzy na ekran. Trzyma palec w górze, jakby chciała coś wystukać, ale rezygnuje i wkłada go do ust. Znowu zaczyna obgryzać paznokieć.

Z palcem w ustach zaczyna kręcić się w kółko po salonie. Na stole widzi serwetnik. Bierze garść serwetek i rzuca na podłogę tam, gdzie plama z moczu. Z lekkim obrzydzeniem przesuwa czubkiem buta nasiąkające serwetki.

Do salonu wchodzi mąż.

– Dałem jej tabletkę uspokajającą. Za chwilę powinna podziałać. – Patrzy na podłogę. Potem na dziewczynę. – Skąd wiedziałaś, że ona spała, zanim ty przyszłaś?

– Przecież kiedyś śpi – odpowiada mu, wzruszając ramionami.

– Śledziłaś nas?

– Bez przesady, nie jestem szpiegiem – oburza się. – Patrzyłam przez okno, jak wygląda i... Jak sobie ona mieszka... Tyle.

– Nie wiem, co tu się stało? Naprawdę nie wiem. Próbuję zrozumieć. Może trzeba czasu. Nie wiem. Nie zrozum mnie źle. Chcę cię poznać, ona też myślę, że chce... – mówi i drapie się po głowie. – Zostaw numer telefonu. Może na dziś już wystarczy. Spotkajmy się. Ja nie wiem... To musi chyba odczekać. Nie wiem, dzień, dwa... tydzień – tłumaczy się.

– Jasne. Mogę chyba poczekać... Minęło prawie dwadzieścia lat, mogą minąć dwa dni.

– Potrzebujesz jakichś pieniędzy?

– Akurat ja pieniędzy nie potrzebuję. Dobrze, pójdę sobie. Dziś już chyba nie pogadamy. Uciekła mi – mówi to i idzie do wyjścia.

Drogę zagradza jej pojawiająca się w korytarzu kobieta, przebrana w szare dresy. Jest trochę spięta i skulona. Ma opuszczone ramiona. Wygląda bezbronne. Bez opiętej spódnicy. Bez sztywno stojącego kołnierzyka białej koszuli.

– Usiądź – mówi do dziewczyny.

– Postoję – ta odpowiada jej hardo.

– Nie! Usiądź. Przyszłaś po wiedzę, to ją dostaniesz. Usiądź, mówię ci – mówi cicho, ale ton jest rozkazujący.

– Ojciec mnie ostrzegał, że będziesz chciała mówić o nim złe rzeczy. Mówił, że będziesz chciała się usprawiedliwiać za to, że mnie oddałaś i nic mu o mnie nie powiedziałaś, i...

– Jak go znalazłaś?

– On mnie znalazł.

– Siadaj więc! – krzyknęła i popchnęła ją w kierunku kanapy, tak że ta prawie na nią się przewróciła.

Kobieta stanęła nad nią. Podeszła bliżej.

– Wiesz co? Lata terapii nic nie dały, musiałam sama sobie poradzić z tym wszystkim. Zobacz – Zbliżyła rękę do twarzy dziewczyny. Ta odruchowo cofnęła głowę. – Nie bój się. Znajduję tylko jedną różnicę. Nie będę szukać dziesięciu.

Dziewczyna zastygła. Kobieta odgarnęła jej włosy znad czoła i przytrzymała.

– Nie musisz iść do lusterka, żeby wiedzieć, że masz czoło w kształcie serca. Tak to się nazywa. Wcinający się ząbek włosów w sam środek czoła i lekkie zakola dookoła po obu stronach. Spójrz na moją linię włosów, tu u nasady. Prosta kreska jak od linijki. Jak u wszystkich w mojej rodzinie. A wiesz, gdzie ostatnio widziałam takie czoło, jak u ciebie?... – pyta kobieta, podnosząc coraz bardziej głos i coraz mocniej dociskając głowę dziewczyny. – Było tuż nad moją głową. Kiwało się nad nią wte i wewte. Wte i wewte. Wte i wewte! Z tego czoła spadały na mnie lepkie krople potu. Na nos! Na policzki! Na zaciśnięte zęby! Gdzie? W samochodzie. Kiedy? Wtedy jak mnie gwałcił...

– Roma! – krzyczy mąż, patrząc na żonę i na przerażoną dziewczynę.

– Wtedy, gdy połamał mi cztery zębra. Wsadził...

– Roma! – krzyczy ponownie mąż. Podbiega do żony. Chwyta ją od tyłu, obejmując ramionami. Unieruchamia jej ręce.

– Jak się urodziłaś, miałaś włosy. Długie, czarne. Identyczne. W ząbek taki nad oczami. Pielęgniarka powiedziała, ale twarz, jak serduszko. A ja widziałam tylko tę spoconą... ociekającą głowę...

– Roma! Dość! – krzyczy mąż i odciąga ją od dziewczyny. Ta jak przerażone małe stworzenie podciąga nogi pod brodę i kuli się, zaciskając ręce na kolanach. – Boże! Roma! Dałem ci tę tabletkę... może z alkoholem to tak...

– Chcesz powiedzieć, że kłamię! – krzyczy kobieta, która próbuje wywinąć się z uścisku. – Już słyszałam, że kłamię! Od matki! Od niego! Zatkaną mi usta! Teraz nie zatka!

– Wiem. Wierzę ci! We wszystko ci wierzę. Ale może nie teraz, nie tak... Nie tak! Proszę cię. Nie tak.

– A jak?! – krzyczy kobieta. – On tu znowu jest! Zmieniłam miasto! Zmieniłam nazwisko! Zostawiłam rodzinę... Znalazł mnie! Terapia! Warsztaty! To nie twoja wina! To nie twoja wina! Powtarzali: „To nie twoja wina”. Nie wina... – krzyczy coraz ciszej. Coraz bardziej zgina się wzdłuż, zwisając z trzymających ją rąk jak z obręczy. – Przecież wiem, że to nie moja wina. I co z tego?! Nauczyłam się z tym żyć! Nauczyłam! Słyszysz? Nauczyłam. Rządzą mężczyźni. Żyję z nimi jak w klatce z groźnymi zwierzętami. Jestem ich treserem. Mam pejcz. Czujna jestem! Panuję, bo spodziewam się ataku. Wiem, że mogą zaatakować. Trzymam ich! Wiem to! Wiem to! – powtarza w kółko. – To nie moja wina!

W końcu mąż nie może już jej utrzymać. Kładzie ją na podłodze. Ona zwija się w kłębek. Sam też kłęka obok niej. Gładzi ją. Ona pojękuje cicho.

– Nie wiedziałem. Przepraszam cię. Nie wiedziałem – mówi ciągle.

Chwilę to trwa, nim dziewczyna wstaje.

– To nieprawda – mówi z zaciśniętymi pięściami. – Nie chcę już tego słuchać... To wszystko nieprawda! – krzyczy.

– Nie chciałam ci mówić. Nie chciałam sprawdzać, czy przestanę go na tobie widzieć? Czy zniknie z twojej twarzy? Czyja połowa będzie większa... – jęczy kobieta.

– Roma, spokojnie... – mówi mąż.

– Nie chciałam jej mówić. Rozumiesz? – Pokiwał głową. – Nie chciałam! Dlatego jej nie chciałam... – Przytula ją. Kobieta chowa twarz

w jego koszuli.

Dziewczyna obgryza paznokcie jednej ręki. W drugiej kurczowo trzyma telefon. Patrzy na wyświetlacz.

– Michał, on tu przyjdzie! – mówi kobieta do męża. – On wie, gdzie ja mieszkam. Wie!

– Nie bój się! Nie jesteś sama.

– Nie znasz go! To wyrachowany skurwiel. Boże! On po coś to zrobił!

Kobieta podrywa się. Podbiega do dziewczyny.

– Po co on cię tu przysłał? Po co?

Patrzy na nią i telefon w jej rękę. Wyszarpuje aparat z dłoni.

– Nie ruszaj się! – krzyczy do dziewczyny, która próbuje jej go odebrać.

– Przytrzymaj ją! – rozkazuje mężowi. Ten wkracza między nie. – Ty cały czas do niego piszesz! – krzyczy, patrząc w osłupieniu na wyświetlacz.

Dziewczyna siada na kanapę.

– „Już wie? Powiedziałaś jej? I jak?” – kobieta czyta z telefonu. – „Nie wierz jej, pamiętaj, po co tam jesteś”. Po co? – pyta się, patrząc jej w oczy.

– Miałam zajrzeć do jakichś papierów.

– Jakich papierów?

– Jakichś. Sprawdzić, czy jest podpis. Ale wszystko się tu popieprzyło.

– Dziewczyna załamuje ręce. – Ja już nie wiem, komu mam wierzyć – mówi płaczliwym tonem. – Zostawcie mnie w spokoju – mówi bez sensu, siedząc na kanapie. – Ja już pójdę. – Wstaje nagle. – Muszę już iść.

– Poczekaj – mówi kobieta. – Nie spotykaj się z nim. Proszę cię.

– Muszę.

– Proszę cię. To zły człowiek.

– Tym bardziej.

– Co tym bardziej?

– Tym bardziej muszę się z nim spotkać, i to zaraz.

– Dlaczego musisz? – Kobieta podchodzi do niej. Chwyta za ramiona.

Potrząsa nią. – Powiedz mi, dlaczego musisz?! Co on ci zrobił?

– Mnie nic.

– A komu?

– Moja córka jest z nim. Musiałam ją przecież z kimś zostawić. Z dziadkiem pomyślałam...

– Słucham?!

– Jesteś babcią. I wiesz co... Ona ma proste czoło. Nie moje! Może ci będzie pasowało? – mówi dziewczyna. Chwyta się za głowę i zaczyna płakać.

Kobieta puszcza ją i opada na kanapę obok. Przez chwilę nikt nic nie mówi. Dziewczyna kwili cicho.

– Kto jest ojcem? – pyta kobieta, mówiąc wolno i głęboko przy tym oddychając.

– Kolega z roku. Ale zrobił przerwę i pojechał do Indii na jogę – wyjaśnia beztrąsko dziewczyna, pociągając nosem. – Też chciałam pojechać do niego, myślałam, że zostawię ją tu na chwilę... Ty zostawiłaś...

Raptem rozbrzmiewa dzwonek telefonu. Kobieta podnosi telefon, patrzy na wyświetlacz.

– To on – mówi, przelękając ślinę. Dziewczyna wyciąga rękę. Kobieta powstrzymuje ją gestem. – To nie do ciebie. Jestem pewna. Ja to załatwię.

– Na pewno dasz radę? – pyta mąż.

– Tak – odpowiada mu i odbiera telefon. – To ja... Mów od razu, czego chcesz... Tak... Bez kurtuazji i powitań... Tak, domyśliłam się. Pod nazwą firmy wiele można ukryć... Nie tłumacz – mówi po dłuższej chwili. – Wiem, co możesz... Wiem, co mam zrobić... Za chwilę. Pod domem – kończy. Bierze teczkę. Otwiera, wyciąga papiery.

– Mam iść po małą. – Dziewczyna podrywa się. – Przyniosę ją...

– Poczekaj chwilę – mówi kobieta, wyciąga długopis i zaczyna podpisywać kartkę po kartce. – Idź z nią – prosi męża, równając papiery. – Musisz wziąć to – mówi do niego ciszej. – Inaczej gdzieś ją wywiezie za granicę. Odda komukolwiek. Nie blefuje. Może to zrobić. Wiedział, że tylko mojego podpisu na tym brakuje. Teraz go ma.

– Wiesz, co możesz stracić? – pyta cicho mąż.

– Pracę. Ale zdaje się, że będę potrzebować dużo wolnego czasu.

Mężczyzna podchodzi do dziewczyny, już ubranej w płaszcz przeciwdeszczowy.

Chodźmy – mówi.

I wychodzą.

Kobieta zostaje sama w pokoju. Rozgląda się. Jej wzrok trafia na pilota. Po chwili igła adapteru ląduje w połowie czarnej płyty.

Nina Simone śpiewa:



*Ain't Got No (I Got Life).*

Za oknem rozlega się krzyk dziewczyny. Potem strzał. Wpada roztrzęsiony mąż.

- Zaatakował! Zabiła go! Dzwonię po policję!
- Nigdzie nie dzwoń... A jednak się w niego wdała. A może we mnie?

# **SZNURÓWKI**

**Wojciech Chmielarz**

## 1.

Jest ich trzech. Pierwszy leży na ziemi. Drugi chowa twarz w dłoniach, jego ramiona unoszą się spazmatycznie i opadają, jakby płakał. Trzeci stoi nad pierwszym z zakrwawioną łyżką do butów. Ten ostatni jest najstarszy. Ubrany w płócienne spodnie i granatowy sweter, spod którego wystaje kołnierzyk błękitnej koszuli. Ma pociągłą, poszarzałą twarz, pokrytą siatką zmarszczek. Głęboko osadzone oczy dodatkowo ukrywają się pod krzaczastymi siwymi brwiami. Teraz można w nich dojrzeć złośliwą satysfakcję. Na czole rośnie mu guz. Póki co jest niewielki, bo świeży. Mężczyzna porusza dłonią, w której trzyma łyżkę do butów. To nie żaden plastikowy badziew. Przedmiot wykonany jest z lśniącego, dość grubego metalu o łagodnych krawędziach. Łyżka jest bardzo długa, tak żeby nie trzeba się było schylać przy wkładaniu butów. Solidna. Przyjemnie czuć jej ciężar w dłoni. Mężczyzna wygląda tak, jakby się zastanawiał nad tym, czy nie uderzyć po raz kolejny.

Ten drugi to ochroniarz. Szpakowaty, w czarnym mundurze z logo firmy ochroniarskiej, który wypełnia sporej wielkości brzuszki. Zwracają uwagę jego buty. Muszą mieć co najmniej pięć lat. Mocno zniszczone i zaniedbane. Skóra jest popękana i przemoczona. Palce ma pożółkłe od wypalonych papierosów.

Ten trzeci jest najmłodszy. Leży na podłodze wśród rozwalonych pudeł z butami. Obok niego eleganckie pantofle, wizytowe półbuty, wysokie kozaki, sportowe obuwie do biegania, potężne trapery na zimę i do górskich wędrówek. Ma na sobie kurtkę. Jest rozpięta, odsłania kryjący się pod nią granatowy garnitur. Jedna z kieszeni została urwana. Zwisa teraz smętnie długim płatem. Marynarka pod spodem, podobnie jak spodnie, jest cała brudna. Plamy błota ciągną się od ramienia, poprzez klapę i całą lewą nogawkę. Mężczyzna ma zamknięte oczy. Usta lekko rozchylone. Twarz bladą. Z rozbitego czoła wypływa struga krwi, która potem cieknie w dół, barwiąc policzki, i rozlewa się na podłodze.

Wszyscy trzej znajdują się w niewielkim sklepie z butami. Mieści się on w metalowej budzie na miejskim targowisku. Pudeł z obuwem jest tak

dużo, że nie da się upchnąć wszystkich na zapleczu. Dlatego zostały ustawione w zgrabne piramidy i teraz stoją niedaleko lady. Stanowią równocześnie wystawę. Oprócz tego w pomieszczeniu jest jeszcze kasa, kilka szafek bez frontów oraz dwa taborety dla klientów. Rolety w oknach są zasłonięte. W pomieszczeniu panuje lekki półmrok.

Ktoś po drugiej stronie naciska na klamkę. Chce wejść. Drzwi są zamknięte. Siłuje się z nimi chwilę. Ochroniarz zamiera. Przestaje oddychać. Mężczyzna z łyżką obraca się powoli, mruży oczy i wpatruje się w sylwetkę po drugiej stronie. Trudno powiedzieć, czy należy do kobiety, czy do mężczyzny.

– Nieczynne! – krzyczy. – Remanent!

Jego głos jest mocny i zdecydowany. Klient na zewnątrz jeszcze raz naciska na klamkę i szarpie nią z całych sił. Tak mocno, że aż zadrżały szyby. Dopiero kiedy i ta próba się nie powiodła, rezygnuje z prób dostania się do środka. Odchodzi.

Ochroniarz przestaje płakać. Odślania twarz. Jest cała czerwona. Ma wielki nos, pokryty siatką popękanych naczynek krwionośnych i wory pod oczami, które wyglądają tak, jakby ugryzł go tam komar.

– Co myśmy zrobili... Co myśmy zrobili? – pyta.

Jego towarzysz nie odpowiada. Stoi nad ciałem. Wpatruje się w tego w garniturze. Łyżka od butów huśta się w jego palcach w lewo i w prawo jak wahadło zegara. Starszy mężczyzna wygląda na zadowolonego. Na jego ustach pojawia się delikatny, nieśmiały uśmiech.

## 2. Wcześniej

– Puśćcie mnie!

Mężczyzna w garniturze próbuje się wyswobodzić. Wygina ciało. Napina mięśnie. Na przemian wierzga nogami i zapiera się o ziemię. Jednak ochroniarz i sklepikarz trzymają go mocno. Ochroniarz założył mu dźwignię na ramię. Drugą ręką chwycił go za kark niby niesfornego szczeniaka. W trójkę przeciskają się przez drzwi sklepu obuwniczego. Jest to trudne. Wejście jest za wąskie. Muszą wchodzić bokiem, czemu próbuje zapobiec mężczyzna w garniturze. Wreszcie udaje im się go przepchnąć. Wrzucają go do środka. Przy okazji sklepikarz urywa mu kieszeń z kurtki. Materiał drze się zaskakująco głośno. Mężczyzna przewraca się na podłogę, twarzą do ziemi. Po drodze strąca kilka pudeł z damskim obuwem.

– Zamknij, Władku! – krzyczy sklepikarz. Jest zdenerwowany. Jego twarz wykrzywia wściekły grymas, oczy płoną.

Ochroniarz zamyka drzwi.

– Na zamek? – pyta niepewnie.

– Nie, na zasuwkę! Na zamek, na zamek! Żeby nie uciekł.

Ochroniarz posłusznie wykonuje polecenie. Sklepikarz tymczasem przechodzi nad leżącym na ziemi i jęczącym mężczyzną i opuszcza rolety.

– Żeby nikt nam tu nie zaglądał – tłumaczy.

Ochroniarz nie rozumie. Wydaje mu się to niepotrzebne. Bazar o tej porze jest pusty. Nawet jeśli znaleźliby się jacyś ciekawscy, to nie byłoby ich wielu. A poza tym – przyjemnie jest się pochwalić. Ochroniarz ma pięćdziesiąt jeden lat. Od pięciu lat pracuje w agencji, na coraz gorszych warunkach zresztą. Do tej pory interweniował kilka razy przy okazji mniejszych i większych sprzeczek, ale po raz pierwszy zatrzymał prawdziwego złodzieja. Jednak nie protestuje. Jest zbyt podniecony. Zrobił właśnie coś, czym będzie mógł się chwalić przez kolejne lata! Ma też dodatkową satysfakcję, bo odczuwa pierwotną, instynktowną niechęć do podnoszącego się z podłogi mężczyzny. Dobra kurtka, elegancki garnitur. Na przegubie zegarek w stalowej oprawie. Widać, że nie żaden szmelc z bieda sklepu, ale solidna robota. Warta kilka stówek co najmniej.

Ochroniarz do tej pory oglądał takie tylko przez wystawowe okna w galeriach handlowych. Nawet nie wchodził do środka takich sklepów, bo wiedział, że tak bardzo by tam nie pasował, że od razu zwracałby na siebie uwagę. A tu proszę, okazuje się, że taki, którego stać, to zwykły złodziej. Należy mu się solidna nauczka.

Mężczyzna w garniturze wstaje. Rozgląda się dookoła, ale dyskretnie. Jakby szukał drogi ucieczki. Na jego pobrudzonej błotem twarzy maluje się strach, który nieudolnie stara się zamaskować oburzeniem.

– Macie mnie natychmiast wypuścić! – wrzeszczy, wypluwając z siebie krople śliny. – To jest bezprawne! Nielegalne!

Niespodziewanie kończą mu się epitety i zasoby sztucznego gniewu. Opada z sił.

– Popatrz go, Władziu – odzywa się sklepikarz. – Będzie nam mówił, co jest bezprawne i nielegalne, garniturek jeden.

Ochroniarz energicznie kiwa głową. Jest pod wrażeniem słów sklepikarza. „Ma gadane skubany” – myśli. On by tak nie umiał. Należy do ludzi, których łatwo zbić z tropu. Nawet teraz ten żaloszny dość wybuch zasiał w jego głowie ziarno zwątpienia. Na szczęście towarzysz szybko go wyprostował. Skleplikarz mu zresztą imponował. Pomimo sześćdziesiątki na karku trzymał się prosto. Jest w nim pewna surowość, ale taka, która budzi szacunek, a nie strach. Przez trzydzieści lat służył w armii. Podobno w czerwonych beretach, ale tego ochroniarz nie jest jednak pewien. Sam nigdy nie pytał. Nie miał okazji.

– Żądam, żebyście mnie puścili! – mówi mężczyzna. Teraz spokojniej, ale dobitnie akcentuje każde słowo. Jak początkujący aktor na scenie, który stara się, żeby usłyszano go w nawet najdalszych rzędach.

– Nigdzie nie pójdziesz, co nie? – odpowiada mu ochroniarz, który nagle czuje się odważniejszy i pewniejszy siebie niż zazwyczaj.

– Nie. Nigdzie nie pójdzie – potwierdza sklepikarz.

– Poczekasz pan tu sobie z nami, zanim policja przyjdzie – mówi ochroniarz.

Skleplikarz przecząco kręci głową. Wbijają ponuro wzrok w ich więźnia. Stara się zachować pozory, ale coraz trudniej ukryć mu głębokie emocje, które nim targają. Jest ich wiele. Nie potrafi ich nazwać. Ale poddaje się im z dużą przyjemnością.

– Nie dzwoniemy po policję, Władku – mówi.

– Jak to?

– Ile on mi zabrał? Ze sto złotych z kasy wyciągnął. Dla policji to nie jest kradzież, ale wykroczenie. Mandat mu wlepią i tyle z tego będzie.

– Uderzył cię jeszcze!

– No właśnie – potwierdza sklepikarz.

– Czyli co?! – ochroniarz jest skołowany. Podobnie jak mężczyzna w garniturze. – Tak go puścisz po prostu?

– Nie zamierzam go puścić – odpowiada spokojnie sklepikarz.

Mężczyzna w garniturze otwiera usta. Blednie jeszcze bardziej, chociaż wydawało się to niemożliwe.

– Co pan opowiada? – odzywa się niepewnie.

To dziwne, ale teraz wydaje się chudszy i drobniejszy niż jeszcze trzydzieści sekund wcześniej.

– Co chcesz zrobić? – pyta ochroniarz. Niepotrzebnie, bo zna odpowiedź. Nie chce jej tylko do siebie dopuścić. Ktoś musi ją wypowiedzieć za niego. Sklepikarz robi to bez ociągania.

– Popatrz na niego. Garniturek jeden. Przychodzi tutaj taki. Nos trzyma wysoko. Robi awanturę. Nie słucha, co się do niego mówi. A kiedy okazuje się, że nie ma racji, to kradnie ci pieniądze. I wiesz, co jest najgorsze, Władek?

– Co takiego?

– Że on myśli, że to mu na sucho ujdzie.

– Proszę mnie puścić. Przepraszam. Oddam panu pieniądze – błaga mężczyzna w garniturze.

Kąciki ust sklepikarza wędrują nieznacznie w górę.

– Popatrz, Władek. Popatrz, jaki grzeczny się zrobił. Teraz proszę, przepraszam, wersalik kurwa mi w sklepie robi. Trochę późno, co nie, Władek?

– Trochę późno – potwierdza ochroniarz, chociaż w jego głosie daje się usłyszeć nutkę zwątpienia.

– Znamy takich jak on, co nie, Władek? Gnojków, którzy myślą, że im wszystko wolno. Pamiętasz tego w zeszłym tygodniu, co cię zwyzywał, jak mu powiedziałaś, że bramę zastawił? Taki sam był jak ten tutaj – mówi sklepikarz.

Musiał trącić jakąś czułą nutę, bo ochroniarz energicznie kiwa głową i zaciska pięści, kiedy powraca dawna złość.

- Tak. Nawet podobny – mamrocze.
- Proszę mnie puścić.
- Bo oni wszyscy są tacy sami, Władek.

Mężczyzna w garniturze wyrywa się gwałtownie do przodu. Trąca łokciem sklepikarza. Barkiem uderza w ochroniarza. Próbuje ich odepchnąć, żeby dostać się do drzwi. Prawie mu się udaje, bo żaden z jego strażników nie spodziewał się tego ataku. Jednak w ostatniej chwili ochroniarz łapie go za kołnierz kurtki. Pociąga z całych sił. Mężczyzna w garniturze, jak postać z kreskówki, na moment zawisa w powietrzu, żeby wylądować tyłkiem na podłodze z okrzykiem zaskoczenia i bólu na ustach. Nie poddaje się jednak. Podejmuje kolejną próbę ucieczki, ale ochroniarz rzuca nim jak szmacianym workiem na pudła z butami. Kartony gną się z szeleszczącym dźwiękiem. Obuwie wypada na zewnątrz.

Mężczyzna w garniturze próbuje się podnieść po raz trzeci. Jednak jest już przy nim sklepikarz, który wznosi w górę metalową łyżkę od butów. Uderza. Najpierw w okolice nóg, potem brzucha, a wreszcie w głowę. Raz z lewej, raz z prawej strony. Z całych sił. Mężczyzna w garniturze początkowo krzyczy, ale kiedy łyżka uderza go w okolice lewego ucha, gwałtownie milknie. Jakby ktoś skalpelem przeciął mu struny głosowe. W sklepie słychać tylko ruch wznoszonej w górę i opadającej z młaśnięciem metalowej łyżki.



### 3. Wcześniej

Drzwi do sklepu z obuwem na bazarku otwierają się z lekkim skrzypieniem. Do środka wchodzi, wmaszerowuje raczej, mężczyzna w garniturze. Jest wyraźnie wzburzony. Jak bykowi szykującemu się do ataku, drgają mu płatki nosa. Sprzedawca siedzi za ladą i rozwiązuje krzyżówkę. Jego dłoń jest uzbrojona w długopis. Skacze wzdłuż i wszerz kartki. Zatrzymuje się tylko wtedy, kiedy liczy kratki. Sprzedawca bezwiednie porusza przy tym wargami. Oprócz nich dwóch w sklepie nie ma nikogo.

Mężczyzna rozpina kurtkę. Czeka, aż sprzedawca zwróci na niego uwagę. Na próżno. To sprawia, że jest jeszcze bardziej zdenerwowany.

– Sznurówki mi się rozwiązują – odzywa się wreszcie i sam się dziwi, że zrobił to tak głośno.

Sprzedawca jednak jakby go nie usłyszał.

– Sznurówki mi się rozwiązują! – powtarza jeszcze głośniej. Właściwie krzyczy.

Dopiero teraz sprzedawca podnosi głowę znad gazety i przygląda się swojemu klientowi.

– Co takiego? – pyta zdziwiony.

– Kupiłem tu wczoraj sznurówki i ciągle się rozwiązują!

Sprzedawca marszczy brwi. Odkłada długopis pośrodku krzyżówki. Składa gazetę starannie i odsuwa ją na bok. Wychyla się zza lady, przekrzywiając głowę lekko w bok, przez co przypomina ciekawskiego ptaka.

– Bo źle je pan wiąże – stwierdza po chwili i opada z powrotem na krzesło. Sięga po krzyżówkę, gotów wrócić do przerwanej rozrywki.

– Co mi pan tu opowiada?! Nie da się źle zawiązać sznurówek!

– Pan potrafi – odpowiada mruknięciem sprzedawca.

– O nie! Pan mnie teraz posłucha! Ale to posłucha uważnie! Potrafię sam zawiązać sobie buty! Robię to od trzydziestu lat.

– I pewnie od trzydziestu lat źle – mówi sprzedawca. Otwiera gazetę i bierze długopis. Trzyma go delikatnie pomiędzy palcami, jakby to było

pióro wieczne.

Mężczyzna gwałtownie nabiera powietrza. Robi krok w kierunku lady. Wyciąga dłoń, jakby chciał wyrwać sprzedawcy długopis i rzucić nim o ścianę. Powstrzymuje się jednak.

– Potrafię zawiązać sobie buty – powtarza. – Tylko te sznurówki są zepsute!

Sprzedawca patrzy na niego poważnie.

– Co tu ma się zepsuć? – pyta. – To przecież dwa kawałki sznurka.

– Zepsute dwa kawałki sznurka!

Sprzedawca wznosi oczy do nieba.

– No co zrobić, zepsuły się – stwierdza wreszcie z pełnym zmęczenia westchnięciem. – Co zrobić, wola boża.

– Żądam zwrotu pieniędzy. Albo wymiany.

Sprzedawca krzywi się zniesmaczony. Stuka długopisem o ladę. Rozważa różne wyjścia z sytuacji. Stojący przed nim mężczyzna budzi jego politowanie. Jest ucieleśnieniem swojego pokolenia, pokolenia ludzi, którzy nie są w stanie niczego zrobić porządnie. Nawet zawiązać własnych sznurówek. A potem, kiedy następuje nieuchronna katastrofa, zwalają na innych, zamiast samemu zastanowić się, co robią źle. Ale sprzedawca nie czuje się na siłach, żeby dalej się kłócić. Macha ręką.

– No dobra – mówi. – Wymienimy.

Mężczyzna w garniturze oddycha z nie pasującą do sytuacji, przesadną ulgą.

– Paragonik jest? – pyta sprzedawca.

– Paragonik?

– No paragonik. Za sznurówki.

– Nie mam.

Sprzedawca rozkłada ramiona w geście wyrażającym bezradność.

– Bez paragonu się nie da. Skąd ja mam wiedzieć, że to ode mnie pan je kupił?

– Byłem u pana wczoraj. Wczoraj je kupiłem.

Sprzedawca marszczy brwi. Nie przypomina sobie tego mężczyzny. Ale prawda jest też taka, że zbyt dużo ma teraz na głowie. Ledwo rejestruje to, co się dzieje w pracy. Skupić się jest w stanie tylko na swoich krzyżówkach. To jedyna rzecz, która odrywa jego myśli od tego, co się dzieje w domu. Dlatego też początkowo nie zauważył klienta. Nie

kierowała nim złośliwość, był po prostu całkowicie pochłonięty łamigłówką. To jego własny sposób medytacji.

– Ale paragonu nie ma?

– Słuchaj mnie, idioto! – wybucha mężczyzna. – Wczoraj u ciebie, debilu, je kupowałem! Wczoraj! Za osiem złotych! Koło siedemnastej?

– Ja jestem idiotą?! – oburza się sklepikarz. – Ja?! To co powiedzieć o tobie, co?! Przecież nawet dziecko wie, jak zawiązać sznurówki! I nawet dziecko wie, że bez paragonu...

Nie zdąża dokończyć. Mężczyzna doskakuje do niego. Chwyta obiema dłońmi za jego czaszkę i z całych sił uderza głową sklepikarza o ladę. Sklepikarz jęczy, a potem osuwa się na ziemię. Mężczyzna porywa ze stojaka parę sznurówek. Już ma wybiegać, ale przystaje w pół kroku. Wraca za ladę. Staruszek leży z na wpół otwartymi ustami. Oczy ma zamknięte. Oddycha płytko. Mężczyzna otwiera kasę. Wyjmuje garść banknotów i wpycha je sobie do kieszeni. Kiedy kończy, patrzy z góry na sprzedawcę.

– Trzeba mi było zwrócić za te sznurówki.

Wtedy sprzedawca chwyta go za kostkę. Mężczyzna wydaje z siebie pisk. Wyszarpuje nogę lekkim kopnięciem i ucieka. Nie widzi, ale słyszy, że za nim ze sklepu wytacza się sklepikarz.

– Złodziej! Złodziej! – wrzeszczy.

Mężczyzna przyśpiesza. Mija szpakowatego ochroniarza, który traci kilka cennych sekund, zanim decyduje się ruszyć w pogoń. Mężczyzna w garniturze zerka za siebie przez ramię i uśmiecha się. Ochroniarz to starszy mężczyzna. Biegnie pokracznie. Kolana uciekają mu na boki. Chociaż przebiegł ledwie kilka metrów, już dyszy. Pewnie rencista. Bez trudu mu ucieknie.

Mężczyzna nie jest dumny z tego, co zrobił, ale uważa, że postąpił słusznie. Ma nowe sznurówki i pieniądze w kieszeni. Zarozumiały sprzedawca dostał nauczkę.

Mężczyzna w garniturze jest zadowolony. W końcu coś poszło po jego myśli.

I wtedy potyka się o rozwiązana sznurówkę.

## 4. Wcześniej

Mężczyzna w garniturze krąży wokół budynku sądu, szukając miejsca parkingowego. Wycieraczki w samochodzie wystukują rytm, ścierając strugi deszczu. Mężczyzna nerwowo zerka na zegarek. W końcu widzi, jak jedno miejsce zwalnia się po drugiej stronie placu. Przyśpiesza, żeby zaraz ostro zahamować, kiedy blond paniusia z ogromnym żółtym parasolem wchodzi mu pod koła. Prawie uderza głową o kierownicę. Pasy wbijają mu się w pierś. Kobieta odwraca się do niego i stuka się znacząco palcem w czoło. Macha do niej, żeby szybciej szła. Drugą ręką rozmasowuje bolący kark. Kobieta z żółtym parasolem prycha, pokazuje mu środkowy palec i wreszcie znika przed maski. Zdenerwowany podjeżdża do wolnego miejsca i parkuje.

Wysiada z samochodu i biegnie. Nad głową trzyma teczkę. Jest już spóźniony na swoją rozprawę. Sędzią jest mężczyzna. Początkowo się cieszył, bo wie, że większość stanowisk w sądach rodzinnych zajmują jednak kobiety. A baba zawsze trzyma z babą. Jemu trafił się rodzynek. Teraz żałuje. Facet jest oschłym formalistą, który nie traci żadnej okazji, żeby zademonstrować innym, jaki jest ważny. Do tego jest łasy na powłóczyście spojrzenia byłej żony mężczyzny. Dlatego przyśpiesza bieg, bo wie, że te kilka minut może go drogo kosztować.

A potem wydarza się to. Rozwiązana sznurówka. Potknięcie. Lądowanie prosto w głębokiej kałuży, tuż przed wejściem do budynku sądu.

Potem już na rozprawie ledwo potrafi się skupić. Ma brudny cały garnitur. W najgorszym stanie są spodnie i buty. Całe przemoczone. Woda z niego spływa. Tworzy kałużę wokół jego nóg, przez co wygląda tak, jakby właśnie się sikał. Do tego jest mu zimno. Raz za razem jego ciałem wstrząsają dreszcze. Jego żona, jeszcze obecna, wygląda oczywiście nienagannie. Czarny kostium, biała bluzka. Z dekoltem i naszyjnikiem, który go podkreśla. Sędzia nie żałuje sobie. Zerka na niego raz za razem. Na jego ustach błąka się obleśny uśmieszek.

Rozstanie z żoną z perspektywy czasu wydaje mu się nieuniknione. Chociaż zaskakuje go zjadłość, z jaką się na niego rzuciła. Nie jest bez winy. Wszedł w romans z inną kobietą. To był błąd, ale wynikał z rozpadu ich związku. Wydawało mu się, że powinna to zrozumieć. Ona jednak robi wszystko, żeby go zniszczyć. Jej nienawiść jest głęboka i szczera. Jakby nie zauważyła, że ich miłość wygasła lata temu.

Rozprawa się kończy. Dopiero po chwili dociera do niego rozmiar jego klęski. Żona otrzymuje opiekę nad dziećmi. Jemu przysługują tylko trzy dni w miesiącu. Jeśli chce więcej, musi o to ją prosić. Albo mu zezwoli, albo nie. Boli go to, jak cholera. Bo to on głównie zajmował się dziećmi. Ona zarabia lepiej od niego. Zawsze tak było. Dlatego to on odłożył na bok karierę zawodową i skupił się na prowadzeniu domu. Wtedy wydawało się, że to dobra decyzja. Teraz dostaje rykoszetem. Zastanawia się, jak będzie mógł spojrzeć w oczy dzieciakom i wytłumaczyć im to, co się stało. Dlaczego zamieszkały z kobietą, która jest im prawie obca, zamiast z nim. Nie znajduje odpowiednich słów.

Dodatkowo zasądzono alimenty. Co prawda dość małe. Tutaj sąd wziął pod uwagę zarobki jego żony. Mężczyzna poradziłby sobie z nimi. Ale dobija go rozdzielnosc majątkowa. Dostaje połowę mieszkania. Ale teraz tylko ona w nim mieszka. Zmieniła zamki. Nie wpuszcza go za próg. Sąd nie wziął tego pod uwagę. W ramach rozdzielnosci mężczyzna dostał więc w pakiecie połowę ich kredytu hipotecznego, którego nie ma jak spłacić ze swojej pensji. W oczy zagląda mu widmo komornika. Na przegubie zaczyna go palić drogi zegarek – prezent od niej na piątą rocznicę ślubu.

Minimalny kontakt z dziećmi. Alimenty. Kredyt. Finansowa katastrofa.

– Na przyszłość – odzywa się niespodziewanie do niego sędzia – proszę przyjść na rozprawę w jakimś porządnym stroju.

Wskazuje na jego ubłocony, przemoczony ubiór.

– I na Boga, niech pan wreszcie zawiąże te sznurówki – dorzuca oschle sędzia.

## 5. Wcześniej

Sklepikarz nigdy wcześniej tego nie robił. Nawet nie do końca wie, jak się powinien do tego wziąć. Ale czasami mężczyzna musi zrobić to, co powinien zrobić mężczyzna. On zaś nie ma zamiaru migać się od tej odpowiedzialności. Tego się nauczył od swojego ojca. Zawsze żył według tej zasady. Nigdy tego nie żałował. Nie zamierza teraz z niej zrezygnować.

Nawet jeśli to oznacza, że ma złamać prawo.

Pierwszy pomysł był najgorszy. Najbardziej idiotyczny i nawet teraz palą go policzki ze wstydu, kiedy sobie o nim przypomina. Krążył po prostu po osiedlu. Wypatrywał pokątnie typków, którzy byliby mu w stanie sprzedać zioło. Kilku wydawało mu się dość obiecujących. Nosili bluzy z kapturem, luźne spodnie. Ale jakoś nie potrafił znaleźć w sobie dość śmiałości, żeby do nich podejść. Przeklinał się za to, ale przez całe życie najbardziej bał się śmieszności. Teraz również to go powstrzymywało. Zanim zacznie rozmowę, musi mieć pewność.

Najczęściej przystawał w okolicy pobliskiego gimnazjum. Miał nadzieję, że spotka jakiegoś dilerę stojącego pod bramą. Zamiast tego zetknął się tylko z masą rozwydrzonej młodzieży, która – jak ze zdziwieniem stwierdził – niewiele się różniła od niego i jego kolegów, kiedy byli w ich wieku. Jasne. Siedzieli z nosami wbitymi w te swoje komórki, ale też ganiali po boisku za piłką i dziewczynami. Przezywali się, wygłupiali, bili.

Widok kilku chłopaków, którzy siedzieli na przyszkolnym murku i pokazywali sobie nawzajem ekrany telefonów, podsunął mu właściwy pomysł. Internet. Wszyscy mówili, że tam można kupić wszystko. Marihuanę na pewno także.

Ma w domu stary komputer, z którego korzysta głównie do pracy biurowej. Do tej pory z Internetu prawie nie korzysta. Nie lubi. Wszystko, czego potrzebuje, potrafi znaleźć w gazecie i w wieczornych „Wiadomościach”. Należy do tych ludzi, dla których trzy dzienniki telewizyjne na trzech różnych kanałach to już za dużo.

Zakłada okulary. Włącza przeglądarkę Internet Explorer. Zaczyna wpisywać kolejne hasła do wyszukiwarki. Dość szybko odnajduje odpowiednie forum miłośników nielegalnych używek. Wygląda poważnie. Rejestruje się na nim. Wchodzi w odpowiedni wątek i zamieszcza ogłoszenie, że chce kupić. Dość sporo, bo liczy na rabat. W ten sposób planuje zaoszczędzić. Zamiast mnóstwa niewielkich zakupów, jeden duży. To bardziej ryzykowne, ale wynika z tego, że brakuje mu pieniędzy. Na bazarze idzie mu coraz gorzej. Przegrywa konkurencję z Deichmanem czy CCC. Do niedawna miał nadzieję, że uda mu się dociągnąć do emerytury. Teraz ma na głowie inne zmartwienia.

Po kilku minutach dostaje pierwszą odpowiedź. Potem kilka kolejnych. Rozpoczyna proces negocjacji. Wie, czego chce. Konkretny towar. Szybko. Odbiór osobisty. Nie zamierza nikomu wysyłać pieniędzy na konto i czekać na przesyłkę. Wreszcie trafia na kogoś, kto spełnia jego warunki. Umawiają się na spotkanie w miejskim parku.

Jest wieczór. Godzina dopiero szósta, ale na dworze już ciemno. Siada na ławce, niedaleko latarni, i robi mu się nieswojo. Przyciska mocniej łokcie do ciała, tak żeby poczuć plik banknotów schowanych w wewnętrznej kieszeni kurtki. Był żołnierzem. Wydawało mu się, że nie będzie się bał. Teraz wie, że się mylił. Bolesnie czuje kruchość swojego postarzałego ciała.

Podchodzi do niego chłopak w luźnych spodniach i bluzie z kapturem. Wygląda trochę tak, jakby wybrał się na nocną przebieżkę.

– To z tobą się umówiłem? – pyta. – Stary12?

– Tak.

– Świetnie. Dawaj kasę, zaraz przyniosę towar.

– Nie ma mowy. Daj towar. – To ostatnie słowo wypowiada niechętnie. Wydaje mu się, że niepoważnie brzmi w jego ustach. – To dam ci pieniądze.

– Słuchaj, dziadku. To nie tak działa. Przecież nie będę tego przy sobie nosił. Wyskakujesz z kasy, ja znikam, za kwadrans dostajesz to, za co zapłaciłeś.

– O nie, nie. Przynieś towar, dopiero wtedy ci zapłacę. Nie dam się oszukać.

– Stary chuj – mamrocze chłopak i niespodziewanie kopie sklepikarza prosto w brzuch.

Cios jest tak szybki, że mężczyzna nawet nie zdąży zareagować. Czuje tylko koszmarny ból. Zsuwa się z ławki. Tamten na niego spada. Zaczynają się szamotać. Starzec próbuje się bronić, ale chłopak jest o czterdzieści lat od niego młodszy. Silniejszy. Sklepikarz mógł dawno, dawno temu przebijać bagnetem wypełnione piaskiem worki, ale teraz tylko jęczy. Wreszcie tamten wyrywa mu pieniądze i ucieka w ciemność.

Sklepikarz traci ponad dwa tysiące złotych.

Wraca do domu. Siada przed komputerem. Zaczyna szukać kolejnego sprzedawcy, chociaż to były całe jego oszczędności. Nic więcej nie ma. Tylko długi.

W pokoju obok chora na raka żona krzyczy z bólu. Nie pomagają jej już nawet środki przeciwbólowe na bazie morfiny.

Sklepikarz płacze po raz pierwszy od ponad pięćdziesięciu lat.



## 6. Teraz

Sklep. Ochroniarz trzyma się za twarz i kołysze lekko na stopach. Jego ramiona podrygują nieregularnie. Mamrocze coś pod nosem, czego nie da się zrozumieć z powodu śliny, która strugami wylatuje mu z ust. Sprzedawca patrzy na zakrwawione ciało przed sobą i czuje, jak podniecenie zaczyna mijać. Znika ta czerwona mgiełka z wnętrza jego głowy. Pojawiają się myśli, początkowo chaotyczne, z chwili na chwilę coraz bardziej uporządkowane.

Przychodzi otrzeźwienie.

Ta дума, która go napędzała. Poczucie, że się zemścił. Że nie pozwolił się okraść po raz drugi. Że choć trochę naprawił ten paskudny świat – to wszystko mija. Zamiast tego przychodzi strach, który wykręca mu jelita. Nie martwi się o siebie. Jest stary, swoje przeżył, poradzi sobie. A nawet jeśli nie, to trudno. Myśli o swojej żonie. O tym, że jeśli go aresztują, to ona zostanie sama. I wyląduje w anonimowym pokoju w szpitalu, gdzie będzie umierać wśród obcych sobie ludzi.

– Co myśmy zrobili? – powtarza ochroniarz.

Sklepikarzowi po raz pierwszy tego dnia brakuje słów. Nie wie, co powiedzieć. Nie wie, co zrobić. Obaj wydają się bezradni i żałośni. Jak dwójka dzieciaków, która nagle zrozumiała, jak bardzo nabroiła.

Nagle mężczyzna w garniturze jęczy przeciągle. Sklepikarz i ochroniarz wstrzymują oddechy. Mężczyzna w garniturze powoli otwiera oczy. Przychodzi mu to z niemałym trudem, jakby powieki miał sklezione klejem. Podnosi się do pozycji siedzącej. Dotyka dłonią swoje czoło. Zaczyna się masować. Potem oddala palce i patrzy zaskoczony na rozmazaną na nich własną krew. Dopiero po chwili dociera do niego, skąd się wzięła. I zaraz przypomina sobie, gdzie jest i co się stało. Podnosi głowę. Przenosi wzrok od ochroniarza do sklepikarza. Jest teraz jak zwierzę, które zrozumiało, że zostało otoczone przez stado hien. Cisza staje się taka gęsta, że daje się ją kroić nożem.

– Moja żona. Była żona. Właśnie odebrała mi dzieci. I wszystko inne, co miałem – wyznaje nagle mężczyzna. – Zostałem z niczym.

Sklepikarz mruga zaskoczony tymi słowami. A może szczerością, z jaką zostały wypowiedziane. Powoli kiwa głową.

– Moja umiera – odpowiada.

Jak na komendę, przenoszą wzrok na ochroniarza. Ten opuszcza ręce. Rozgląda się bezradnie dookoła.

– Z moją wszystko w porządku – mówi wreszcie.

I sklepikarz, i mężczyzna w garniturze wybuchają śmiechem. Głośnym. Potężnym. Wydaje się, że rezonuje nim cała metalowa buda. Po minucie, dwóch zaczyna brakować im tchu. Przerywają na moment, ocierają łzy z policzków i znowu wybuchają śmiechem. Trwa to blisko kwadrans.

Kiedy się wreszcie uspokajają, sklepikarz podaje mężczyźnie w garniturze bawełnianą chusteczkę. Ten starannie wyciera twarz i dopiero wtedy podnosi się z ziemi. Stoi. Nie wie, czy powinien się pożegnać, czy po prostu wyjść bez słowa. Decyduje się na to drugie. Ale zmienia zdanie, kiedy już naciska kłamekę. Wraca do sklepikarza.

– To jak się powinno wiązać te sznurówki? – pyta.

Sprzedawca ściąga parę ze stojaka, żeby zademonstrować. Wyjmuje je z opakowania.

– Zaczyna pan tak jak zawsze. Najpierw na krzyż. Potem jedna pętla i druga. Ale drugą musi pan zaciągnąć od wewnętrznej strony, nie od zewnętrznej. To mocniejszy węzeł. Nie rozwiązuje się tak szybko. Widzi pan?

Mężczyzna w garniturze potakuje. Potem chwyta się lady. Kuca ostrożnie. Jeszcze kręci mu się w głowie i nie chce się przewrócić. Potem wiąże sznurówki w taki sposób, jaki pokazał mu sprzedawca.

– Tak dobrze? – pyta.

– Tak.

Mężczyzna w garniturze wstaje. Przechodzi kilka kroków w jedną stronę. Potem w drugą. Przystaje.

– I jest lepiej? – pyta sprzedawca.

Mężczyzna wzrusza ramionami.

– Zobaczmy – odpowiada i pokazuje na rozrzucone pudła. – Pomóc to posprzątać?

– Nie trzeba.

Mężczyzna kiwa głową i wychodzi bez słowa ze sklepu.

Ochroniarz wydaje z siebie pełne ulgi westchnienie. Jest cały spocony. Sklepiarz chce mu poradzić, żeby usiadł i wypił coś mocniejszego, ale jakoś nic nie mówi. Nie potrafi. Nie ma siły. Wie już, że prawdopodobnie nigdy nie będzie rozmawiał z ochroniarzem. W najlepszym razie będą się unikać wstydliwie. Udawać, że te kilkanaście minut nigdy się nie wydarzyło. A może ochroniarz odejdzie z bazaru. Zmieni pracę. Zniknie. Ucieknie. W sumie to kuszący pomysł. Sprzedawca sam też by tak chciał.

Może właśnie tym było całe to dziwaczne zdarzenie – krótką ucieczką od duszącej bezradności.

Sklepiarz podchodzi do okien. Podnosi w górę rolety. Ze zdziwieniem zauważa mężczyznę w garniturze. Stoi zaledwie dziesięć metrów od sklepu. Nie rusza się, chociaż z nieba spadają na niego grube krople zimnego deszczu. Wzrok ma spuszczone. Z niedowierzaniem wpatruje się w zawiązane sznurówki.

Z pobliskiej ulicy dobiega ich trąbienie. Długie i przeciągłe. Ten dźwięk wyrywa mężczyznę w garniturze z zamyślenia. Rusza przed siebie. Z trudem, bólem, niechęcią. Jakby nie chciał tego robić, ale nie miał innego wyjścia. Jakby nic innego mu nie zostało.

# **TRUPÓW HURTOWO TRZECH**

**Marcin Wroński**

## I. Lublin, wiosna 1942 roku

Komisarz kryminalny Zygmunt Maciejewski siedział cicho na twardym taborecie, z uchem przy drzwiach i okiem przyłożonym do szpary. Gestapo lubiło się odgrażać nie tylko katowanym w śledztwie, ale nawet kolegom z innych abteilungów, że to ono widzi i słyszy wszystko. Tym razem zdziwiłoby się, ile wiedział pewien polski funkcjonariusz Kripo.

Odprawa nowo sformowanego akowskiego oddziału dobiegała już końca, a Maciejewskiemu cholernie chciało się palić. Niestety na razie mógł tylko oddychać dymem z podłego tytoniu, który wpływał do bocznego pokoju przez dziury w deskach. Sycił się nim jak topielec łykiem powietrza. I nie powstrzymał uśmiechu. Znał tych ludzi od dawna – cała plejada przedwojennych grandziarzy: Kisło, Zdun, Sójka, paru mniej doświadczonych w złodziejskim fachu, ale nie było żadnego, którego by nie przesłuchiwał jeszcze przed wojną. Teraz, kozakując w oficerkach i krótkich prochowcach ściśniętych skórzanym pasem, niektórzy mieli łyzy w oczach, gdy przysięgali nieugięcie stać na straży honoru Polski i o wyzwolenie jej z niewoli walczyć. Wielka konspiracja! Cała do odszukania w kartotekach, chociaż z zupełnie innych paragrafów. I na koniec przedwojenny dziennikarz oraz literat Trąbicz, ich dowódca, z legendą na medal. O lepszą trudno, miał mogiłę na cmentarzu przy Lipowej.

Tymczasem gdy poddasze opustoszało, oficjalny trup sprężystym krokiem podszedł do drzwi i otworzył je na oścież.

– I co pan o nich myśli?

– Wojsko morowe, tylko źle ubrane. – Maciejewski zaciągnął się wreszcie papierosem. – Z daleka po nich widać, że albo już konspirują, albo o niczym innym nie marzą.

– Zwrócę im na to uwagę, ale ich kartoteki?

– Akurat ich pełne kartoteki to nie jest zły pomysł – przyznał hitlerowski kolaborant, po godzinach major AK. – Zresztą pan już i tak odebrał przysięgę bez mojej konsultacji.

– Istotnie. – Trąbicz sięgnął do kredensu po butelkę. – Napije się pan?

Zyga skinął głową, podchodząc do okna. Konspiratorzy, zamiast wymykać się z bramy po jednym, stali przy niej razem i palili papierosy jak dawniej, gdy w ferajnie ugadywali skok. Mimo godziny policyjnej bocznymi ulicami Kośminka ludzie chodzili jak przed wojną, wiedząc dobrze, że nie zapuści się w nie żaden granatowy policjant, a esesmani też nie odważą się przyjechać mniej niż w dwie budy. Na tej bandytówce trwała wolna Polska, nie trzeba było żadnych akcji zbrojnych.

Trąbicz nalał do szklanek, otworzył konserwę i słoik ogórków. Maciejewskiemu tyle by w zupełności wystarczyło, lecz literat nastawił jeszcze płytę.

*To nie jest tango z Argentyny,  
tango z Podzamcza tu się różnie.  
Tu nie przychodzą żadne gliny,  
chewra z ferajną bawi się!*

*W buchcie na Zamku to się nuci,  
żeby klawisza trafił szlag,  
a gdy zza krat koleżka wróci,  
to tutaj pije, mówiąc tak:*

*„Mnie Maciejewski przesłuchiwał:  
»Sypiesz? Bo w mordę będę lał!«,  
a kiedy jużem w buchcie siedział,  
to Maciejewski wieszać chciał”.*

Kto by nie lubił przedwojennych szlagierów! A jednak Zyga skrzywił się, jakby pił nie pierwszorzędny łukowski bimber od niezawodnego pośrednika Zielnego, tylko mleko od wściekłej krowy.

## II. Jesień 1926 roku

Konna karetka pogotowia ratunkowego przetoczyła się z turkotem po moście na Bystrzycy, a potem kłusem pojechała Foksalem, gdzie dopiero co nakazem magistratu pojawiły się nowe tablice: „ul. 1 Maja”. Lewą stronę wciąż jednak zajmowały te same fabryki maszyn, a prawą smutne, przydymione, ciasne kamienice. Woźnica ambulansu miał na głowie nową czapkę ze znaczkiem Polskiego Czerwonego Krzyża, lecz na szczęście jego grzbiet otulał porządny, carski jeszcze szynel. Mężczyzna sięgnął do dzwonka i kilkoma szarpnięciami sznurka wprowadził go w dygot. Spieszący na pierwszą zmianę robotnicy zawczasu ustąpili drogi karetce, która niczym znak cudzej śmierci wypłynęła z mgły październikowego przedświt, a po chwili zanurzyła się w nią z powrotem. Dwa krzepkie konie, kary wałach i siwa klacz, pociągnęły ją w stronę dworca.

Tymczasem w kabinie ambulansu, podskakującego na nierównym bruku, nerwowo palił egipskiego doktor Karczewski.

– I za jakie grzechy właśnie siostra przypadła mi do spótki? – Niechętnie spojrzał na drobną dwudziestoletnią dziewczynę w palcie narzuconym na biały fartuch, której spod pielęgniarzkiego czepka wysypywały się delikatne blond loczki. – Jedziemy do rozprawy nożowej. Będzie pełno krwi. Nie starczy mi czasu, żeby opatrywać rany i jeszcze cucić siostrę.

– Jeżeli do tego dojdzie, proszę pozwolić mi zemdleć i więcej się tym nie przejmować – odparła, przyciskając do siebie torbę z bandażami i medykamentami. – A tymczasem radziłabym nie marnować energii na rozmowę ze mną, czas pana doktora jest zbyt cenny.

Przed torami karetka zwolniła, mimo że osławiony „przejazd śmierci” ustąpił miejsca nowo pobudowanemu wiaduktowi. Tory kolejowe teraz bezpiecznie wiodły górą, drogę dla pojazdów wyznaczała wybudowana z berlińskim przepychem kolumnada, tyle że jak to w Lublinie, po każdym deszczu wozy nurzały się w kałużach niemal po osie.

Lekarz wyrztał przez okno, ale gdy karetka znów przyspieszyła, usiadł z ulgą obok noszy.

– Dlaczego uparła się pani na pogotowie ratunkowe? To nisko płatna praca dla silnych mężczyzn.

– A pan doktor palił perfumowanego papierosa. Czyli jest nas dwoje!  
*Touché!*

Karczewski pokiwał głową. Siostra Róża Marczyńska jak na pielęgniarkę była doprawdy bezczelna, zupełnie jakby miała ochotę po dyżurze wprosić się do niego na kamasutrę i śniadanie. Nic nie odpowiedział jednak, bo ledwie ambulans wygrzebał się z kałuż, musiał zakręcić ostro ku najbliższemu mostowi nad kolejną rzeką, Czerniejówką. Za nią między ulicami Garbarską, Wspólną i Długą do bruków, nierównych parkanów i błotnistych podwórek tuliły się niczym dziwki do złodzieja podłe kamieniczki Kośminka. Tam było wezwanie, Żelazna numer siódmy. I tam, nim woźnica zdążył zawołać „pr!” na karego i siwkę, a doktor Karczewski wyleźć z karetki, siostra Róża Marczyńska z torbą opatrunków w ręku biegła już po schodach. W oknach kamienicy powoli zapalały się światła, zupełnie jakby budził je stukot obcasów pielęgniarki na poczerniałych schodach.

Starszy posterunkowy Witold Fałniewicz klęczał na lepkiej od brudu podłodze w kuchni. Ranna miała szczęście, że kiedy Żelazną przedwcześnie obudził krzyk: „Ratujcie! Zabili!”, policjant z II Komisariatu akurat kończył nocny obchód i znalazł się na miejscu w jednej chwili. Teraz przyciskał do szyi kobiety zdartą ze ściany makatkę. Na białym lnianym czerwona nicią wyhaftowano gospodynię przy garach i mądrość ludową: „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje”. W mgnieniu oka nabiegł czerwienią cały zaimprovizowany opatrunek, podobnie jak ręce i mankiety munduru Fałniewicza.

– Nie wchodzić! – krzyknął, nie odwracając się, kiedy skrzypnęły za nim drzwi.

Zignorowano go jednak. Filigranowa blondynka przeskoczyła przez nie dającego już żadnych oznak życia mężczyznę i uklękła obok posterunkowego. Odetchnął z ulgą, widząc pielęgniarski czepek i biały fartuch pod paltem.

– Brzytwą ją... – Uznał, że powinien coś powiedzieć, gdy palce sanitariuszki wcisnęły się pod jego wielkie dłonie i mocniej ujęły zakrwawioną makatkę. – Albo raczej nożem...



– To sprawa policji, nie pogotowia. Proszę nie przeszkadzać! – ofuknęła go.

– Niech pan jej nie drażni – poradził lekarz, wpadając na miejsce zbrodni za pielęgniarką.

Leżącemu na brzuchu mężczyźnie sprawdził tylko pobieżnie puls i przytknął zegarek do ust. Nie zaszedł parą, więc zostawił trupa w spokoju, by zaraz uklęknąć obok rannej.

– Co za draństwo, ona jest w ciąży! – warknął. – Siostró, gaza i bandaże! I chyba będziemy szyli...

Fałniewicz wycofał się z mieszkania na poddaszu i zamknął drzwi przed nosami trójki sąsiadów. Grube babsko w poplamionym kwiecistym fartuchu narzuconym na nocną koszulę przypomniało sobie o mleku na kuchni. Rozczochrana brunetka w brudnym szlafroku, przeżegnawszy się, również zniknęła za swoimi drzwiami. Został tylko nieogolony dryblas w koszuli bez kołnierzyka, trzymający kciuki pod rozciągniętymi szelkami.

– Zawsze mówiłem, że źle skończy. Kurew była, proszę pana władzy. O, i patrz pan, zamiast księdza alfons jakiś! – Wskazał ruchem głowy niewysokiego, ale starannie ubranego faceta w krzykliwym krawacie, rzucającym się w oczy z wysokości dwóch pięter. Elegancik biegł na górę, sadząc po dwa stopnie.

Sąsiad chciał się podzielić jeszcze niejedną refleksją z posterunkowym, lecz domniemany sutener i policjant podali sobie ręce jak starzy znajomi.

– Czekać u siebie proszę – rozkazał Fałniewicz. – Będzie pan za świadka – poinformował, a może zagroził, nim obaj weszli do mieszkania.

Akurat doktor Karczewski zanurzał pół dłoni w szyi nieprzytomnej kobiety, wychylona przez okno pielęgniarka zaś wołała o nosze. Krwi na podłodze musiało być już parę litrów. Zasychająca kałuża spod trupa mieszała się ze świeżymi rozbryzgami.

– Oczom własnym nie wierzę! Śliczny Piotruś kopnął w kalendarz. – Młody tajniak zdjął kapelusz, lecz nie po to, by przeżegnać się nad zwłokami złodzieja znanego mu jak rodzina: i po pseudonimie, i po personaliach. Poprawił tylko włosy wybrylantynowane na glanc. – I Manieczka. No to wszystko jasne!

Pielęgniarka odwróciła się gwałtownie i spiorunowała go wzrokiem. Wywiadowca uklonił się szarmancko, babka z niej była pierwsza klasa!

– Proszę wyjść! – krzyknął lekarz. – Siostro, szew puścił! Szyjemy ją jeszcze raz.

Posterunkowy chciał złapać niższego kolegę za ramię i wyprowadzić, lecz tamten wołał wyjść sam.

– Nowy płaszcz, do cholery, a ty masz łapy jak po świniobiciu! – burknął, zamykając drzwi.

– Jego już święty Piotr rozpytuje, a ty robisz kabaret, Zielny?! – wyrzucił mu Fałniewicz chwilę później, myjąc ręce pod pompą na podwórku kamienicy. – I jeszcze ona! Chyba w piątym miesiącu...

Pogotowie odjechało, napełniając Żelazną złowróbnym hałasem dzwonka. Drzwi mieszkania, w którym popełniono zbrodnię, pilnował już drugi patrol, właśnie przysłany z komisariatu. Posterunkowy strząsnął wodę z dłoni i starannie wytarł je kraciatą chustką.

– Nie irytuj się, kolego. – Wywiadowca Tadeusz Zielny zadeptał papierosa modnym butem, czarno-białym jak jaskółka. – Miałem cynk, że coś się na niego kroi, tylko nie chciałem wierzyć. Pójdiesz ze mną zgarnąć klienta?

Witold Fałniewicz spojrzał w okna kamienicy. Zasadniczo powinien rozpytać świadków, póki wszystko mieli na świeżo w pamięci i fakty nie pomieszały im się z dobrosąsiedzkimi pomówieniami. Z drugiej strony zamknąć taką sprawę jeszcze przed południem? Kusiło.

– Sam jesteś za mały? – zapytał jednak tajniaka.

– Nie, tylko jestem ciekaw, czy ty taki duży potrafisz coś bez kwitu od prokuratora. Poza tym nie znam adresu, a ty raczej tak – dodał z rozbrajającą szczerością.

– Wszystko... mnie wszystko zawdzięczasz... – wydyszała tak niewyraźnie, że kto inny nie zrozumiałby ani słowa. On zrozumiał, bo od miesiąca słuchał jej zamierającego oddechu każdego wieczora. Że był szpiclem, a więc człowiekiem nawykłym do podsłuchiwania wątlých szeptów, to w tym przypadku nie miało znaczenia.

Przyjechał do niej prosto z dworca z torbą pomarańczy i w mundurze z błyszczącymi dystynkcjami podkomisarza policji na niewygodnym, sztywnym kołnierzu. Cytrusy są zdrowe, słyszał od lekarzy. Sukces nie służy przyjaźni, wiedział to z bogatego doświadczenia życiowego, bo chociaż nie skończył jeszcze trzydziestu lat, miał na koncie mistrzostwo okręgu w boksie, sąd wojenny podczas wojny z bolszewikami i złamany,

a potem krzywo zrośnięty nos. Gdy nie tak dawno kończył w stopniu aspiranta kurs Służby Śledczej, stał w szeregu przed inspektorem generalnym Borzęckim, ściskającym wszystkim dłonie szczupłym mężczyzną o gładko wygolonej twarzy, pasującym raczej do prawniczej togi niż granatowego munduru. Teraz natomiast klepnął go szablą w ramię Jagrym-Maleszewski, nowy komendant główny, facet nie tylko z kretyńską kosią bródką, ale i ubrany w kretyński zielony uniform pułkownika szwoleżerów. Ktoś, kto miałby honor i nie miał na karku umierającej żony, rzuciłby mu twardą, oprawną w skórę nominację w pysk. Świeżo upieczony podkomisarz Zygmunt Maciejewski, podobnie jak pozostali, nie wykazał się charakterem. I jadąc do Lublina w wagonie trzeciej klasy, w teczce wiozł swój ozdobny patent oficerski, na kolanach kilogram pomarańczy w brązowej papierowej torbie, w głowie zaś mętlik refleksji na temat honoru, który w jego służbie oznacza zupełnie coś innego niż dla kretyna kawalerzysty pokroju pułkownika Jagryma-Maleszewskiego.

– Mnie... zawdzięczasz, Zyga... i to! – Zofia dźgnęła palcem w jego mankiet, ozdobiony srebrnym kątem.

Cofnął rękę. Każdy by cofnął, gdyby dotykał go żywy trup. Nawet szwoleżer.

Cholera wie jednak, co poczułby chwilę później bohater walk o niepodległość. Maciejewski natomiast poczuł złość.

– To i także tamto – burknął do chorej. – To chyba nie pora, żeby się licytować.

– Bo? – wycharczała.

– Bo nie jesteśmy sami. – Ruchem głowy wskazał inne chore na sali. – Nie wypada.

Wybuchła jednocześnie śmiechem i kaszlem, śmiechem sięgającym przepony i kaszlem targającym dnami płuc. Tak Zofia Maciejewska, z domu Wołkońska, marnując jakże drogocenny oddech, naigrywała się, póki mogła.

– Nie wypada?... Mnie... w moim stanie... nie wypada?! – Lekarze starej daty dawali jej godziny, wierzący w niezbadane moce ludzkiego organizmu mówili o dniach, o możliwych kilku tygodniach w męczarniach przebąkiwał jedynie żydowski doktor Arnsztajn. Natomiast płuca Zofii charczały tak głośno, że słyhać ją było na szpitalnym korytarzu, choć poza

Zygą nikt nie zrozumiałby cierpkiego pytania: – A co... akurat ty... możesz o tym... wiedzieć?

O ile zdążył się zorientować, inni chorzy nie rozmawiali z odwiedzającymi ich bliskimi o sprawach zasadniczych. W grę wchodziły wyłącznie błahostki. Mąż umierającej obok na tę samą gruźlicę wychudzonej na wiór pacjentki pasjami mówił o prospericie w odlewni Wolskiego i o radości kolegów, a potem na korytarzu wiażdł i liczył w portfelu niedobitki wypracowanych nadgodzin. Małżonek innej suchotniczki był wręcz poetą, bo mimo zgniłej polskiej jesieni potrafił godzinami przekonująco bredzić o kwiatach w ich ogródku.

– Ni cholery nie mogę o tym wiedzieć – powiedział natomiast Maciejewski, prostując się i poprawiając niewygodny mundur. Najbardziej uwierał pod szyją, dusił niczym ta rozmowa. – Mam niestety tylko czerwoną krew, nie błękitną jak ty i twój kochanek. Dlatego... Tak, wiem, nie męcz się!... Wszystko ci zawdzięczam. Potrzebujesz czegoś? Przyniosę jutro.

Machnęła ręką jak księżna odpędzająca ciężącego jej sługę. Albo jak kostucha leniwym gestem wskazująca kolejną ofiarę. Bo tej kobiety, którą Zyga tak niedawno jeszcze brał z młodzieńczą namiętnością, nie przypominała ani trochę. Dlatego nie pożegnali się jak inni zdrowi z ich żywymi trupami ze Szpitala Jana Bożego. I dlatego również, że tak naprawdę na do widzenia powiedzieli sobie wszystko, jeszcze zanim arystokratyczna bladość Zofii okazała się zapowiedzią gruźlicy.

Maciejewski minął salę męską kaszlaków-umarlaków i nie oparł się pokusie, by zajrzeć przez uchylone drzwi. Kapitan Potocki leżał nieporuszony, lecz jego klatka piersiowa unosiła się z każdym oddechem jak po forsownym biegu. Ciekawość brała, czy kiedy Zofia uciekła z nim, pozostawiwszy pięknie wykaligrafowany liścik: „Nie szukaj mnie. Zwracam Ci wolność”, też tak sapał. Zyga zasalutował mu wrednie, nie mógł się powstrzymać.

Zszedł po pustych, martwych jeszcze nad ranem szpitalnych schodach, sam martwiejąc we własnych myślach, ale na parterze wytrąciła go ze stuporu mała, zaróżowiona na twarzy blondynka z paltem na ramionach i z lokami wysypującymi się spod czepka pielęgniarki.

– Z drogi! – Odepchnęła Zygę z taką determinacją, że gdyby rzecz działa się na ringu, niechybnie zostałyby rzucony na liny.

Na szpitalnym wózku przejechała przed nim pchana w sprinterskim tempie nieprzytomna młoda kobieta. Okrywające ją prześcieradło szybko nasączało się krwią.

– Panie doktorze, a gdyby tak doktor Gilanowicz? Może chociaż dziecko przeżyje...

– Siostra nie tylko mnie irytuje, ale też przekracza swoje kompetencje...

Tyle zdążył usłyszeć Maciejewski, zanim z hałasem zamknęły się drzwi oddziału ratunkowego.

Przez szybę jeszcze chwilę widział tę energiczną kobietę, pchającą wózek i dyskutującą z niedotykającym go nawet lekarzem. Fakt faktem, za wysiłek fizyczny pogotowie ratunkowe mu nie płaciło.

Również Zyga nie miał już nic więcej do roboty w szpitalu. Wyszedł więc, by przyjść nazajutrz i kolejnego dnia. Lekarze zapamiętali go jako patrzącego im na ręce natręta, jednak pomarańcze dla Zofii podawał przez salową.

### III

Połowa Długiej budziła się długo przed świtem, żeby wysypać się z niskich, odrapanych kamienic i iść robić u Plagego, Moritza, Vettera. Druga połowa dopiero co wróciła z roboty: ze skoków, włamów albo spod latarni, dlatego komuś o filozoficznej umysłowości ta przecinająca cały Kośminek ulica wydałaby się z pewnością miniaturą świata: tu zawsze ktoś spał i zawsze ktoś czuwał. Jednak nikt tak o niej nigdy nie pomyślał. Żaden z mieszkańców, bo tu nie było żadnego z wyższą umysłowością. A stukający wysokimi butami w nierówny bruk policjant i towarzyszący mu niższy więcej niż o głowę elegancik z przedmieścia myśli mieli zajęte zupełnie innymi sprawami.

– Tutaj – powiedział starszy posterunkowy Fałniewicz, uchylając wąskie drzwi wkomponowane w rzadko otwieraną bramę kamienicy. – Tylko zaraz! – Zatrzymał się. – Bierzymy sukinsyna do mnie czy do ciebie?

– Możemy do ciebie. – Wywiadowca zgodził się bez targów, bo w gruncie rzeczy było mu wszystko jedno.

A może nawet lepiej, aby zatrzymanego najpierw zawlec na II Komisariat, gdzie lubią i umieją wlać? Potem skruszonego odwiezie się na Jedynekę, spisze dobry protokół i dopiero na koniec facet, już całkiem ugotowany, trafi do Wydziału Śledczego.

Skrzypienie schodów, po których weszli, każdego postawiłoby na nogi. A jednak musieli długo walić do drzwi na drugim piętrze.

– Żeby ci tak w trumnę stukali nieheblowaną, bladź twoja... Zara, zara! – słyszeli, zanim w uchylonych drzwiach pokazała się czerwona gęba z oczami jak u królika.

Gość miał łeb ostrzyżony maszynką niczym rekrut albo ktoś, kto dopiero co wyszedł zza krat. Zielny uśmiechnął się na ten widok.

– Sójka Stanisław, syn Feliksa? – warknął urzędowo.

– No. A co je...?

– Pseudo Chojrak? – Fałniewicz włożył nogę za próg.

– Dla kogo Chojrak, to nie syn Feliksa, panie władzo.

– No to jesteśmy w domu! – Tajniak natarł ramieniem na skrzydło drzwi.

Chwycili go za pysk i za chabety i przez ciasną izbę z porośniętą wieloletnim kurzem kuchenką wepchnęli do pokoju z jednym oknem. Przekrzywiona szafa stała w rogu, stół na trzech nogach przewrócił się, ledwie tknięty, ale łóżko z jęczącymi sprężynami wytrzymało, chociaż rzucili na nie faceta jak worek ze zbożem.

– Zbieraj się, sukinsynie! – wrzasnął Zielny.

– Kiedy ja dopiero co wczoraj wyszłem!

– To znów posiedzisz. W nocy co robiłeś? – Tajniak złapał go lewą ręką za pogniecioną, rozchełstaną koszulę i podniósł prawą pięść.

– Nie wiem... Spałem, jak Boga kocham! – jęknął Sójka i widać było, że mniej bólu sprawia mu przemoc fizyczna niż wiercący uszy podniesiony głos. – Pijany byłem. Bo dopiero co wyszłem.

Zielny pozwolił mu opaść w bety. Fańiewicz podniósł skołtunioną kołdrę, chcąc sprawdzić, czy prześcieradło jest wiarygodnie wygniecione. Prześcieradła nie było jednak, tylko siennik, lepiej nie wiedzieć, czym poplamiony.

– Jasna sprawa, się wychodzi na wolność, mus wypić – przyznał ze zrozumieniem agent policyjny, lecz zaraz zaatakował: – Całą noc spałeś? Gdzie piłeś?

– Odpowiadaj panu wywiadowcy! – ryknął Sójce do ucha mundurowy.

– Nie męcz się, my i tak wiemy. – Zielny poklepał wyrokowca po pysku. – Piłeś na Grodzkiej, herbaciarnia Jozske Flaka. Wiele poszło tej herbaty?

– Ale...

Czułość skończyła się w jednej chwili i podejrzany oberwał na odlew.

– Ale to angielskie piwo! – ryknął tajniak. – Piłeś wódkę i odgrażałeś się, że pójdziesz do kochanki, do jej nowego gacha i obojgu łby pourzynasz. Tak było, Chojrak, bracie kochany! Ludzie słyszeli...

– Nie pamiętam...

Zabrzmiało to całkiem szczerze, lecz nie dość szczerze, by oszukać posterunkowego. Postawny glina złapał recydywistę za kark jak kociaka.

– Nie pamiętasz, sukinsynie?! Nie pamiętasz trupów?

– Jakich trupów, panie władzo?! – Sójka zadygotał niczym podłączony do prądu, chociaż to nie należało do metod Policji Państwowej. Na wielu

posterunkach, na prowincji zwłaszcza, elektryczności nie znano.

– Hurtowo trzech – wyjaśnił Zielny. – Detalicznie: Mańka, czyli twoja bywsza, jej gach i ich dziecko. Nienarodzone, w brzuchu matki. Razem trzy. Zgadza się?

Mundurowy wiedział najlepiej, że zgadzało się jedynie pobieżnie. Co do Mańki, na razie zachodziło tylko ciężkie, zagrażające życiu uszkodzenie ciała. Co do jej dziecka, to samo.

– Nie pamiętam... – Podejrzany beczelnie rozłożył jednak ręce.

Fałniewicz był niestety pobożnym katolikiem i nienawidził bezduszości elementu przestępczego.

– To ci przypomnę!

Nie miał przy sobie pałki, bo i zakres jego czynności patrolowych nie przewidywał regulowania ruchu ulicznego. W ruch poszły pięści, ale umiejętnie. Tylko w brzuch i po jajach, bez siniaków.

– Pan nie hańbi munduru, panie posterunkowy – przeszkodził mu Zielny. – Po to ja tu jestem, po cywilnemu.

A Sójka, chociaż każdy wyrokowiec na jego miejscu umiałby zachować się przyzwoicie, stanął sztorcem.

– No co pan? Na to jest paragraf! – zagroził.

– Paragraf?! – Wywiadowca przygwoździł mu bosą stopę obcasem i praworządnie trzepał po gębie otwartą dłonią. – Na ciebie to dopiero będzie paragraf! – sapał. – Zapoznasz się z samym Maciejewskim, byku kraszy!

– Maciejewskim? – Albo kac dodał temu przestępcy sił, albo naprawdę był wyzuty z ludzkich uczuć. – Tak się nazywa ten wasz nowy?

– O nie, kochany, mam na myśli tego sławniejszego Maciejewskiego. – Zielny zamachnął się z prawa. – Kata z Mokotowa. – Poprawił z lewa. – Już wiąże ci krawat... z grubego sznura... Przyjedzie, ani się obejrzysz!

– Starczy! – odezwał się głos Fałniewicza.

Tajniak, nachylony nad podejrzanym, zadarł głowę. Mundurowy krzywił się, widocznie wezbrały w nim skrupuły albo zwyczajnie obawiał się prowadzić nazbyt pobitego Sójkę przez jego własną dzielnicę.

– Ma pan rację, panie posterunkowy. – Zielny nie zamierzał wchodzić w spór. Nie przy recydywiscie. – Jesień, spoczę się, a potem, nie daj Boże, jeszcze mnie przewieje... A z tobą, Sójka, idę o zakład: wszystko nam wyśpiewasz. I to dyszkantem!



– Serwus, Gienek! Jak żona? Urodziła? – Maciejewski zjawił się w Wydziale Śledczym wcale niespóźniony, wręcz za pięć ósma. Mimo to jego zastępca aspirant Eugeniusz Kraft musiał zagryźć zęby, gdy podawał mu rękę.

– Dzień dobry. Wybacz, mam dużo pracy – odparł z rezerwą i zagłębił się w lekturę raportów z nocnych patroli.

Kogo jak kogo, ale dawnego szkolnego kolegi nie podejrzewał o podobny marsz po trupach. Owszem, sprowadzono go tu z Zamościa od razu na stanowisko zastępcy kierownika wydziału. W gimnazjum był rocznik wyżej, lecz w policji o dwa lata młodszy wysługą lat. Gdyby w tym samym gabinecie posadzono mu innego aspiranta, Gienek uznałby to za sprawdzian, który zagryzie drugiego i tak w kwestii awansu zdejmie ciężar decyzji z barków przełożonych.

„Maciejewski przeleci jak kometa – zapewniał jednak komendant Bauman – a pan jest najbardziej sumiennym funkcjonariuszem, jakiego znam, i jeśli odejdę, to chyba oczywiście, kogo zarekomenduję na stanowisko kierownika po Sikorskim”.

Najwyraźniej jednak nie zdążył tego zrobić, gdy kilka miesięcy po objęciu władzy przez Piłsudskiego wymieniono go z dnia na dzień jak wielu wyższych urzędników. Krafta zaś czekały wydatki: tylko patrzeć, jak Elizka pójdzie do szkoły, a teraz drugie dziecko w drodze i Olga źle znosi ciążę. Nowy komendant Sobociński oczywiście zapewniał, że ani mu w głowie pozbawiać Wydziału Śledczego doświadczonych sił. Zatem gdy Zyge wezwano do Warszawy, Gienek spodziewał się wszystkiego, tylko nie widoku kolegi z nowymi dystynkcjami na mundurze.

– Chodzi ci o ten wichajster u mnie na kołnierzu? – domyślił się wreszcie Maciejewski.

Sobociński niczego Zydze nie obiecywał, a on również nie spodziewał się wiele po Sobocińskim. Nadkomisarz miał imponujące doświadczenie, w końcu ponad dziesięć lat służby to nie w kij dmuchał, ale bardzo przypominał w tym Maciejewskiemu byłego szefa z Zamościa. Tacy faceci z praktyką, lecz z czterema klasami szkoły powszechnej, na ogół źle patrzyli na podwładnych po maturze, a po kilku latach studiów tym bardziej. Co miał jednak powiedzieć w Komendzie Głównej, kiedy okazało się, że nie chodzi o nowy przydział, ale o awans na podkomisarza? Że mają bałagan i że powinni uprzedzić?

– Byłem w szpitalu, zanocowałem u ciotki. Nie zdążyłem się przebrać. Co mam ci jeszcze powiedzieć? – Zyga niemal jęknął.

Prawie przywykł do myśli, że gdy nie da się już dłużej przedłużyć urlopu kierownikowi Sikorskiemu, na to miejsce wskoczy Kraft, a on pozostanie zastępcą zgodnie z planem. Fakt, w dawnym koledze widział raczej doskonałego urzędnika niż śledczego, lecz trudno, z takim szefem mógłby się dogadać. Może to nawet lepiej mieć nad sobą uporządkowanego i przewidywalnego ewangelika niż choleryka z Matką Boską pod koszulą. Byliby dobrym i złym policjantem, w sam raz na okoliczność poważniejszych przesłuchań.

– Nic mi nie musisz mówić, skoro o awansie też mi nie powiedziałeś. – Gienek wzruszył ramionami. – Gratuluję, panie komisarzu! Przyszedł pan na służbę jak na defiladę – dorzucił jeszcze i zaraz pożałował.

Nie dlatego bynajmniej, że ogarnął go nagły niepokój o los rodziny, zależny przecież od przychylności zwierzchników. Uniósł się? Trudno! Raz na rok wolno nawet protestantowi, a poza tym na korzyść Krafta przemawiały jego akta personalne bez najmniejszej skazy. Tylko teraz zamiast karierowicza znowu zobaczył w Zyguncie dawnego kolegę.

– Nie zabiegałem o to sreberko. – Maciejewski zgarnął na bok papiery na swoim jak zwykle zabałaganionym biurku i rozpiął krępujący go kołnierz. – Mnie chodzi tylko o prowadzenie dochodzeń i dość mam pretensji! A ty jesteś jak moja żona i ciotka razem wzięte. Lepiej się poczujesz, jak złożę podanie o przeniesienie?

– Nie, przepraszam. – Kraft podniósł głowę znad papierów. I tak nie rozumiał ani słowa z tego, co próbował czytać. Podły charakter pisma funkcjonariuszy patrolówki miał z tym niewiele wspólnego.

– To dobrze. – Zyga uśmiechnął się. – Bo gdyby wyszło tak, że to ja będę tu kierowniczył, za cholerę cię stąd nie puszczę. I liczę na wzajemność w drugą stronę, Gienek.

„Liczyć to można na liczydła” – mawiał ojciec Krafta, który przyjechał do Lublina z nadzieją na założenie fabryczki, ale rozbił sobie łeb o kredyty i nieuleczalne pijaństwo tutejszych robotników. Przepracował więc resztę życia na cudzym, co było rodzinną przypadłością. Gienek wolał policzyć do dziesięciu, zanim coś odpowie, i dla zabicia czasu zerknął za okno.

Akurat na róg Zielonej i Staszica podjechała dorożka, a postawny mundurowy i sporo niższy tajniak wytargali z niej skutego kajdankami

mężczyznę. Za chwilę zadzwonił telefon z dyżurki i wszystko stało się jasne. Kraft wyjął spośród raportów ten o zabójstwie Marii Rutki, córki Tadeusza, prostytutki rejestrowanej, oraz jej kochanka Piotra Kołodzieja, z ojca nieznanego, zawodowego złodzieja.

– Mamy sprawę, Zyga – powiedział na zgodę.

Maciejewski wstrzymał oddech i zapiął haftki przy kołnierzu munduru.

– Piotra Kołodzieja? – zdziwił się. – Jeśli Kołodzieja, to chyba Piasta...

Już po południu herbaciarnię Joszke Flaka czuć było wszystkim poza herbatą. Aż z Grodzkiej, traktu recydywistów prowadzącego od więzienia ku Krakowskiemu Przedmieściu, biła z niej cebula przysmażana na starym tłuszczu, wystarczyło zaś otworzyć drzwi, aby odetchnąć aromatami monopolki i dymu papierosowego. Maciejewski zaciągnął się z lubością jak nałogowiec. W podobnym lokalu w Zamościu zdobywał pierwsze szlify policyjnego szpicla.

Zanurzył się między stoliki, które obsiadły dziwki, luftmensze i poszukujący taniej rozrywki studenci katolickiego uniwersytetu. Ponieważ zmienił mundur na czarny garnitur i wymięty płaszcz, nikt nie zwrócił na niego uwagi, dopóki nie położył na kontuarze metalowego znaczka Służby Śledczej.

– Pan przodownik nie uwierzy, ale ja sobie tego nie wybaczę... – powiedział knajpiarz, międląc brodę.

Powód wizyty odgadł pierwszorzędnie, Zyga był pod wrażeniem. Że zaniżył mu szarżę, Maciejewski nie zamierzał się procesować. W końcu oficerowie, nawet policyjni, nie bywają w podobnych spelunkach.

– Pan jest wyjątkowo wrażliwy człowiek, panie Flak – pochwalił śledczy. – Dziw, że wierszy pan nie pisze.

Przed policjantem zjawił się pełny kieliszek. Świeżo mianowany podkomisarz wychylił go jednym haustem.

– A co do faktów tak zwanych? – spytał cicho, raz by nie robić rabanu, a dwa, by nie dać poznać po sobie, że pejsachówka miała więcej procentów, niż zwykły przyjmować jak kompot.

– *Fifn jorn*, znaczy się pięć lat, jak dał mi go na przechowanie, to przechowałem. Potem Chojrak, znaczy się Sójka Stanisław, zamówił obiad i więcej wódki...

I to pasowało jak ulał do raportu, który wraz z zatrzymanym dostarczyli ci dwaj policjanci: posterunkowy Fańiewicz i wywiadowca Zielny.

Pierwszy wyglądał Maciejewskiemu na sumiennego, drugi na niezłego spryciarza, dobrana para. Zyga nie słyszał jednak o przypadku, aby gliniarze z różnych komisariatów samorzutnie połączyli siły, nie ustalwszy wcześniej z przełożonymi, na konto której jednostki pójdzie ten sukces. „My dla dobra służby” – powiedział Zielny z cwaniackim uśmiechem i przygładził wybrylantynowane włosy, świecące się jak latarnia. Podkomisarz spojrzał wtedy pytająco na Krafta. Nie znał ani lubelskiego półświatka, ani tych dwóch funkcjonariuszy. Gienek był zadowolony, jemu wszystko grało.

Podobnie jak grało knajpiarzowi, który opisywał pijacki wieczór podejrzanego, jakby to się działo przed kwadranssem, a nie wczoraj.

– Pan się spieszy na pociąg, że tak szybko mówi?... Co dał panu jako depozyt?

– Nóż. Sprężynowy. Z monogramem S.S.

Maciejewski znacząco wskazał swój pusty kieliszek.

– Jak Siostry Samarytanki? – burknął, przyglądając się nalewanej mu wódce niczym inspektor z Państwowego Monopolu Spirytusowego.

– Jak Sójka Stanisław – rzucił bez uśmiechu knajpiarz.

Zyga odwrócił się od szynkwasu i powiódł wzrokiem po sali. W Zamościu większość twarzy znałby lepiej niż album inwigilacyjno-rozpoznawczy, teraz musiał na nowo poznać rodzinne miasto. Od najgorszej strony.

– Więc pan, jak to uczynny i uczciwy człowiek, kiedy Sójka wrócił po pięciu latach odsiadki, oddał mu ten pamiątkowy nożyk. I co było dalej? – zapytał, na powrót opierając łokcie o blat.

– Wsadził go do kieszeni marynarki. – Flak klepnął się w lewy bok. – Żałuję, że mu powiedziałem, panie władzo. I to ja mu pierwszy powiedziałem! On tylko *Hanke kochanke, kochanke Hanke...* *Jo*, ja się przyznaję, bo to tylko wykroczenie, a ja z dobrego serca: przeze mnie szły te grypsy na buchtę. Tyle że ona z rok temu przestała odpowiadać. Zadała się ze Ślicznym Piotrusiem, chociaż i jego brejdak, brat znaczy się, miał wcześniej do niej skłonność.

– Odgrażał się? – przycisnął Maciejewski. – Sójka, nie brejdak Piotrusia.

– Jak kto wypije, to się odgraża. Pan by się nie odgrażał?... Żadne kredyt! Na szyldzie jest, że knajpa czy że Flak i Spółka, Kasa Kredytowa?!

– krzyknął do młodego kelnera, z którym trzech nowo przybyłych gości zaczęło negocjować.

Zyga z uznaniem pokiwał głową. Cenił ludzi z podzielną uwagą.

– Co chcą pić, to z góry płacić, *git?* – zakończył Joszke Flak. – Ale czy to moja wina? Jak nie wczoraj, to dziś, jak nie dziś, to jutro... I tak by się dowiedział. Niecierpliwa była i zwykła *zojne*, stąd cała tragedia. Nawarzył sobie Sójka piwa, aj, nawarzył... Może panu władzy kufelek?

Podkomisarz zapłacił i wyszedł, aby już na Grodzkiej włożyć sobie do ust dwa dropsy miętowe, po czym zapalił papierosa. Zamierzał jeszcze wrócić na komendę, więc lepiej, żeby nie było od niego czuć wódką.

W tym samym czasie wywiadowca Tadeusz Zielny robił to, co lubił najbardziej. Rozpinał rozporek, Kudłata Helka przystawiła zaś niski taboret i zadarłszy kieckę, usiadła przed nim. Jako katoliczka miała zasady i nie klękała przed klientem. Nawet jeżeli klient był duchownym, a co dopiero zwykłym mentem!

– A wracając do Mańki... – Tajniak zachęcająco pogłaskał ją po włosach. Sztywne, zdrowe loki przyjemnie łaskotały wewnątrz dłoni. – Nieraz odgrażałaś się po knajpach, że w pysk jej kwasem chluśniesz. Tamta odbiła ci Ślicznego Piotrusia, ty musowo wyszłaś z nerw...

– A to z pana glina skończona! – Oburzona prostytutka przerwała działalność zarobkową. – Ja daję panu serce na talerzu...

– Od kiedy to się nazywa serce?! – Zielny zarechotał, przyciągając ją za włosy.

Spoglądając z góry na poruszającą się miarowo głowę Helki i jej loki jak u rasowej owcy, pomyślał sobie, że pogniewała się całkiem szczerze. Nie rozumiał, o co chodziło temu nowemu, Maciejewskiemu, że szukał dziury w całym. Rozumiał natomiast, że ten facet wkrótce będzie kierownikiem Wydziału Śledczego, więc nie dyskutował.

Zielny ani podejrzewał, że spotka go cokolwiek poza pochwałą. Tymczasem podkomisarz, ledwie przesłuchał podejzranego, wyrwał tajniaka do telefonu. „Słuchajcie, mamy za mało na tego Kołodzieja” – powiedział. „Teraz nabrał wody w usta, ale wyrwie się w sądzie z nowym zeznaniem i cały akt oskarżenia leży. Poza tym ja wcale nie jestem pewien, czy to on...”.

Wywiadowca miał wprawdzie lat dopiero dwadzieścia dwa, ale w swojej robocie nie był szczeniakiem. Gdy po wojsku zgłosił się do służby

w policji, tylko kilka miesięcy dali mu chodzić w mundurze. Poznał się na nim wtedy i kierownik Komisariatu I, i sam komendant Bauman. Dlatego teraz od razu wyraźnie zaznaczył, że z całym szacunkiem dla pana komisarza, lecz skoro tak, to już rewir Dwójki. A komisarz od razu zapytał, czy Zielny zamierza całą służbę spędzić na Lubartowskiej, czy też chodzi mu po głowie robota w Wydziale Śledczym. No i wziął pod włos, zanim tajniak zdążył się wyśliznąć.

Teraz Zielny stał w lekkim rozkroku, zamglonym wzrokiem wodząc po pajęczynach na suficie. Może ten Maciejewski miał rację, że młody wywiadowca zasługiwał na rozwinięcie skrzydeł? Co szkodziło popracować trochę po godzinach? No i Helka tak umiała dogodzić po francusku, że podobnie jak Zielny zasługiwała nie na Lubartowską z przyległościami, lecz choćby i na sam Paryż!

– Odgrażałaś się czy nie? – zapytał jednak, bo służba nie drużba.

– Może i się odgrażałam, jak mnie naszło na wspominki o Piotrusiu... – powiedziała, niespiesznie pracując językiem. – Uczuciowa jestem.

Policjant skwapliwie potaknął. Przez otwarte okno od podwórka wdzierał się harmider żydowskiej dzieciarni, kąpiącej szmaciankę o ścianę wychodka. Tajniak obiecał sobie, że da bachorom parę groszy na cukierki. Rozpraszały go, przedłużając przyjemność.

– Ale nie że zabiję przecież! – zaznaczyła Helka, powłóczyście patrząc Zielnemu w oczy. – Pobić kurwę, kwasem gębę szkaradną polać... Nadać mokrą robotę, panie władzo? A czy mnie na to stać? No i ona była w ciąży, a dziecko jest dziecko, nawet takiej suki. To maleństwo niewinne!

Maria Rutka żyła jeszcze, co funkcjonariusz powinien wyraźnie zaznaczyć, bo inaczej sytuowało charakter czynu, lecz nie miał ochoty na drobiazgi. Usiłowanie zabójstwa nie ulegało wątpliwości.

Kudłata Helka znów zabrała się ostro do pracy. Bachory gdzieś pobiegły i tylko odgłos końskich kopyt oraz turkoczącego wozu na podwórku kamienicy przyjemnie rozpraszał myśli tajniaka.

– Proszę zamykać okna, z ustępu wybierane będzie! – wdarł się przez uchylone okno okrzyk urywający i rozdzierający wszystko, co w Lublinie mogło być piękne.

Dziwka natychmiast poderwała się z taboretu. Nieszczęśliwie, odpychając Zielnego, zbyt natarczywie poruszyła ręką. Gdy ona klękała na parapecie i manipulowała przy klamce, żeby jak najszczelniej odgrodzić

pokój od kloaczego odoru, który za chwilę zaleje całe podwórko, on patrzył, jak smętnie cieknie z niego na podłogę, nawet brudzi modny mankiet nogawki. Wściekły wyjął z kieszeni chustkę.

– A sama nie byłaś czasem podejrzana o spędzenie płodu? Czy może źle pamiętam?

Kudłata Helka spojrzała przez ramię. Kłapały pospiesznie zamykane okna, pompa kanalarzy jeszcze nie zbulgotała.

– Pan wywiadowca zaspokoił się za pół ceny, to co mi teraz sztukuje?! Uniewinniona byłam! Z braku dowodów, tak sędzia powiedział. I ludzie słyszeli!

Jednym z tych ludzi, którzy na własne uszy słyszeli sentencję wyroku w sprawie Heleny Pióro, był Józef Kołodziej, z fachu wyuczony ślusarz, z zawodu bezrobotny. Wszakże obecnie, gdy niechętnie wysiadał z dorożki na Zielonej róg Staszica, niewinność Helki obchodziła go jak zeszłoroczny śnieg.

– Na co pan czeka? – ponaglił posterunkowy Witold Fańiewicz.

Brat zamordowanego Piotra postawił nogę na krawężniku i spojrzał podejrzliwie na ciężki, przysadzisty budynek z dwoma oficynami, wyciągniętymi jak chciwe łapy gliniarza. W jednej z nich właśnie mieścił się Wydział Śledczy. Fańiewicz wskazał Kołodziejowi bramę na wewnętrzny dziedziniec, a sam zabrał z siedzenia podłużny przedmiot zawinięty we wczorajszą gazetę.

– Czy to trzeba aż tak? – burknął dostarczony tu mężczyzna. – Ja to żem panu władzy przyniósł, nie żeby zaraz iść do komisarza...

– Im prędzej, tym lepiej – zdecydował mundurowy, a kilka minut później referował już aspirantowi Kraftowi, iż Józef Kołodziej, brat Piotra Kołodzieja *pseudo* Śliczny Piotruś, niekarany, nieopodal kamienicy Żelazna 7 znalazł w rynsztoku nóż sprężynowy z monogramem S.S., w którym rozpoznał własność podejrzanego Stanisława Sójki. Nie mając wiedzy w zakresie zabezpieczania śladów, owinął go w gazetę i przyniósł na komisariat.

Śledczy popatrzył ostro na świadka i wskazał krzesło przed swoim biurkiem. Fańiewicz chciał zasalutować i odejść, lecz w tej samej chwili otworzyły się drzwi gabinetu i stanął w nich podkomisarz Maciejewski. Z daleka czuć go było dropsami miętowymi, skutecznie maskującymi zapach tytoniu, wódki, w innych przypadkach także zepsutych zębów.

– S.S.? – Od razu zwrócił uwagę na dowód rzeczowy. – Stanisław Sójka...

– Sprawa jest jasna – potwierdził Kraft.

Kołodziej zaś, w którego oczach wymięty garnitur Maciejewskiego budził najwięcej zaufania, w mig rozwiązał język.

– Żem znalazł, to zaraz z tym na policję. I ja panu posterunkowemu żem chciał pokazać miejsce, gdzie ten bydlak wyrzucił nóż. Dla jasności, panie władzo, ja nie jestem kapuś! Ale tydzień będę pił z radości, jak drania powiesicie!

Zyga kiwnął głową i trzymając przez gazetę nóż za czubek ostrza, podniósł wyżej.

– Brat zabitego – wyjaśnił Gienek.

– I krwawe ślady palców tu, na lewej stronie rękojeści. Czyli w prawej garści trzymał... – zauważył Maciejewski.

– Ja żem go tam za rękę nie złapał, to nie wiem, w której. Jakbym złapał, toby żyli. Od tego pan jest glina, żeby wiedzieć. Nóż był niedaleko domu Mańki w rynsztoku. Jego, mordercy! Litery same mówią.

– Palce, ale bez linii papilarnych. Miał rękawiczki... Często grzebiesz pan w rynsztokach, panie Kołodziej? – Podkomisarz przysiadł na biurku Krafta, tak że teraz górował posturą nie tylko nad świadkiem, lecz nawet nad Fańiewiczem, przypominającym sylwetką słonia.

– Co pan mnie tak krzywo rozpytuje, skoro żem dowód przyniósł rzeczowy?! – Kołodziej, jeszcze niedawno onieśmielony gmachem komendy, teraz się odszczeknął. – Ja z nim też piłem u Jozka Flaka!

– To wiem – warknął Zyga i obaj patrzyli przez chwilę na siebie jak złe psy.

Twarz Krafta, chociaż przed chwilą ambicjonalnie poczerwieniała, bo kolega panoszył się jak u siebie, teraz przybrała skupiony wyraz. Fańiewicz wodził oczami od jednego oficera do drugiego.

– Siedział na prawo ode mnie, częstował... – zaczął opowiadać Kołodziej. – Dopiero kiedy zaczął się odgrażać na Piotra...

– Inni mówili o nim raczej Śliczny Piotruś – przerwał bezdusznie Maciejewski, jakby chodziło mu właśnie o to, by wyprowadzić świadka z równowagi.

I cel ten osiągnął.



– Ale to był mój brat! – Józef poderwał się z krzesła. – I ja mówię, jak stoi w metryce. Szlag mnie mało nie trafił i wyszedłem z tej speluny. Gdybym wiedział, że Sójka to tak pod hajrem mówi, tobym draniowi tam na miejscu łapy połamał!

– Podobno Hanka prowadziła się z panem, a jednak to Śliczny Piotruś, przepraszam, pański brat Piotr zmajstrował jej dzieciaka.

Fałniewicz uznał, że czas zareagować. Przeprowadzony przez niego świadek stawiał się sztorcem oficerom, więc posterunkowy wstał i położył mu ciężką dłoń na ramieniu. Kołodziej usiadł.

– Bywa w najlepszej rodzinie – odburknął jednak charakternie. – Pan pójdzie kiedyś do kina, to sam pan zobaczy, jakie rzeczy zdarzają się na świecie.

I wtedy zadzwonił telefon. Kraft przez chwilę tylko słuchał, rzucając krótkie zdania, po czym wstał zza biurka.

– Odzyskała przytomność.

– Mańka?! To ona żyje? – Oczy Kołodzieja przybrały rozmiar dwuzłotówek.

„Pod białym prześcieradłem nawet kurwa wygląda jak anioł” – przemknęło przez głowę Maciejewskiemu, lecz nie powiedział tego głośno. Raz, że miał na myśli nie tylko Mańkę, lecz i swoją dogorywającą żonę. Dwa, Kraft jeszcze nie dokończył modlitwy przy zmarłej.

Nie zdążyli. Maria Rutka zapytała tylko lekarza o kochanka i swoje dziecko, a młody doktor okazał się marnym kłamcą.

– Po chwili przytomności nastąpił wstrząs, którego osłabiony organizm pacjentki nie wytrzymał – powiedział później policjantom.

– No to zbrodnia zamiast usiłowania – podsumował Zyga, gdy schodzili po schodach. Przyspieszył kroku obok oddziału, gdzie umierała Zofia. – Co myślisz o tym świadku, Gienek?

– Powiedziałem już, że sprawa jest jasna. – Dawny kolega szkolny włożył kapelusz i zapiął pasek płaszcza. – Nawet bez jej zeznań.

Maciejewski pokręcił głową. Jak na jego gust, sprawa była aż zbyt jasna. Przeciw Sójce świadczyło wszystko i nawet pełen współczucia knajpiarz Flak nie miał wątpliwości, kto zabił. Policja lubiła i zawsze będzie lubić takie dochodzenia, bo mało roboty, a statystyki puchną aż miło. Wszystko na tacy. Tylko Zyga, podobnie jak dobrze wytresowany pies, miał opory, żeby brać kiełbasę od obcych. Może niepotrzebnie? Niby

dłaczego po przeniesieniu do Lublina spodziewał się wyłącznie trudnych, ekscytujących śledztw? I tak powinien docenić, że skrupulatny Kraft pozostawił dokończenie nudnego protokołu posterunkowemu Fałniewiczowi, a sam zerwał się wraz z nim do szpitala. To dowodziło, że gliniarski instynkt posiadli obaj, choć na co dzień Gienek się z nim nie obnosił. Pewnie miał dzięki temu mniej porażek...

– Dobry wieczór, siostró Rózo! – Głos kolegi wyrwał Zygę z jego własnych myśli i podkomisarz podniósł głowę.

Byli już w holu na parterze, a z sali przyjęć wychodziła niewysoka, lecz energiczna pielęgniarzka z burzą blond loków wysypujących się spod czepka.

– Pani pozwoli, to mój kolega z pracy, Zygmunt Maciejewski.

– Marczyńska. Już pana tu widziałam. Pan ma chorą żonę?

Podkomisarz bywał dotąd raczej partaczem niż bawidamkiem, lecz teraz przytrzymał jej dłoń dwie chwile dłużej, niż to konieczne przed ucałowaniem.

– Mam. – Nie wyparł się. – I mam wielką przyjemność poznać panią.

Tej nocy w ruderze na Rurach Jezuickich miał sen. Śniły mu się te wszystkie nieliczne momenty wzruszeń, jakie przeżył z Zofią Wołkońską, ale za każdym razem miała ona włosy i oczy Róży Marczyńskiej.

## IV

– Ja poprosze panenke o take czarne picie, jak ta pani ma za szczaną, i jeden „Kurwier Warsiaski” na kiju – zażądał od kelnerki brodaty, pejsaty gość w garniturze wyświechtanym, lecz z grubą i szczerozłotą dewizką przy zegarku. Nie zdjawszy kapelusza, wskazywał palcem i świecił sygnetem w kierunku ciotki Zygi Maciejewskiego za szklanym przepierzeniem oddzielającym stoliki w kawiarni Semadeniego.

Ciotka lewą ręką odstawiła spodek z porcelanową filiżanką na marmurowy stolik. Zyga nie mógł się nadziwić, że na powierzchni kawy nie pojawiła się najmniejsza fala, a spoczywająca obok łyżeczka nie wydała ani brzęku. Tymczasem gazeta w rękach mężczyzny za szkłem łopotała głośno jak żagle pirackiego brygu w powieściach dla młodzieży.

– Kupiłeś jej piękny wieniec – westchnęła ciotka. – I dziękuję, że mnie zaprosiłeś, Zygmusiu.

Maciejewski uśmiechnął się z przymusem. Owszem, wieniec za dwadzieścia złotych musiał wyglądać pięknie, to murowane. I jeszcze do tego szarfa: NIEODŻAŁOWANEJ WIERNEJ MAŁŻONCE – WDZIĘCZNY ZA WSZYSTKO MAŻ. Ironia była jedną z niewielu rzeczy, jakie Zyga naprawdę w sobie lubił, w przeciwieństwie do wydawania pieniędzy. Tymczasem przyszło mu zapłacić kolejne trzy pięćdziesiąt, bo jakiś kretyn pomylił „nie” i wyszło „odżałowanej” oraz „niewiernej”. W gruncie rzeczy facet miał rację, ale nowa szarfa na godzinę przed pogrzebem wymagała napiwku. Teraz dojdzie rachunek w najdroższej lubelskiej kawiarni, niestety ciotkę zaprosić musiał, sumienie kazało. Dawniej to on mógł niezawodnie polegać na jej kapitale, teraz wymyślała lepsze wymówki niż kiedyś Zygmus, byle odroczyć odrabianie lekcji. Wstydziła się, że wielkie, zamożne mieszkanie na Krakowskim Przedmieściu musiała zamienić na szereg klitek dla sublokatorów. Sklep ciotki nie wytrzymał powojennego kryzysu, a na Rurach Jezuickich, gdzie zamierzała pobudować na starość willę na dwóch parcelach, wciąż stały dwie rudery. W jednej mieszkał Zyga, drugą dostała bezdzietna służąca Kapranowa z mężem inwalidą, byleby tylko codziennie darmo przyszła do swej chlebobawczyni i ugotowała obiad.

– To był piękny pogrzeb i jestem dumna, że tak się postarałeś.

Skinał głową i zgasił papierosa w popielnicy droższej chyba niż jego zegarek. Wcale nie był dumny, a ciotka zaczynała go irytować. Dobrze wiedziała, co oznaczało to zaprzese małżeństwo – krępujący wszystkich mezalians. Gdyby miał chociaż gram rozumu, powiedziałaby w porę, że koniec balu, panno Lalu, niestety postanowił zostać rycerzem w lśniącej zbroi. Po tym, jak obnażył zbrodnię ojca Zofii, błękitnokrwistego mordercy, uznał, że musi zaopiekować się panną, która w swoim kręgu zostanie skazana na śmierć towarzyską. Wbrew temu, co bredziła w gorączce, przeniesienie do Lublina – chociaż o nim marzył – nie było żadną przysługą, raczej wypadkową obopólnych interesów. Rodzina nie chciała jej więcej widzieć, lecz i nie życzyła sobie dalszych plotek, dlatego Wołkońska musiała zniknąć z Zamościa, gdzie była znana zbyt dobrze. Jej mężowi tylko trafiło się jak ślepej kurze ziarno.

– Nie rozumiem cię, niestety, dlaczego nie przyszedłeś w mundurze – ciągnęła ciotka. – Jesteś oficerem, nie gorszym niż wojskowi.

– Jeżeli ciocia ma na myśli kuzynów nieboszczki, to nie chciałem grać im na nerwach – skłamał i też to zauważyła. Zbyt byli sobie bliscy na tak niewysublimowane kłamstwa, a jednak grali komedię. Włożył cywilny garnitur wyłącznie dlatego, że urwała mu się haftka przy kołnierzu.

– I to cię martwi? – zapytała, nadziejąc na widelczyk kawałek napoleonki tak foremny, jakby wykroiła go maszyna.

Próbując dotrzymać jej stylu, Zyga swoje ciastko rozsmarował po całym talerzyku. Cóż, ze słodczy najbardziej lubił śledzie.

– Nie, mam po prostu trochę kłopotów w pracy. A cioci nie szkoda, że w jej sklepie panoszy się jakiś Żyd? – zmienił temat, lecz jeszcze nie skończył, a już wyczuł, że poszybował prawym prostym w powietrze.

– Żyd czy Chińczyk to bez znaczenia! – zachnęła się w uniku. – Lepszy kupiec młodszy, więcej sił, bardziej obrotny! Odstępne zapłacił uczciwie. I powiem ci, że zawsze wiedziałam: Kapucyńska to szczęśliwe miejsce. Gdy przechodzę ulicą i widzę nową witrynę, jak ja się cieszę, że sklep żyje!

Kłamała jak z nut. Choćby miała nadłożyć drogi, nigdy nie przeszłaby Kapucyńską, Zyga dobrze o tym wiedział. Ciotce serce by pękło. Lecz w całej rodzinie była jedynym przypadkiem zdrowego rozsądku, dlatego przemawiała jak któraś z postaci z *Lalki* Prusa. Lata temu kupiła powieść, bo była o kupcach, więc jakby też o niej. Maciejewski przeczytał prawie

całą jako gimnazjalista, bo liczył na sceny erotyczne, a w swoim ówczesnym guście znalazł tylko jeden krótki rozdziałik przypominający książki Verne'a.

– To i ja się cieszę, proszę cioci. Likieru by ciocia nie skosztowała? – Zyga wzniosł się ponad przyrodzone skąpstwo.

– Daj spokój, Zygmusiu! – osadziła go wielkopańsko. – Wiem, ile dostaje żołdu podporucznik piechoty, to i domyślam się, ile ty zarabiasz. Chcesz, to zamów sobie wódki. Rachunek ja zapłacę.

– O tym nie może być mowy, proszę cioci!

– Pozwolisz, mój kochany, że póki mnie nie sparaliżowało, to ja będę decydować, o czym ma być mowa – zadecydowała. – Najlepszej starki proszę dwa kieliszeczki – powiedziała niemal szeptem, a jednak kelnerka zatrzymała się w biegu między stolikami i uprzejmie przyjęła zamówienie.

– I ja poproszę take najlepsze wódke jak ta pani – przyłączył się gość zza szklanego parawanu.

– Powiedz mi szczerze, Zygmusiu, jakie masz kłopoty – zażądała cicho ciotka, zupełnie nie zważając na swą rolę arbitra w sprawach elegancji. – Przecież właśnie dostałeś nominację na kierownika wydziału. Żałoba żałobą, ale z tego powinieneś się cieszyć.

Już otwierał usta, aby odpowiedzieć szczerze i kąśliwie. Zyga Maciejewski jeszcze dobrze nie zagrzał krzesła w lubelskim Wydziale Śledczym, a już był sławny. Ktoś z boku uznałby, że szedł po trupach, odsuwając od awansu dawnego kolegę szkolnego. Fakt, nie przyłączyliby się do nienawistnego chóru Fałniewicz i Zielny, którym świeżo upieczony kierownik obiecał etaty w komendzie. I Krafta ani myślał się pozbywać, o ile ten będzie chciał z nim pracować. Zyga na jego miejscu by nie chciał, liczył jednak na protestancki rozsądek Gienka. Tak, miał wokół siebie ludzi, na których mu zależało, tymczasem nie opuszczała go dręcząca myśl, że w sprawie wyrokowca Sójki wszyscy się pomylili, że nad złodziejem zawisło okrutne i nawet w jego przypadku niezasłużone fatum. Niestety Zyga nie wiedział, co z tym fantem zrobić.

Szczęśliwie od tej skomplikowanej opowieści wybawił go dzwonek konnej karetki pogotowia, która akurat przejeżdżała Krakowskim Przedmieściem przed kawiarnią. To miasto było zbyt wielkim na małe, napisał Jerzy Trąbicz w „Ziemi Lubelskiej”, lecz i zbyt małym na wielkie. Dlatego zdarzały się w nim niekiedy podobnie szczęśliwe przypadki.

– Widzi ciocia tę pielęgniarkę tam, w okienku? – Niekulturalnie wskazał palcem Maciejewski. – Nie wiem jeszcze jak, ale zamierzam ją oczarować.

– Ty zwariowałaś, Zygmusiu! Jak nie księżniczka na ziarnku grochu, to sierotka Marysia! – Ciotka załamała ręce. – Owszem, ładna, z wyglądu sympatyczna, i powiem ci, to dobrze, że nie jakaś lalka perfumowana, ale dlaczego akurat pielęgniarka?!... Zobaczysz, że cię wydziedziczę! Nie możesz tak jak inni zwyczajnie chodzić sobie na kurwy?

– Za skąpy jestem. – Zyga smutno pokręcił głową. – Tak mnie ciocia wychowała.

– Ja?! – Starsza pani zachnęła się. – Ja cię wychowałam na to, żebyś wiedział, co jest słuszne, a co diabła warte. Umrę, to może docenisz – burknęła gderliwie. Wiek i kłopoty zrobiły swoje. Jednakże gdy kelnerka przyniosła starkę, znów była damą, uśmiechniętą i po stoicku znoszącą kłopoty. – No, Zygmusiu, na zgodę! Więc jakie masz kłopoty?

Docenił, że nie wracała do rozmowy o zmarłej. Wypili. Ona pół kieliszka, on cały.

– Mam takiego podejznanego. – Taktownie nie wymienił nazwiska, chociaż po chwili zobaczył przez szybę, że nawet „Kurwier Warsiaski” pisał o nim na czwartej stronie. – Moim zdaniem ten człowiek jest niewinny, ale wszystko sprzysięgło się przeciw niemu. I sam nie chce sobie pomóc.

– No to go przesłuchaj. – Ciotka wzruszyła ramionami.

– Robiłem to z dziesięć razy. – Machnął ręką.

– Więc zrób jedenasty. Na miłość boską, Zygmusiu, po to chyba dali ci awans, żebyś służył ludziom. I ja też na to cię wychowywałam. Ale gdzie ty idziesz? Obraziłeś się?! – Ciotka spojrzała niepewnie na siostrzeńca, który poderwał się od stolika jak oparzony.

– Przeciwnie. – Ucałował jej dłoń. – Przepraszam ciocię, idę na komisariat. Płacić, pani będzie łaskawa! – Podniósł rękę, przyzywając kelnerkę.

Spodziewał się, że gość za szklanym przepierzeniem zawoła zaraz o „taki sam *fejn* rachunek jak tego pana”, lecz nieznajomy tylko przewrócił stronę w gazecie.

---

### Zbrodniarz z Kośminka uparcie milczy

Krew obeschła, lecz **zgroza zbrodni żywa!** Dwa tygodnie już przebywa w areszcie śledczym Stanisław Sójka (lat 31), zam. przy ul. Długiej 2 recydywista. Nad ranem 9-go b. m. patrol P. P. ujawnił w kamienicy przy ul. Żelaznej 7 **zwłoki** notowanego złodzieja Piotra Kołodzieja (lat 28) i **ciężko ranioną nożem ciężarną** Marię Rutkę (lat 24), zawodową prostytutkę. Rutka dawniej była kochanką Sójki, lecz ten ciężko zapracował na pięć lat więzienia na Zamku. Ułożyła sobie życie inaczej. Wyszedłszy na wolność, Sójka wpadł w szal.

Dochodzenie Wydziału Śledczego P. P. z jego nowym kier. pkom. Maciejewskim ujawniło szereg faktów. Sójka **nie ukrywał swych morderczych zamiarów** przed kompanami z półświatka. Znaleziono nóż – narzędzie zbrodni – ze śladami krwawych odcisków. Zbrodniarz cynicznie milczy w śledztwie.

– We Lwowie czy w Krakowie czekałaby go kara śmierci – powiedział reporterowi p. viceprok. Igniasiak. – Obowiązujący w naszym województwie **kodeks karny jest niesłusznie pobłażliwy**, lecz żądać będę postawienia Sójki przed sądem doraźnym, który dysponuje odpowiednimi instrumentami oczyszczenia społeczeństwa z elementów tak zdegradowanych moralnie i społeczeństwu zagrażających. (jt)

---

– No i co powiesz, Sójka? – Maciejewski, skończywszy czytać na głos z gazety, złożył ją, po czym cisnął na biurko. – Nic nie powiesz? No to ci zaśpiewamy! – obiecał, otwierając drzwi gabinetu.

Mundurowy policjant wepchnął do środka kalekę z akordeonem. Grajek miał nos fioletowy od alkoholu i częstego przebywania na świeżym powietrzu, zdarte ubranie, poruszał się o kulach i z niejednego pieca chleb jadł, teraz jednak wykazał nieśmiałość właściwą naturom wrażliwym. Jakkolwiek pracował swym wiernym akordeonem w Bramie Krakowskiej, na podwórkach Starego Miasta i bywało, że na dworcu kolejowym, to w komendzie policji jakoś zabrakło mu talentu. Nawet miech instrumentu odmówił posłuszeństwa artyście.

– No! – ponaglił podkomisarz Maciejewski.

Uliczny muzyk spojrział najpierw na marsową minę śledczego, który rozsiadł się za biurkiem pełnym urzędowych papierów, potem na zgaszoną twarz aresztanta. Zagrał i zaśpiewał na ćwierć swych możliwości:

*„Mnie Maciejewski przesłuchiwał:*

*»Sypiesz? Bo w mordę będę lał!«.*

*A kiedy jużem w buchcie siedział,  
to Maciejewski wieszac chciał”.*

*Tak samo Stach, jak go puścili,  
tutaj skierował kroki swe.*

*Ledwie z ferajną się napili,  
to Joszke Flak wnet przysiadł się.*

*„Tyś przez fifn jorn śnił o swej Hance,  
tyś jej spod celi grypsy słał,  
a z innym żyje twa kochanke.  
Jak mi nie wierzysz, to sprawdź sam”.*

*Gdy go komisarz w śledztwie cisnął,  
to Stach nie wiedział, co to strach.  
A teraz żal mu gardło ścisnął,  
jakby mu pętlę włożył kat.*

Wypadło słabo. Akordeon fałszował, uliczny muzyk zaś śpiewał bez przekonania. Potrzebował tej znanej sobie przygodnej publiczności, potrzebował akustyki bram i podwórek, a sprowadzony tu przez policjanta, nagle przypomniał sobie, że nie zna nut i nigdy w życiu nie był w filharmonii. Bał się jednak. Dlatego charczącym głosem zaczął kolejną zwrotkę:

*A rankiem...*

– Dość! – Maciejewski urwał frazę i stanowczym gestem wskazał drzwi. – Jesteśmy sławni, panie Sójka – ni to połechtał, ni to zakpił z ambicji podejrzanego, gdy zostali już sami. – Chociaż moją sławę tylko panu zawdzięczam. A co do tamtego Maciejewskiego, kata z Mokotowa, nie znam człowieka. Niejednemu psu... Maciejewski. Może teraz będzie pan bardziej rozmowny?

Sójka nie odpowiedział. Zyga miał ochotę porwać z biurka ciężki ebonitowy telefon i walnąć go nim w głowę. Mniejsza o tortury, które podobno nagminnie stosowała Policja Państwowa, co podnosił sejm, póki Marszałek nie zatkał gąb posłom. Śledczy nie chciał Sójki maltretować, ale wrócić mu rozum. Ten jednak już milczał na własną zgubę jak kto głupi lub tylko nader konsekwentny.

– Trudno zatem. – Podkomisarz sięgnął po akta. – Stanisław Sójka, syn Feliksa, urodzony... i tak dalej... Przypomniałeś sobie coś więcej?

– Kaca...

Maciejewski zdziwił się, że padło cokolwiek nowego, lecz nie był opiekunką z freblówki, która chwali dzieci choćby za to, że sznurówki same sobie zawiązują.

– To mam dać na protokół? – burknął, jakby charknął.

I wyrokowiec, odmawiający dotąd w śledztwie wszelkich wyjaśnień, nagle wybuchnął, wyraźnie wyprowadzony z nerwów.



– A po co mam strzepić język, jak wyście już z tamtym drugim tajniakiem... i pewno jeszcze z sędzią śledczym wszystko dawno ustawili? Recydywista, niewierna kochanka i tak dalej... No, macie mnie zaobrączkowanego, to o co się jeszcze rozchodzi?! Chcę wrócić pod celę!

– Wrócisz, wrócisz, i to na długo – uspokoił go Zyga. – Ja przejdę na emeryturę, a ty wciąż będziesz pierdział w słomiany siennik. Zabiłeś czy nie?! – wrzasnął.

Sójka spojrział na niego wzrokiem stoickiego filozofa, który doprawdy nie potrafi pojąć, dlaczego prości ludzie denerwują się z byle powodów.

– Ile razy mam mówić, że nie zabiłem?! – powtórzył jak zdarta płyta, jak dewotka odmawiająca setną zdrowaśkę. – Byłem tak pijany, że nawet nie wiem, czyj anioł stróż odprowadził mnie do domu. Odwykłem od wódki przez te pięć latek... Byle pętał, jakby napadł, to dałby mi radę, a Piotr to by mnie...

– Wychodzi jednak, że to ty jego. – Teraz to Maciejewski powtórzył spokojnie, co miał w aktach, a podejrzany nerwowo zacisnął pięści.

– Ktoś inny. Ile razy mam powtarzać?! Chcę wrócić pod celę.

– Dobrze. – Zyga westchnął. Spisanie tego zeznania nie trwało długo, więc szybko podsunął blankiet podejrzanemu. – Podpisz protokół.

– Sto razy podpisywałem – mruknął Sójka.

– Ale nie mnie osobiście. – Maciejewski uśmiechnął się krzywo.

Zanurzył stalówkę w kałamarzu i podał pióro podejrzanemu. Ten wyciągnął rękę.

– Gdzie mi tu lewą?! – ryknął śledczy. – Chcesz w sądzie iść w unieważnienie protokołu? Masz mnie za głupiego?

– Nie odpowiem, bo mi pan jeszcze przyszyje obrazę władzy – odparł spokojnie recydywista. – Mańkut jestem.

– Mańkut? – Zyga zaczął kartkować akta, szukając kwitów z podpisem Sójki.

– Od urodzenia. Dlatego ledwo skończyłem szkołę. Ale to chyba nie przestępstwo? Chcę wrócić pod celę.

– Won! – zgodził się uprzejmie Maciejewski.

A potem wyjął z szuflady biurka nóż przyniesiony przez młodszego z braci Kołodziejów. Trzymając go za czubek ostrza, widział wyraźnie ślady palców pozostawione po lewej stronie. Bez linii papilarnych, bo sprawca prawdopodobnie miał rękawiczki, poza tym dowód nie był w porę

zabezpieczony i cholera wie, co się z nim działo w rymsztoku na Żelaznej. Jedno pewne, że ktoś z łapą ubrudzoną krwią trzymał go w prawej ręce. I jeszcze ten Joszke Flak, przypomniał sobie Zyga, wskazał lewą kieszeń. Może też był mańkudem i tak mu było wygodniej, a może właśnie dobrze zapamiętał?

Zyga podniósł słuchawkę telefonu.

– Dyżurny, jutro rano chcę mieć posterunkowego Fańiewiczza z drugiego i wywiadowcę Zielnego z pierwszego komisariatu – zakomenderował. – Na którą? Dla dowcipu niech będzie szósta rano. Znaleźć i zawiadomić! Ja będę. I dzbanek kawy z restauracji! Nigdzie się nie ruszam, na całą noc mam roboty.

Fabryka maszyn rolniczych Moritza przy 1 Maja robiła pełną parą. Przestała galopować inflacja. Teraz i ziemianin, i zamożniejszy chłop nawet czuł w garści wagę swego pieniądza, a na gwałt trzeba było wsi młocarni i kieratów. Tylko między czwartą a szóstą rano tokarki i prasy parowe miały chwilę wypoczynku, motory mogły ostygnąć, a baby i dzieciaki zaangażowane na pół dniówki oczyścić jako tako halę, póki nie przyjdzie pierwsza zmiana, najlepsi fachowcy.

Wśród nich niemrawo zbliżał się do bramy fabrycznej ospały Józek Kołodziej. Niedawny bezrobotny, zabijający czas wśród ferajny Kośminka, nie przywykł wstawać przed południem, dlatego laźł do roboty w półśnie, ale zawziął się i miał nadzieję przywyknąć. Uczciwe życie stanęło przed nim otworem w sposób nieoczekiwany. Nie był kapuś, i złodziejska granda to wiedziała. Szło o śmierć brata, wiadoma rzecz, a honorowe zasady nie były już te, co przed wojną. Kiedyś taki chłopak jak on miałby mir, tylko gdyby poszedł mścić się z kosą w garści i zostawił Sójkę w kałuży krwi na środku placu Bychawskiego. Teraz nie żył już rozsądzający dintojry urka Mendel z Podzamcza i honor inne miał imię, szczególnie że Sójka siedział w areszcie, bo gliny były pierwsze, więc jak go dorwać? Jedynie osłodzić mu kiblowanie... Zatem nie tylko dzielnica machnęła ręką na to, że Józek zaniósł mentowni narzędzie zbrodni, ale też i dziennikarzom z miasta bardzo się to spodobało. Wtedy wkroczyła matka. Bo matka jest matka.

– A pan władza pamięta, że to mój synek odniósł panu ten przeklęty nóż? Ten sam, co ten skurwysyn nim dwie osoby i dziecko niewinnie nienarodzone zaszlachtował?! – awanturowała się nie tylko po komisariatach. – A pan majster to ma sumienie chrześcijańskie przyjmować

do fabryki byle kogo, kiedy mój synuś, taki uczciwy i fachowiec, cierpi bezrobocie? Ślusarz fachowy, tylko mu się noga powinęła z głupoty, jak to ślusarzowi – dodała, bo i ona wiedziała dobrze, i ludzie wiedzieli, że sam pan majster dawniej robił wytrychy, kiedy potrzeba mu było forsy na chrzciny.

Lepszej protekcji zatem Józek mieć nie mógł i robił uczciwie, zwłaszcza że matka pilnowała go gorzej niż klawisz więzienny. A gdyby zaczął popijać z kolegami, gotowa była wstydu narobić, przychodzić po niego na koniec zmiany, jakby był gówniarzem, którego trzeba odebrać ze szkoły po lekcjach. Matka ma swoje humory, lecz matka jest tylko jedna.

Minęła godzina i druga. Maszyny sapały i wystukiwały swoje miarowe rytmy, a młody Kołodziej raz za razem brał ze skrzynki toporne kształtki żelazne i przeistaczał je w wajchy zakończone z jednej strony trybem, z drugiej uchwytem na dłoń.

– Sprawnie pan to trzymasz – wyrwał go naraz znad roboty obcy głos.

Podniósł głowę i zobaczył dwóch facetów. Wyższego znał, to był komisarz ze Śledczego, Maciejewski. Miał sine z niewyspania oczy i czarny garnitur, jakby wybierał się na pogrzeb. Ten mniejszy, który zaczepił Józka, wyglądał jak alfons ze swoim szerokim, kwiatowym krawatem ze sztucznego jedwabiu do niebieskiej marynarki w prążki.

– Dziękuję szanownemu panu – burknął Kołodziej – ale pan szanowny uważa na garderobę, bo smar może prysnąć. Czy coś trzeba podpisać, panie władzo?

– Nie trzeba. – Maciejewski pokręcił głową. – Pan naprawdę sprawnie to w garści trzymasz. W prawej garści. A Sójka jest mańkut.

Nie wykonali najmniejszego ruchu w jego stronę i to był ich błąd. Józek znał fabrykę, w której maszyny, podręczne magazyny i stanowiska tokarskie tylko z pozoru wyglądały jak labirynt, a dla wtajemniczonych były niczym plan Starego Miasta, trzy uliczki na krzyż. Odskoczył w tył, przebiegł piętnaście kroków w lewo, kilka w prawo, po czym zostawiwszy pogoń za syczącym wściekle, wypełnionym płynnym żeliwem tygłem pełznącym powoli na łańcuchach, już był prawie przy kantorku z tylnym wyjściem na magazyn.

Tam zderzył się z jednak z twardym jak ów tygiel postawnym posterunkowym Fańiewiczem. Kołodziej zachwiał się, na mundurowym nie zrobiło to wrażenia. Policjant wykręcił Józkowi rękę i przycisnął go

twarzą do betonowej posadzki o zapachu opiłków metalu, oliwy do maszyn, ludzkiej pracy i pewnie nawet pieniędzy. Niestety tych jeszcze Józek Kołodziej nie zdążył się tu dość nawąchać.

– Jest pan zatrzymany pod zarzutem potrójnego zabójstwa swojego brata Piotra, Marii Rutki oraz ich nienarodzonego dziecka – powiedział Maciejewski, zapinając kajdanki.

Chociaż ubrany porządnie, spod jego pachy było czuć, jakby w tym garniturze przeżył pogrzeb, stypę i jeszcze tęgą popijawę w gronie najbliższych żałobników.

## V

Maciejewski patrzył ze złością na zegarek. Fakt, Lublin nie był rozległą metropolią, a do kina Corso miał z komendy parę kroków. Jeśli za kwadrans stąd wyjdzie, nie spóźni się na *rendez-vous* tak bardzo, by panna Róża zrezygnowała z *Czerwonego błazna*. Lubiła kryminały, a tę powieść Błażejowskiego po prostu uwielbiała, więc skoro przenieśli ją na ekran, zobaczyć musiała! No i Żabczyński, Dymśa, Nora Ney...

Niestety, póki co podkomisarz nie gapił się jeszcze na fantazyjne wymysły jakiegoś literata. Miał przed sobą prawdziwą postać, znowu siedzącą na dołku i milczącą jak zwykle.

– Sójka, ja cię znam i ty mnie znasz, więc darujmy sobie wstępne grzeczności – zaproponował Zyga po raz kolejny. – Jedno mi tylko powiedz, bo nie rozumiem. Byłeś porządnym złodziejem, ledwie cię od stryczka urwałem, a ty teraz... mam w papierach, że jak byle łajza pobiłeś słabszego, kalekę...

Zatrzymany trwał wpatrzony w zakratowane okno piwnicy, jakby naprawdę spodziewał się w nim zobaczyć cokolwiek poza zacinającym śniegiem i tylnym zderzakiem zaparkowanego tam policyjnego auta. Zepsutego od miesięcy. Cmoknął nerwowo i niechętnie spojrzął na glinę.

– Skurwysyna pobiłem. Nieprawdę śpiewał – wycedził nareszcie. – Kłamstwa o mnie i o panu komisarzu. Ja spłaciłem mój dług. Coś jeszcze czy mogę mocz oddać, że tak powiem urzędowo? – Ruchem głowy wskazał kubeł przykryty metalowym wiekiem.

– Uważaj, Sójka, bo świat jest mały – warknął Maciejewski i załomotał w drzwi celi. Zdąży!

Kiedy mundurowy zamykał zasuwę, podkomisarz wygrzebał z pudełka niespaloną zapałkę i zaciągnął się papierosem.

– Dać kolację – polecił. – Odczekać, aż strawi, i wlać pałką. Ale tak po ojcowsku, z miłością, rozumiecie?

– Tak jest! Żeby skruszał? – spytał policjant dla czystej formalności.

– Nie, dla zasady. A potem wypuścić.

– No ale jak to wypuścić, panie komisarzu? Są przepisy.

Zyga położył mu ciężką łapę na ramieniu, poklepał i poczęstował papierosem.

– Przepisy, posterunkowy, biorę na siebie. W końcu palić tutaj też nie wolno – zauważył, podając ogień.

## Wiosna 1942 roku

Gramofon chrypiał, jakby też lubił sobie wypić i zapalić:

*...A rankiem budzą go tajniacy:*

*„Całą noc spałeś? Sukinsyn!*

*Dowody mamy jak na tacy!*

*Na dom twej Hanka napad był.*

*Trzy trupy – gęby glin się cieszą*

*– bo w cięży była Hanka twa”.*

*Stach, choć niewinny, to nie przeczy.*

*Dopiero w celi cicho łka.*

*Śledztwo prowadził Maciejewski.*

*– Stach w niebo patrzył spoza krat,*

*a w pociąg już w Warszawie siadał*

*ten drugi Maciejewski – kat.*

– Już przed wojną mówiłem, że tego się nie gra – warknął Zyga.

– Pan mógł sobie mówić, ale się grało! – Brylantowo zadowolony z życia Trąbicz podniósł butelkę, czyniąc honory gospodarza. – Pierwsza pańska sprawa w Lublinie i od razu sensacyjny zwrot. Jako dziennikarz śledziłem ją wtedy bardzo uważnie. A to jedna z nielicznych ocalałych płyt z tym tangiem. Po przyjaźni wytłoczyli mi dziesięć sztuk, kiedy jeszcze pracowałem w Polskim Radio. Na pamiątkę.

Dawny pismak cieszył się jak dziecko. Jak złośliwe dziecko. Jedno z tych, które przed lekcją religii smarują klejem krzesło księdza katechety.

– Chciałbym dorwać ulicznego poetę, który napisał ten szlagierek!

Trąbicz zarechotał, wypił i zagryzł ogórkiem.

– Ulicznego? Skąd ta pańska wiara w ludowe talenty? Bo chyba nie z pańskich tajniackich doświadczeń! Nie pamięta pan, że tekstami piosenek nieraz dorabiałem do pensji? Tę jednak ułożyłem nie dla forsy, po prostu *con amore*.

Kwartet powtórzył refren. Saksofon, bandžo, gitara i perkusja tęsknie wykończyły piosenkę wśród szumu i trzasków kiepskiej płyty. Trąbicz

podniósł ramię gramofonu oraz jednocześnie flaszkę. Spojrzał z niemym pytaniem. Maciejewski podsunął szklanę.

– Nie podejrzewałem – przyznał Zyga – chociaż powinienem. Z pana zawsze była kanalia.

– Dlatego szybko znaleźliśmy wspólny język – powiedział poeta.



# **KRÓTKIE NOTKI O AUTORACH**

**Piotr Bojarski** – pisarz, dziennikarz i reporter. Autor cyklu kryminałów retro z poznańskim komisarzem Zbigniewem Kaczmarkiem (*Kryptonim Posen, Mecz, Rache znaczy zemsta, Pętla, Arcymistrz*), a także współczesnych powieści sensacyjnych *Ściema* i *Biegacz*. W 2016 roku jego powieść *Juni* zdobyła I nagrodę w konkursie na najlepszą książkę o Poznaniu. Ma na koncie również książki reporterskie, m.in. *1956. Przebudzeni*. Sam uwielbia czytać sensację osadzoną w historii, np. książki Arturo Pérez-Reverte.

**Wojciech Chmielarz** (1984) – polski autor kryminałów, ekspert do spraw białego wywiadu i dziennikarz. Przez wiele lat redaktor naczelny portalu niwserwis.pl, poświęconego tematyce przestępczości i terroryzmu. Autor cyklu o komisarzu Jakubie Mortce oraz cyklu gliwickiego. Wielokrotnie nominowany do Nagrody Wielkiego Kalibru. Nagrodę otrzymał w 2015 roku za powieść *Przejęcie*.

**Ryszard Ćwirlej** – skończył socjologię na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Był dziennikarzem w TVP Katowice, a później w TVP Poznań. W latach 2010-2016 był zastępcą Redaktora Naczelnego poznańskiego Radia Merkury.

Przez krytyków uznawany jest za twórcę nowego gatunku literackiego – „kryminału neomilicyjnego”. Na podstawie swojej powieści *Ręczna robota* napisał liczący 75 odcinków serial słuchowiskowy, zrealizowany przez Teatr Polskiego Radia dla radiowej Jedyńki.

W 2015 roku jego powieść *Błyskawiczna wypłata* otrzymała nagrodę Kryminalnej Piły dla najlepszej miejskiej powieści kryminalnej 2014 roku. Pięciokrotnie powieści Ryszarda Ćwirleja były nominowane do Nagrody Wielkiego Kalibru. W roku 2017 książka *Milczenie jest srebrem* otrzymała na Międzynarodowym Festiwalu Kryminału we Wrocławiu Nagrodę Czytelników Wielkiego Kalibru.

Dotychczas ukazały się następujące kryminały autora: *Upiory spacerują nad Wartą, Trzynasty dzień tygodnia, Ręczna robota, Mocne uderzenie, Śmiertelnie poważna sprawa, Błyskawiczna wypłata, Jedyne wyjście, Śliski interes, Milczenie jest srebrem, Tam ci będzie lepiej, Tylko umarli wiedzą*.

**Bohdan Głębocki** – nałogowy czytelnik, z rozpoznaniem uzależnienia od literatury popularnej. Pasje czytelnicze dzieli między fantastykę, kryminał i sensację. Z wykształcenia historyk, choć studiował także informatykę. W pisaniu – jak dotąd – nie wychodzi poza dwudziestolecie

międzywojenne, natomiast rodzinny Poznań zdarza mu się opuszczać. Akcja *Muszej Góry* i *Ślepych ryb* toczy się w tym mieście i okolicach w październiku 1938 roku. W planach ma jednak wycieczki do przedwojennej Łodzi oraz Warszawy. Nie wyklucza również zmierzenia się z rzeczywistością (bądź nierzeczywistością) okupacyjną.

**Gaja Grzegorzewska** (1980) – filmoznawczyni, jedna z najpopularniejszych pisarek kryminalnych. Wydała sześć powieści. Cztery kryminały o prywatnej detektyw Julii Dobrowolskiej. Za trzecią powieść cyklu – *Topielicę* – otrzymała Nagrodę Wielkiego Kalibru dla najlepszej kryminalnej powieści roku. *Betonowym pałacem* otworzyła nowy cykl psychologicznych thrillerów z Krakowem w roli głównej. Drugi tom cyklu to *Kamienna noc*. Obecnie pracuje nad częścią trzecią trylogii. Jest również współautorką, wraz z Irkiem Grinem i Marcinem Świetlickim, powieści *Orchidea*, będącej pastiszem gatunku kryminalnego. Zajmuje się też dziennikarstwem. Pisała do „Portalu Kryminalnego”, „Polityki”, „Wprost”, „Gazety Wyborczej”, „Bluszcza”, „Chimery” i „Men’s Health”.

**Joanna Jodelka** – absolwentka historii sztuki na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Jej debiutancka powieść *Polichromia* ukazała się w 2010 roku i została uhonorowana Nagrodą Wielkiego Kalibru na Międzynarodowym Festiwalu Kryminału we Wrocławiu, przyznawaną przez Prezydenta Miasta Wrocławia. W 2011 roku ukazała się kolejna książka pod tytułem *Grzechotka*, następnie *Kamyk* (2013), *Kryminalistka* (2014), *Wariatka* (2015) oraz powieść fantasy dla młodzieży *Ars Dragonia* (2014). Stypendystka Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej za scenariusz *Akcja czterech premierów* (2009).

**Michał Larek** (1978) – pisarz i wykładowca. Bada techniki przyciągania uwagi odbiorcy. W 2014 roku wydał *Martwe ciała*, reportaż o Edmundzie Kolanowskim, seryjnym zabójcy z Poznania, a w 2016 roku powieść kryminalną *Mężczyzna w białych butach*, inspirowaną autentyczną historią (obydwie książki we współpracy z Waldemarem Ciszakiem, adwokatem). W sierpniu 2017 roku ukazał się pierwszy tom jego nowego cyklu kryminalnego, zatytułowany *Furia*. Prowadzi kursy storytellingu w szkole kreatywnego pisania Maszynadopisania.pl. Miłośnik kultury popularnej, uzależniony od amerykańskich seriali i klasycznych szwedzkich kryminałów.

**Joanna Opiat-Bojarska** – autorka poczytnych serii kryminalnych, których tempo zapiera czytelnikom oddech, a montaż scen i przełomy w akcji dają niesamowicie filmowy efekt. Dociekliwa, pomysłowa i bezkompromisowa. Ukończyła ekonomię w Poznaniu, lecz niech nikogo nie zwiedzie jej wykształcenie. Kryminał w wykonaniu ekonomistów święci tryumfy na całym świecie, czego przykładem są powieści Jo Nesbø czy Camilli Läckberg.

Wie, jak przekuć porażkę w sukces. Pasję pisania odkryła dzięki przebytej chorobie. Dziś nie boi się już niczego – ani tematów tabu, ani najbardziej wymyślnej zbrodni. Opracowała wzór na najlepszy kryminał: realizm, emocje i zwroty akcji. Wzór na Joannę Opiat-Bojarską.

**Olga Rudnicka** (1988) – znana autorka powieści sensacyjnych *Natalii 5*, *Cichy wielbiciel*, *Były sobie świnki trzy* i wielu, wielu innych. Miłośniczka zwierząt, natury i dobrego jedzenia. Kocha jazdę konną i dobrą książkę. Nigdy nie polubi kawy i hipokryzji. Zawsze będzie podążać za swoimi marzeniami.

**Marcin Wroński** (1972) – pisarz. Debiutował w 1992 roku, ale popularność zdobył cyklem kryminałów retro o komisarzu Maciejewskim, rozpoczętym *Morderstwem pod cenzurą* (2007), którego wątki wykorzystał jako scenarzysta w animacji noir *Ta cholerna niedziela* (2014). Wielokrotnie nagradzany za swoją twórczość i nominowany do istotnych nagród literackich. Za *Pogrom w przyszły wtorek* w 2014 roku otrzymał wszystkie krajowe laury dla pisarza kryminałów, w tym Nagrodę Wielkiego Kalibru. W lipcu 2017 roku powieść ta miała swą adaptację teatralną, wyprodukowaną przez Scenę InVitro, z którą Marcin Wroński od lat współpracuje jako dramaturg. Ostatnio ukazał się dziewiąty kryminał o komisarzu Maciejewskim – *Czas Herkulesów* (2017), cykl zaś zamknie zbiór opowiadań z gościnnym udziałem m.in. czołowych pisarzy gatunku. Część książek Wrońskiego ukazała się po rosyjsku, wkrótce zostaną wydane we Francji. Autor pracuje nad współczesną powieścią polityczną.

# Spis treści

Adam Kompowski - Wstęp. Śmiertelnie poważna sprawa

Ryszard Ćwirlej - Czwarta beczka norweskich śledzi

Poznań Wtorek, 19 lipca 1966 r. Godzina 18.30

Środa, 20 lipca Godzina 7.30

Godzina 8.15

Godzina 8.30

Godzina 8.45

Godzina 8.50

Czwartek 21 lipca Godzina 12.30

Michał Larek - Czwarty zabójca

Piotr Bojarski - Epizod z wampirem

Bohdan Głębocki - Guzik

Gaja Grzegorzewska - Lis w kurniku

Joanna Opiat-Bojarska - Modus vivendi

Olga Rudnicka - Niespodzianka

Joanna Jodełka - Nie tak sobie ciebie wyobrażałam

Wojciech Chmielarz - Sznurówki

1.

2. Wcześniej

3. Wcześniej

4. Wcześniej

5. Wcześniej

6. Teraz

Marcin Wroński - Trupów hurtowo trzech

I. Lublin, wiosna 1942 roku

II. Jesień 1926 roku

III

IV

V

Wiosna 1942 roku

Krótkie notki o autorach